

ARTHUR C. CLARKE

# Odyseja kosmiczna 3001

(przełożył Radosław Kot)

## Prolog - Pierworodni

Tak właśnie możemy ich nazwać: Pierworodnymi. Choć nawet w najmniejszym zarysie nie przypominali ludzi, też byli cieleśni i też krwawili, a gdy spojrzeli niegdyś w otchłań kosmosu, ogarnęły ich: podziw, lęk oraz poczucie osamotnienia. Gdy tylko urosli w siłę, zaczęli szukać wśród gwiazd bratniej duszy.

W trakcie dalekich wypraw natykali się na wiele rozmaitych postaci życia na różnych stadiach ewolucji i aż nazbyt często byli świadkami, jak nikła iskierka inteligencji gasła pośród mroku kosmicznej nocy.

Ponieważ w całej galaktyce nie znaleźli niczego bardziej cenniejszego niż rozum, dlatego gdzie mogli, tam wspomagali jego kiełkowanie. Niczym farmerzy siali na polu gwiazd i bywało, że zbierali potem plony.

Niekiedy zaś, niechętnie, ale musieli pielnić.

Kiedy ich statek wszedł do Układu Słonecznego, wielkie dinozaury dawno już zostały zgładzone w świetle swego istnienia przez przypadkowego osobnika z przestrzeni kosmicznej. Pierworodni przemknęli nad zlodowaciałymi zewnętrznymi planetami, na krótko zatrzymali się przy pustynnym umierającym Marsie i w końcu spojrzeli na Ziemię.

Ujrzeni świat rojący się od wszelakiego życia. Badali je całe lata, zbierali okazy, katalogowali. Gdy dowiedzieli się już wszystkiego, czego dowiedzieć się mogli, zaczęli działać. Ingerowali w rozwój całego szeregu gatunków, tak lądowych, jak i morskich. Czy z powodzeniem, to mogło się rozstrzygnąć dopiero za co najmniej milion lat.

Byli cierpliwi, ale nie nieśmiertelni. Czekali na nich jeszcze miliardy innych słońc, więc odlecieli wkrótce, zniknęli w otchłani kosmosu, wiedząc, że nigdy już na Ziemię nie wrócą. Zresztą, nie zachodziła taka potrzeba: zostawione na miejscu sługi same mogły dokonać dzieła.

Na Ziemi epoki lodowcowe przemijały jedna za drugą, natomiast na niezmiennej powierzchni Księżyca czekał sekretny strażnik z gwiazd. Pływy życia w galaktyce pulsowały jeszcze wolniejszym rytmem. Dziwne, niekiedy piękne, a czasem straszne imperia powstawały i upadały, przekazując wiedzę i dorobek następcom.

Gdzieś daleko, wśród gwiazd, ewolucja wkraczała na wyższe stadia. Pierwsi odkrywcy Ziemi już dawno porzucili cielesne powłoki. Skonstruowali maszyny sprawniejsze niż poprzednie, organiczne nośniki, a następnie dokonali przeprowadzki. Z początku mózgów, a potem wyłącznie myśli. W pancerzach z metalu i kryształu ruszyli jeszcze dalej w galaktykę. Nie budowali już statków kosmicznych, sami nimi byli.

Epoka machin nie trwała długo. Eksperymentując nieustannie, nauczyli się składować wiedzę bezpośrednio w tkance przestrzeni. Myśli, utrwalone w zastygłych koronkach światła, mogły trwać wiecznie.

Pierworodni stali się postacią czystej energii. Ich porzucone na tysiącach światów powłoki cielesne zatańczyły bezrozumnie, zadrżały i zległy, by obrócić się w pył.

Teraz byli panami galaktyki, samą siłą woli mogli pomykać między gwiazdami, niczym delikatna mgiełka przesączali się przez szczeliny przestrzeni. Wolni od ograniczeń bytów materialnych, nie zapomnieli jednak o swym pochodzeniu, o tym, jak zrodzili się kiedyś w ciepłym szlamie dawno już wyschłego morza. A ich zaiste cudowne maszyny nadal działały, nadzorując rozpoczęte miliony lat wcześniej eksperymenty.

Jednak nie zawsze bywały posłuszne instrukcjom twórców. Jak wszystkie urządzenia ulegały niszczącemu wpływowi czasu i jego cierpliwej, wiecznie czuwającej służki: entropii.

I niekiedy odkrywały i wyznaczały sobie nowe, własne cele.

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

**GWIEZDNE MIASTO**

## 1 - PASTUCH KOMET

Kapitan Dimitri Chandler [M2973.04.21/93.106//Mars/ Akad.Kosm.2005], dla przyjaciół "Dim". był wyraźnie rozdrażniony i miał po temu słuszne powody. Wiadomość z Ziemi potrzebowała sześciu godzin, aby dostrzec do holownika kosmicznego Goliath, który krążył aż za 01 bitą Neptuna. Gdyby informacja przybyła choć dziesięć minut później, holownik mógłby ze spokojnym sumieniem odpowiedzieć: "Przykro mi, ale nic z tego. Właśnie zacząłem rozwijać ekran przeciwsłoneczny."

I miałby rację, gdyż opakowywanie jądra komety w grubą tylko na kilka molekuł folię odblaskową to nie robota, którą można przerwać w połowie.

Obecnie najlepsze, co mógł uczynić, to posłuchać tego niezwykłego żądania, tym bardziej że Przysłoneczni i tak narazili się już potężnie Żółtym, chociaż nie z własnej winy. Eksploatacja lodowych zasobów pierścieni Saturna zaczęła się jeszcze w dwudziestym ósmym wieku, trzysta lat temu. Kapitan Chandler nigdy nie potrafił dostrzec żadnych różnic na zestawianych przez nowoczesnych ekologów obrazkach "przed" i "po", ilustracjach mających prezentować przyszłe skutki niebieskiego wandalizmu. Wszelako opinia publiczna, wciąż wyczulona po klęskach ekologicznych poprzednich stuleci, spojrzała na sprawę inaczej i większość poparła hasło: "Ręce precz od Saturna!". Tym sposobem miast złodziejem pierścienia, Chandler został powiernikiem. Wypasał komety.

Tak i wypuszczał się poza Układ Słoneczny na całkiem spory kawałek drogi do Alfy Centaura, gdzie polował na bryły krążące w Pasie Kuipera. Było tam dość lodu, by zalać Merkurego i Wenus oceanem głębokim na parę kilometrów, chociaż musiałyby minąć jeszcze kilka stuleci, nim udałoby się wygasić ognie piekielne tych dwóch planet, czyniąc je zdatnymi do życia. Żółci (dawniej Zieloni), oczywiście, wciąż protestowali, ale jakby z mniejszym zapałem. Gigantyczne fale, spowodowane upadkiem wielkiego meteoru do Pacyfiku w roku 2304, pochłonęły miliony ofiar i ludzkość uświadomiła sobie wówczas, że zbyt wiele jajek wkłada do jednego, niebezpiecznie kruchego koszyka. O ironio, gdyby ten złom skały runął na ląd, szkody nie byłyby nawet w części tak dotkliwe!

Zresztą, pomyślał Chandler, przesyłka trafi na miejsce i tak dopiero za pięćdziesiąt lat, zatem tydzień opóźnienia nie robi różnicy. Tyle tylko, że trzeba będzie powtórzyć wszystkie obliczenia dotyczące rotacji, środka masy i miejsc przyłożenia wektorów ciągu. Przeliczyć i przesłać na Marsa w celu dodatkowego sprawdzenia. Gdy w grę wchodzi miliardy ton lodu, które z czasem mają przeciąć orbitę Ziemi, żaden środek bezpieczeństwa nie jest podjęty przesadnie.

Ludzie już dawno robili podobne rzeczy. Nad biurkiem kapitana Chandlera wisiała pradawna fotografia przedstawiająca trzymasztowy parowiec na tle przytłaczającej jednostkę góry lodowej. Dokładnie w takiej samej scenerii znajdował się obecnie Goliath.

Jakie to dziwne, myślał czasem, że jedno i to samo pokolenie widziało zarówno takie statki jak ów Discovery na zdjęciu, i ten drugi, identycznej nazwy, który po raz pierwszy poniósł ludzi w pobliże Jowisza. Cóż by powiedzieli dawni badacze Antarktyki, gdyby przyszło im stanąć dziś na mostku Goliatha?

Na pewno byliby mocno zdezorientowani widząc ścianę lodu ciągnącą się jak daleko sięgnąć wzrokiem i w dół oraz w górę. Łód ten wyglądał zresztą dość osobliwie. Nie miał nic z bieli i błękitów polarnych lodowców. Brudna bryła w dziewięćdziesięciu procentach składała się z wody, resztę tworzyły domieszki związków węgla i siarki parujące już w temperaturze niewiele przekraczającej zero absolutne. Próba stopienia kostki takiego lodu dostarczyłaby raczej niemiłych wrażeń. Jak powiedział niegdyś pewien znany astrochemik: "Komety mają cuchnący oddech".

- Skipper do wszystkich - obwieścił Chandler. - Mała zmiana programu. Poproszono nas o odłożenie operacji i zbadanie obiektu wychwyconego przez radar Straży Kosmicznej.

- A konkrety? - spytał jakiś głos, gdy umilkł w interkomie chór jęków.

- Niewiele wiem, ale podejrzewam, że to sprawka jakiegoś kolejnego komitetu obchodów tysiąclecia, który zapomniano rozwiązać.

Tym razem jęki zabrzmiały jeszcze głośniejsze. Wszyscy mieli już serdecznie dość celebry towarzyszącej końcowi drugiego tysiąclecia. Gdy pierwszy dzień stycznia roku 3001 minął wreszcie spokojnie jak każdy inny, ludzkość odetchnęła z ulgą. Końca świata nie było, można wracać do zwykłych zajęć.

- Tak czy inaczej, pewnie znów fałszywy alarm. Ale trzeba zrobić swoje. Wyłączam się.

W karierze Chandlera był to trzeci przypadek, gdy kazano mu tropić tajemnicze obiekty. Mimo stuleci eksploracji, Układ Słoneczny wciąż dostarczał niespodzianek, zatem może Straż wiedziała, co robi. Byle tylko nie okazało się, że oto ujawnił się kolejny idiota marzący o odkryciu legendarnego złotego asteroidu. Gdyby nawet takie dziwo istniało, w co Chandler ani trochę nie wierzył, byłaby to ledwie mineralogiczna ciekawostka o realnej wartości nieporównanie mniejszej niż wyprawiana ku Słońcu życiodajna góra lodu.

Istniała jeszcze jedna możliwość i tę Chandler traktował poważnie. Skonstruowane przez rasę ludzką próbniki przeniknęły już w kosmos na odległość ponad stu lat świetlnych od Ziemi, a monolit z krateru Tycho przypominał, że inne cywilizacje uprawiają podobną działalność. W Układzie Słonecznym mogły krążyć, lub przezeń przelatywać, jeszcze inne artefakty obcych. Chandler podejrzewał, że Straż coś takiego właśnie znalazła, gdyż w przeciwnym razie nikt nie

ośmieliłby się zarządzać holownikowi pierwszej klasy pogoni za nie zidentyfikowanym echem radarowym.

Pięć godzin później Goliath natrafił na ślad obiektu. Tajemnicza jednostka znajdowała się jeszcze daleko, na maksymalnym zasięgu czujników, ale i tak wydawała się absurdalnie mała. W miarę zbliżania się, ustalono, że to coś jest metaliczne i długie najwyżej na parę metrów. Poruszało się po orbicie wybiegającej z Układu Słonecznego, co wskazywało raczej na jakiś śmieć epoki kosmicznej. Przez tysiąc lat zebrało się ich naprawdę sporo. Kapitan pomyślał, że być może pewnego dnia to one jedyne zaświadczą, że człowiek kiedykolwiek istniał.

Podeszli na tyle blisko, by obejrzeć obiekt przez teleskop. Wtedy kapitan Chandler trochę poblądł. Jaka szkoda, że komputer podał mu dane tej orbity o kilka lat za późno. Byłoby jak znalazł na obchody tysiąclecia.

- Mówi Goliath - nadał Chandler w kierunku Ziemi głosem nieco drżącym, ale podniosłym.  
- Przyjmujemy na pokład tysiącletniego astronautę. I chyba wiem, kto to jest.

## 2 - PRZEBUDZENIE

Frank Poole obudził się, ale niczego nie pamiętał. Nie był pewien nawet własnego imienia.

Nie ulegało wątpliwości, że znajdował się w szpitalu. Mimo iż miał zamknięte powieki, jego zmysły odbierały proste sygnały, jednoznacznie świadczące o typie otoczenia. W powietrzu unosiła się słaba woń środków odkażających, taka sama jak... Właśnie! Jak wtedy, gdy w wieku kilkunastu lat złamał sobie żebro podczas mistrzostw Arizony w szybowaniu pod latawcem i przewieziono go na ostry dyżur.

Wspomnienia wracały z wolna. Nazywam się Frank Poole, jestem zastępcą dowódcy United States Space Ship Discovery w ściśle tajnej misji do Jowisza...

Nagle jego serce zmieniło się w sopel lodu. Jak na zwolnionym filmie przewinął mu się przed oczami widok kapsuły, która wymknęła się spod kontroli i leciała prosto na niego, wyciągała manipulatory... Potem doszło do bezgłośnego zderzenia. I rozległ się donośny syk uciekającego ze skafandra powietrza. Ostatnie, co pamiętał, to jak wirując bezradnie w próżni, bezskutecznie usiłował na nowo podłączyć zerwany przewód.

Cóż, cokolwiek dziwnego zdarzyło się z tą kapsułą, teraz był bezpieczny. Zapewne Dave zorganizował błyskawiczną akcję ratunkową i sprowadził go na statek, zanim nie dotleniony mózg zaczął obumierać.

Dobry kumpel z tego Dave'a, pomyślał Poole. Muszę mu podziękować, chociaż chwilę... Z pewnością nie jestem na pokładzie Discovery. Pewnie byłem nieprzytomny na tyle długo, że przetransportowano mnie aż na Ziemię!

Gonitwę myśli przerwała siostra przełożona, która wkroczyła do pokoju w towarzystwie dwóch pielęgniarek. Wszystkie trzy nosiły biały strój, niezmienny znak ich profesji. Wyglądały na lekko zdumione. Poole ucieszył się jak dziecko, sądząc, że pewnie obudził się przedwcześnie i nieco pokrzyżował szyki personelowi.

- Cześć! - powiedział, wreszcie ożywiwszy po paru próbach struny głosowe. Czuł, jakby osiadła na nich rdza. - Jak tam ze mną?

Siostra uśmiechnęła się i przyłożyła palec do ust w jednoznacznym geście zakazującym mówienia. Pielęgniarki wprawnie zmierzyły pacjentowi tętno i temperaturę. Sprawdziły odruchy. Gdy jedna z nich uniosła, a potem puściła jego prawą rękę, Poole zauważył coś szczególnego. Kończyna opadała powoli, zbyt wolno jak na typowe ciążenie. Zresztą cały też czuł się dziwnie lekki. Z ciekawości spróbował się poruszyć.

Jestem zatem na jakiejś innej planecie. Lub na stacji kosmicznej ze sztucznym ciążeniem.



Na pewno nie na Ziemi.

Już miał o to spytać, gdy siostra przycisnęła mu coś do szyi, poczuł dziwne łaskotanie i momentalnie zasnął. Zanim odpłynął w ciemność bez majaków, pomyślał jedno jeszcze.

Dziwne, przez cały czas nie odezwały się ani słowem.

### 3 - REHABILITACJA

Gdy znów się obudził, siostra i pielęgniarki stały obok łóżka. Znalazł dość siły, by jednak przemówić.

- Gdzie jestem? Tyle przecież możecie mi powiedzieć!

Trzy kobiety wymieniły spojrzenia. Wyraźnie nie wiedziały, co uczynić. W końcu siostra odezwała się. Powoli i starannie wymawiała każde słowo z osobna.

- Wszystko w porządku, panie Poole. Profesor Anderson zaraz tu będzie i wszystko panu wyjaśni.

Co wyjaśni? Poole poczuł się nieco zdezorientowany. Dobrze, że chociaż mówi po angielsku, chociaż ten jej akcent... Do niczego nie pasuje.

Anderson na pewno został wezwany już nieco wcześniej, ponieważ drzwi otwarły się ledwie po kilku chwilach. Przez mgnienie oka Poole widział zgromadzony za doktorem mały tłumek ciekawskich. Odniósł wrażenie, że jest jakimś nowym eksponatem w ogrodzie zoologicznym.

Profesor, niski i elegancki mężczyzna, wyróżniał się urodą zdradzającą posiadanie nader zróżnicowanych przodków. Poole rozpoznał rozmaite wypływy cech chińskich, polinezyjskich i nordyckich. Anderson przywitał pacjenta uniesieniem prawej dłoni, potem wyraźnie coś sobie przypomniał i po niejakiem wahaniu wyciągnął ową dłoń do uścisku. Zupełnie, jakby ten gest był mu obcy.

- Miło mi widzieć pana w dobrym zdrowiu, panie Poole. Długo już pan u nas nie zabawi.

Znów ten dziwny akcent i owo staranne dobieranie słów. Ale równocześnie pewność siebie, cechująca wszystkich lekarzy w dziejach.

- Miło mi to słyszeć. A teraz może zechciałby pan odpowiedzieć na kilka moich pytań...

- Oczywiście, oczywiście. Za minutkę.

Anderson odezwał się do siostry tak cicho i szybko zarazem, że Poole wyłowił tylko kilka słów, po części zupełnie mu nie znanych. Siostra skinęła na jedną z pielęgniarek, która otworzyła ścienną szafkę i wyciągnęła cienką metalową obręcz. Nałożyła ją Poole'owi na głowę.

- A to po co? - spytał trwając w roli trudnego pacjenta, wiecznie ciekawskiej zmyry doktorów. - Odczyt EEG?

Profesor, siostra i pielęgniarki zrobili dziwne miny. Profesor aż się uśmiechnął.

- Aha, elektro... ence... falo... gram - rzekł powoli, jakby dobywał te pojęcia z głębi pamięci.

- Prawie dokładnie. Chcemy monitorować funkcje pańskiego mózgu.

Mój mózg funkcjonuje wspaniale, byleście jeszcze dali mi go używać, pomyślał z wyrzutem Poole. Niemniej oczekiwanie zdawało się dobiegać końca.

- Panie Poole - odezwał się Anderson, wciąż przemawiając z niejaką emfazą, zupełnie jakby używał obcego sobie języka. - Wie pan, oczywiście, że uległ pan poważnemu wypadkowi podczas pracy poza pokładem Discovery.

Poole skinął głową.

- Owszem. I zaczynam podejrzewać, że ten wypadek był naprawdę poważny.

Andersenowi ulżyło widocznie. Znow się uśmiechnął.

- Ma pan całkowitą rację. Proszę opowiedzieć, co według pana, mogło się stać.

- No, w najlepszym razie Dave Bowman uratował mnie nieprzytomnego i odstawił na pokład. A co z Dave'em? Nikt mi nie chce udzielić żadnej informacji?

- Wszystko w swoim czasie... A w najgorszym razie, co się wydarzyło?

Frank Poole poczuł, jak armia lodowatych mrówek maszeruje mu po kręgosłupie. Z wolna utwierdzał się w podejrzeniach.

- W najgorszym? Umarłem i trafiłem tutaj, cokolwiek to jest, a wy mnie ożywiście. Dziękuję...

- Całkiem trafnie. Jest pan bardzo blisko Ziemi.

Co znaczyło "bardzo blisko"? Ciężenie, chociaż słabe, jednak było, zatem pewnie chodziło o obracające się z wolna koła stacji orbitalnej. Zresztą, mniejsza z tym. Najpierw trzeba wyjaśnić najważniejsze.

Poole szybko dokonał w myślach kilku obliczeń. Jeśli Dave położył go do hibernatora, obudził resztę załogi i doprowadził misję do końca, to "śmierć" mogła potrwać nawet pięć lat!

- Którego dziś mamy? - spytał siłąc się na spokój.

Profesor i siostra wymienili spojrzenia. Poole znow poczuł mróz na karku.

- Muszę panu powiedzieć, że Bowman nie podjął się ratowania pana. Był przekonany, i trudno go winić, że zginął pan nieodwołalnie. Ponadto walczył wówczas o własne przetrwanie... Odleciał pan w przestrzeń, minął system księżyców Jowisza i skierował się ku gwiazdom. Szczęśliwie zamarzał pan na tyle solidnie, że metabolizm ustał całkowicie. To prawie cud, że w ogóle udało się pana odnaleźć. W dziejach ludzkości nie znalazłoby się większego szczęściarza.

Naprawdę?, pomyślał zmieszany Poole. Pięć lat. Dobre sobie! Możliwe, że minął wiek, albo i nawet więcej.

- Niech wreszcie usłyszę prawdę.

Profesor i siostra sprawdzili odczyty na jakimś niewidocznym dla pacjenta monitorze i oboje skinęli lekko głowami. Poole domyślił się, że poprzez tę obręcz musi być podłączony do

szpitalnej sieci nadzoru.

- To będzie dla ciebie ciężkie przeżycie, Frank - powiedział ciepło profesor, zmieniając się w przyjaznego lekarza domowego. - Ale dasz sobie radę. W twoim przypadku im szybciej się dowiesz, tym lepiej. Jesteśmy na początku czwartego tysiąclecia. Uwierz mi, opuściłeś Ziemię prawie tysiąc lat temu.

- Wierzę panu - szepnął spokojnie Poole i całkiem nagle pokój zawirował mu przed oczami, a sekundę później wszystko zniknęło.

Odzyskawszy przytomność, ujrzał się nie w sali szpitalnej, ale w luksusowym apartamencie z nader uroczymi i zmiennymi obrazami na ścianach. Niektóre przedstawiały znane malowidła, inne krajobrazy, również i morskie, ładną podobne do tych spotykanych w jego czasach. Nie dopatrzył się w otoczeniu żadnych obcych elementów, ale te, jak odgadł, pojawią się dopiero później.

Umeblowanie i wyposażenie dobrano starannie. Ciekawe, jak wygląda obecna telewizja? I ile mają tu kanałów? Jednak nie znalazł przy łóżku żadnego pilota, żadnych przełączników. Wiedział, że czeka go ciężka nauka. Ostatecznie znalazł się w roli dzikusa, który nagle trafił do cywilizowanego świata.

W pierwszej jednak kolejności musiał odzyskać siły i opanować współczesny język. Nawet system zapisu dźwięku, sto lat liczący już sobie w chwili narodzin Poole'a, nie zapobiegł wielkim zmianom w gramatyce i wymowie. No i pojawiły się też tysiące nowych słów, głównie związanych z nauką i inżynierią. Znaczenia niektórych nie potrafił się nawet domyślić.

A co najgorsze, minione tysiąclecie dostarczyło miliardów nazwisk ludzi sławnych (i niesławnych), które dla Poole'a były tylko pustymi dźwiękami. Na razie każdą rozmowę musiał przerywać, żądając minimum danych biograficznych tej czy innej postaci, i taki stan miał potrwać jeszcze wiele tygodni.

Z wolna wracał do formy, zwiększała się też liczba odwiedzających go gości. Profesor Anderson pilnie baczył na te wizyty, dopuszczając przede wszystkim lekarzy specjalistów, uczonych kilkunastu dziedzin i dowódców statków kosmicznych. Ci ostatni interesowali Poole'a najbardziej.

Nie był najlepszym źródłem informacji, szczególnie w zestawieniu z gigantycznymi zasobami gromadzonych przez wieki danych, jednak czasem zaskakiwał doktorów i historyków jakimś drobiazgiem pamiętanym z własnych czasów i rzucał nowe światło na dane wydarzenie, podsuwał obce im skojarzenia. Traktowali go zawsze z szacunkiem i cierpliwie wysłuchiwali odpowiedzi, jednak sami niechętnie udzielali wyjaśnień. Poole rozumiał potrzebę ochrony przed szokiem kulturowym, ale gdy już nieco dokuczyła mu ta nad - opiekuńczość, zaczął rozważać

możliwość ucieczki z luksusowego ośrodka odosobnienia. Nie żeby naprawdę zamierzał coś podobnego, ale przy paru okazjach sprawdził drzwi. Nie zdumiał się nawet, stwierdziwszy, że zamykano je porządnie za ostatnim wychodzącym gościem.

Wszystko zmieniło się wraz z przybyciem pani doktor Indry Wallace. Chociaż miała angielsko brzmiące nazwisko, zdawała się pochodzić z Japonii i bez większego trudu można ją było sobie wyobrazić w roli całkiem dobrej i doświadczonej gejszy. Niemniej ta dziewczyna uchodziła za świetnego historyka i kierowała katedrą na jednym z uniwersytetów, wciąż puszczących się tradycją (i bluszczami na kolegiach). Ponadto, ku wielkiej radości Poole'a, władała dawnym angielskim.

- Panie Poole - zaczęła głosem konkretnym, jakby zamierzała robić tu interesy. - Wyznaczono mnie na pańską oficjalną przewodniczkę i, powiedzmy, mentorkę. Mam stosowne kwalifikacje, specjalizuję się w pana okresie historycznym. Temat mojego doktoratu brzmiał: "Zanik państwa narodowego, 2000 - 2050". Mam nadzieję, że możemy sobie nawzajem sporo pomóc.

- Nie wątpię. Po pierwsze chciałbym, aby mnie pani stąd zabrała. Niech ujrzę trochę tego waszego świata.

- Do tego właśnie zmierzam. Najpierw musimy jednak wyposażyć pana w ident. Człowiek bez identyfikatora w zasadzie nie istnieje. Nigdzie nie mógłby pan wejść, niczego by pan nie dostał. Nasze urzędnicy po prostu by pana nie dostrzegali.

- Mogłem się spodziewać czegoś takiego - uśmiechnął się krzywo Poole. - Identyfikatory wprowadzono w moich czasach, ale wielu ludziom to się nie podobało.

- Niektórzy nadal narzekają. Wyprawiają się w dzikie ostępy, a jest ich obecnie na Ziemi znacznie więcej niż w pańskich czasach! Ale zawsze biorą ze sobą minikompy, żeby wezwać pomoc w razie potrzeby. Wytrzymują średnio pięć dni.

- Przykro mi słyszeć, że ludzkość aż tak się zdegenerowała.

Sprawdzał dziewczynę ostrożnie, próbując ustalić granice jej tolerancji i ogólny profil osobowościowy. Czekala ich długa współpraca, przy czym to doktor Indry Wallance miała być stroną dominującą, on zaś zależną. Wątpił, czy zdoła polubić swój ą mentorkę, która najpewniej ma go jedynie za fascynujący eksponat muzealny.

Ku zdumieniu Poole'a, pani doktor nie zaprotestowała.

- Tak, uległa pewnym wypaczeniom, przynajmniej pod niektórymi względami. Fizycznie jesteśmy słabsi, ale ogólnie zdrowsi i lepiej przystosowani do życia niż większość ludzi w dziejach gatunku. Ostatecznie opowieść o dobrym dzikusie zawsze była tylko mitem.

Podeszła do małej kwadratowej tabliczki osadzonej w drzwiach gdzieś tak na wysokości

oczu. Płytką miała rozmiar stronicy dawnych magazynów, które zalewały Ziemię w epoce słowa drukowanego. Poole już wcześniej zauważył, że w każdym pokoju jest przynajmniej jedna. Zwykle trwały puste, czasem jednak przesuwały się po nich linijki tekstu. Niezrozumiałego zresztą, chociaż część słów brzmiała nawet swojsko. Któregoś razu płytka w pokoju Poole'a zaczęła natarczywie popiskiwać, ale zignorował sygnał, uznawszy, że to nie jego kłopot. I rzeczywiście, odgłos umilkł wkrótce, równie raptownie jak rozbrzmiał.

Doktor Wallace przycisnęła do płytki otwartą dłoń, po kilku sekundach ją odjęła i spojrzała z uśmiechem na Poole'a.

- Proszę zerknąć.

Ten napis zdradzał niejaki sens:

WALLACE, INDRA [F2970.03.11/31.885//HIST.OXFORD]

- Domyślam się, że F to Female, czyli płeć żeńska, dalej mamy datę urodzenia: jedenasty marca dwa tysiące dziewięćset siedemdziesiątego roku. I wskazówkę, że jest pani jakoś związana z Wydziałem Historii na Oxfordzie. A trzy jeden osiem osiem pięć to chyba osobisty numer identyfikacyjny. Zgadza się?

- Doskonale, panie Poole. Widziałam kilka waszych oznaczeń poczty elektronicznej, wasze numery kart kredytowych... Jakie to było skomplikowane! Zupełnie niepotrzebnie, bo wszyscy znamy naszą datę urodzenia i możemy być pewni, że dzielimy ją mniej więcej z dziesięcioma tysiącami ludzi minus dwa. Zatem pięciocyfrowa liczba zawsze wystarczy... I nawet jak się zapomni, to też nie szkodzi. Zawsze nosi się ją ze sobą?

- Implant?

- Tak, nanoczip wszczepiany po urodzeniu, na wszelki wypadek w obie dłonie. Nawet pan tego nie poczuje. Mamy jednak z panem mały kłopot...

- Jaki?

- Nasze czytniki nie uwierzą w pańską prawdziwą datę urodzenia. Zatem, jeśli pan pozwoli, przesuniemy ją o tysiąc lat.

- Pozwolenie udzielone. A co z resztą kodu?

- Opcjonalnie. Może zostawić pan puste miejsce, może podać swoje aktualne zainteresowania lub miejsce pobytu. Albo zaprogramować na osobiste przekazy, globalne lub wybiórcze.

Niektóre rzeczy chyba nigdy się nie zmieniają, pomyślał Poole. Zapewne wiele z tych "wybiórczych" przekazów to sprawy nader osobiste.

Zastanowił się, czy wciąż płaczą się po Ziemi stanowieni prawem lub własną obsesją cenzorzy i czy ich wysiłki, by naprawić podobno wywichnięte morale bliźnich, są choć odrobinę

skuteczniejsze niż w jego czasach.

Postanowił spytać o to doktor Wallace, gdy tylko pozna ją nieco lepiej.

## 4 - POKÓJ Z WIDOKIEM

Frank, profesor Andersen uważa, że masz już dość siły na mały spacer.

- Miła wiadomość. Czy znasz wyrażenie "świrować"?

- Nie, ale domyślam się, co może znaczyć.

Poole przywykł już do obniżonej grawitacji i bez problemów poruszał się długimi, płynnymi skokami. Pół G, akurat dość, by poczuć się dobrze. Po drodze napotkali tylko kilka osób, same obce twarze. Wszyscy jednak uśmiechali się, rozpoznając Poole'a, który nawet ucieszył się, uznając z niejaką nutką zarozumiałości, że przez te dni rehabilitacji musiał chyba zostać dość sławną personą. Popularność przyda się w urządzaniu sobie reszty życia, pomyślał Poole. A będzie to przynajmniej pół wieku, wedle zapewnień Andersena...

Korytarz ciągnął się wciąż taki sam. Co pewien czas mijali ponumerowane i wyposażone w uniwersalne płytki drzwi. Przeszli już ponad dwieście metrów, gdy Poole zatrzymał się nagle, porażony oczywistym odkryciem.

- To naprawdę wielka stacja! - zakrzyknął. Indra odpowiedziała uśmiechem.

- Jak wy to mówiliście? "Jeszcze ci oko zabieleje"?

- "Zbieleje" - poprawił odruchowo Poole, wciąż próbując ocenić rozmiary stacji. Poddał się, gdy doszli do czegoś na kształt drogi szybkiego ruchu. Miniaturowej wprawdzie i z jednym tylko pojazdem na dwunastu pasażerów, ale zawsze.

- Galeria widokowa numer trzy - rozkazała Indra i kapsuła ruszyła posłusznie.

Poole sprawdził czas na misternej bransolecie, której wszystkich funkcji jeszcze nie zgłębił. Powszechne przyjęcie czasu uniwersalnego stanowiło jedno z pomniejszych zaskoczeń. Utrudniający życie przekładaniec stref czasowych zniknął bez śladu za sprawą rozwoju globalnych sieci komunikacyjnych. Dyskusje zaczęły się jeszcze w dwudziestym pierwszym stuleciu, to wtedy zaproponowano, by czas słoneczny zastąpić gwiezdny. Ostatecznie godziny wschodu słońca stały się ruchome: jeśli teraz wschód przypadał gdzieś o północy, za pół roku będzie to pora zachodu.

Jednak poza tym niewiele z owych zmian wynikło dla kalendarza. To akurat, jak zauważono cynicznie, musiało jeszcze poczekać aż ludzkość zdoła naprawić jeden z drobniejszych błędów Boga i tak skoryguje orbitę Ziemi, żeby każdy z dwunastu miesięcy liczył dokładnie po trzydzieści równych dni.

Sądząc po przybliżonej szybkości i długości podróży, Poole ocenił, że przebyli ze trzy kilometry, zanim pojazd zahamował w końcu, drzwi się rozsunęły i rozległ się uprzejmy głos automatu:



- Szerokich widoków. Zachmurzenie wynosi dzisiaj trzydzieści pięć procent.

Znaczy, dotarliśmy w pobliże zewnętrznej powłoki, pomyślał Poole i zdumiał się raz jeszcze. Mimo iż przebyli spory dystans, siła i wektor grawitacji nie zmieniły się ani o jotę! Nie potrafił wyobrazić sobie obracającej się w kosmosie wkoło własnej osi stacji kosmicznej na tyle olbrzymiej, by na odcinku trzech kilometrów... A może to jednak jakaś planeta? Ale na wszystkich zamieszkanym światach Układu Słonecznego byłby jeszcze lżejszy...

Kolejne drzwi wiodły do małej śluzy, zatem chyba jednak są w kosmosie. A gdzie skafandry? Rozejrzył się niespokojnie. Wpojone dawno temu odruchy wciąż działały. Nie można igrać z próżnią. Przekonał się o tym na własnej skórze. I ten raz winien wystarczyć.

- Już dochodzimy - stwierdziła uspokajająco Indra.

Za ostatnimi drzwiami czerniał kosmos odgradzony tylko wielkim, zakrzywionym we wszystkich kierunkach oknem. Poole poczuł się jak złota rybka w szklanej bańce. Mam nadzieję, że współcześni inżynierowie wiedzą, co robią, pomyślał. Na pewno dysponują materiałami o wiele lepszymi niż w moich czasach.

Nie przywykłe do mroku oczy nie dostrzegały jeszcze gwiazd, które powinny być całkiem dobrze widoczne. Poole ruszył ku oknu, by ujrzeć nieco więcej nieba, ale Indra go powstrzymała.

- Spójrz uważnie - powiedziała. - Widzisz?

Zamrugał i wbił spojrzenie w noc. Nie, to chyba złudzenie. Albo rysa na szkle, niech mnie bogowie mają w swojej...

Poruszył lekko głowę. Nie, to nie skaza, ale coś nader prawdziwego. Ale co? Przypomniał sobie Euklidesową definicję prostej, tworu posiadającego jeden tylko wymiar: długość.

Przez całe okno biegła w pionie taka właśnie linia. Ciągnęła się gdzieś dalej w dół i w górę niczym nitka światła o zgoła niemierzalnej szerokości. Jednak w regularnych odstępach widniały na niej jaśniejsze punkciki, zastygłe jak krople wody na pajęczynie.

Poole z wolna podchodził coraz bliżej do okna, aż w końcu mógł spojrzeć w dół. Ujrzał znajomy widok całego kontynentu europejskiego i połaci północnej Afryki. Wielekroć podziwiał to podczas lotów i szybko ustalił wreszcie, gdzie jest. Na orbicie, zapewne równikowej, co najmniej tysiąc kilometrów ponad powierzchnią.

Indra spoglądała nań tejmniczo.

- Podejź jeszcze bliżej - powiedziała cicho. - I spójrz prosto pod nogi. Mam nadzieję, że nie cierpisz na zawroty głowy.

Poole aż się zachnął. Z takim tekstem do astronauty! Z lękiem wysokości nigdy nie dostałbym tej roboty...

- Mój Boże! - wrzasnął i mimowolnie odsunął się od krawędzi platformy. Potem zebrał się

w sobie i zerknął ponownie.

W dole błyszczało Morze Śródziemne, on zaś tkwił w wieży o średnicy kilku ładnych kilometrów. Ale nie to było najniezwykłejsze. Wieża ta zdawała się nie mieć końca. Wciąż tak samo masywna ciągnęła się w dół, aż znikwała gdzieś w mgłach nad Afryką. Najpewniej biegła do samej powierzchni Ziemi.

- Jak wysoko jesteśmy? - wyszeptał.

- Dwa tysiące km. Ale popatrz jeszcze do góry.

Tym razem Poole doznał o wiele mniejszego wstrząsu. Wiedział już, czego oczekiwać. Wieża malała w perspektywie aż do nikłej, świetlistej nici, która niewątpliwie ciągnęła się aż na pułap orbity geostacjonarnej, trzydzieści sześć tysięcy kilometrów ponad równikiem. Poole pamiętał, że w jego dniach snuto podobne fantazje, ale nie sądził, że kiedykolwiek ujrzy ich urzeczywistnienie. I sam w czymś takim zamieszka.

Wskazał na nić blasku nad wschodnim horyzontem.

- Kolejna wieża?

- Tak, Azjatycka. - Ile ich jest?

- Tylko cztery, symetrycznie rozmieszczone na równiku. Afryka, Azja, Ameryka i Oceania. Ta ostatnia jest niemal pusta, ledwie kilkaset ukończonych poziomów. Nic, tylko wodę z niej widać...

Poole wciąż chłonał widok, gdy nagle coś doń dotarło.

- Kiedyś wokół Ziemi krążyły tysiące sztucznych satelitów. Na wszystkich możliwych orbitach. Jak unikacie kolizji?

- Nie zastanawiałam się nad tym - powiedziała nieco zmieszana Indra. - To nie moja działka. - Zamyśliła się na moment. - Podejrzewam, że zarządzili jakieś wielkie sprzątnięcie. Obecnie wszystkie orbity poniżej stacjonarnej są puste.

Dobrze pomyślane, stwierdził Poole. Takie cztery wieże powinny być zdolne przejąć funkcje tysięcy satelitów i stacji orbitalnych.

- I nigdy nie było żadnych wypadków? Na przykład zderzeń ze startującymi lub lądującymi statkami?

Indra spojrzała na swego podopiecznego ze zdumieniem.

- Od lat nikt już ich tu nie widział - wyjaśniła i wskazała w górę. - Wszystkie porty kosmiczne przeniesiono tam, gdzie ich miejsce, na zewnętrzny pierścień. O ile dobrze pamiętam, to ostatnia rakieta wystartowała z Ziemi jakieś czterysta lat temu.

Kolejna nowina do przetrwania, pomyślał Poole i nagle dojrzał dziwne anomalie. Niby nic, jednak dawni instruktorzy skutecznie wbili mu w głowę, iż pośród próżni byle drobiazg może

zadecydować o życiu lub śmierci.

Słońce tkwiło niemal dokładnie ponad wieżą, oświetlając jedynie wąski pas podłogi przy oknie. Jednak w poprzek owego pasa ciągnął się drugi, znacznie słabszy, a rama okna rzucała podwójny cień.

Poole musiał prawie uklęknąć, by dojrzeć tajemnicze źródło światła. Myślał, że nic już go nie zdziwi, ale widok dwóch słońc na niebie po prostu odebrał mu mowę.

- Co to jest? - wykrztusił po dłuższej chwili.

- Och, nie powiedzieli ci? To Lucyfer.

- Ziemia ma drugie słońce?

- Cóż... Wiele ciepła nam nie daje, ale wyłączyło Księżyc z u - żytku... Kiedyś, jeszcze przed drugą misją, tą która poleciała was szukać, to była planeta Jowisz.

Wiedziałem, że czeka mnie wiele nauki o tym świecie, pomyślał ponuro Poole. Ale żeby aż tyle...

## 5 - NAUKA

Pewnego dnia wtoczono do pokoju telewizor i ustawiono go w nogach łóżka. Poole był zachwycony i zdumiony jednocześnie. Zachwyt brał się z coraz silniej trawiącego biedaka głodu informacyjnego, zdumienie zaś wynikało z faktu, że akurat ten model odbiornika telewizyjnego już tysiąc lat temu uchodził za przestarzały.

- Obiecaliśmy pracownikom muzeum oddać eksponat nie uszkodzony - powiedziała siostra.

- I mam nadzieję, że potrafisz go obsługiwać.

Biorąc do ręki pilota, Poole poczuł przyływ ostrej nostalgii. Przypomniawszy sobie czasy dzieciństwa, kiedy to większość telewizorów nie reagowała jeszcze na polecenia wydawane głosem.

- Dziękuję, siostrze. Jak nazywa się najlepszy kanał informacyjny?

W pierwszej chwili kobieta zdumiała się, potem jednak twarz jej pojaśniała.

- A, rozumiem. Profesor Andersen uważa, że na razie nie jest pan gotowy. Archiwum przygotowało dla pana taki bardziej swojski zestaw.

Poole zastanowił się przelotnie, jakież to nośniki informacji wykorzystuje się powszechnie w tych dniach. Pamiętał kompaktki, chociaż ekscentryczny stryjek George wciąż zbierał czarne krążki tradycyjnych płyt. Brat ojca był naprawdę dumny ze swojej kolekcji... Ale rywalizacja technologiczna musiała dobiec końca wiele stuleci temu; zgodnie z darwinowskimi zasadami doboru, wygrać winien środek najporęczniejszy.

Poole zauważył, że programy zestawiono bardzo sensownie. Widać czynił to ktoś dobrze obeznany z dwudziestym pierwszym stuleciem. Może Indra? Sprawy drażliwe pominięto całkowicie, ani słowa o wojnach czy aktach przemocy, szczątkowe informacje o biznesie i polityce. Słusznie zresztą, bo po tysiącu lat takie sprawy nie miały już żadnego znaczenia. Kilka lekkich komedii, trochę relacji sportowych (w tym ulubione przez Poole'a transmisje tenisa), muzyka klasyczna i popularna, nieco filmów przyrodniczych.

Ktokolwiek zbierał materiał, wykazał się poczuciem humoru, ponieważ całość ozdabiały odcinki serialu Star Trek. Kiedyś, jeszcze jako mały chłopak, Poole miał okazję spotkać Patricka Stewarda i Leonarda Nimoya. Ciekawe, co by powiedzieli, gdyby jakimś tajemniczym sposobem dane im było odgadnąć przyszłe losy tego nieśmiałego dzieciaka, który prosił ich o autografy.

Gdy tak przeglądał obrazy, głównie na przewijaniu z podglądem, dotarło do niego, że jeśli utrzymała się znana mu tendencja, to nigdy nie poogląda sobie tej ich współczesnej telewizji. Na przełomie stuleci (jego stuleci) istniało na świecie około pięćdziesięciu tysięcy jednocześnie

nadających stacji telewizyjnych. Ile może być teraz? Miliony? Jeśli tak, to nawet najbardziej cyniczny krytyk musiałby znaleźć w nich co najmniej milion godzin ze wszech miar wartego uwagi programu. Jak odszukać tę garść igieł w tak gigantycznym stosie siana?

Poole w końcu stracił serce do telewizji i po tygodniu coraz bardziej bezmyślnego wpatrywania się w szklany ekran poprosił o zabranie odbiornika. Może i dobrze uczynił, bo tkwienie przed telewizorem zajmowało mu coraz więcej czasu. Inna sprawa, że w miarę powrotu sił sypiał coraz mniej.

Nuda mu nie groziła, codziennie odwiedzali go nie tylko poważni naukowcy, ale również dociekliwi obywatele, zapewne ci bardziej wpływowi, bo tylko tacy mieli szansę pokonać kordon stworzony przez siostrę i profesora. Niemniej ucieszył się, gdy któregoś dnia telewizor powrócił: Poole zaczynał zdradzać symptomy zamykania się w sobie. Tym razem postanowił staranniej dobierać audycje.

Razem z antycznym wynalazkiem przybyła szeroko uśmiechnięta Indra Wallace.

- Musisz zobaczyć, co znaleźliśmy. Może trochę ci to pomoże, a tak czy inaczej jestem pewna, że zabawi.

Poole podszedł do sprawy sceptycznie, taka zapowiedź mogła znaczyć patentowaną nudę. Ostatecznie jednak obejrzał program z zainteresowaniem. Znow był w swoich czasach, poznał głos osoby niegdyś bardzo znanej. Tak, przecież oglądał kiedyś to na żywo... - Tu Atlanta, mamy trzydziesty pierwszy dzień grudnia dwutysięcznego roku. Oglądacie państwo CNN International. Tylko pięć minut dzieli nas od nowego tysiąclecia i wszystkich zagrożeń oraz nadziei, jakie ze sobą przyniesie... - Zanim jednak spróbujemy zgłębić przyszłość, obejrzyjmy się za siebie i spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, czy ktokolwiek żyjący w roku tysięcznym miałby szansę wyobrazić sobie dzisiejszy świat, czy zdołałby go pojąć, gdyby jakimś magicznym sposobem przeniósł się poprzez wieki?

Niemal cała otaczająca nas, tak znajoma technosfera pochodzi od wynalazków dokonanych pod koniec tego tysiąclecia, przede wszystkim w ostatnich dwustu latach. Maszyna parowa, elektryczność, telefon, radio, telewizja, kino, lotnictwo, elektronika... I ostatecznie, w trakcie życia tylko jednego pokolenia, energia atomowa i loty kosmiczne. Co zrozumiałyby z tego najtęższe umysły przeszłości? Czy Archimedes i Leonardo ostaliby w naszym świecie przy zdrowych zmysłach?

Aż kusi pomyśleć, że my sami, przeniesieni tysiąc lat w przyszłość, poradzilibyśmy sobie zapewne lepiej. Podstawowe odkrycia naukowe mamy już za sobą, chociaż z pewnością należy spodziewać się wielkiego skoku technologicznego. Czy trafilibyśmy na jakieś urządzenia magiczne dla nas, równie nieodgadnione jak kamera wideo czy kieszonkowy kalkulator dla Isaaca Newtona?

Zapewne jesteśmy pod tym względem w sytuacji lepszej niż kiedykolwiek. Telekomunikacja, możliwość utrwalania głosów i obrazów, które niegdyś ulatywały bez śladu, podbój przestrzeni powietrznej i kosmicznej wykraczają poza najbardziej śmiałe fantazje sprzed tysiąca lat. A co może i ważniejsze, Kopernik, Newton, Darwin i Einstein na tyle odmienili nasz sposób myślenia i nasze spojrzenie na wszechświat, że najbystrzejsi spośród przodków pewnie uznaliby nas nawet za nowy gatunek.

Czy nasi potomkowie za tysiąc lat będą patrzeć na nas z takim samym politowaniem, jak my spoglądamy na przesądnych, hołdujących ignorancji, nękanych chorobami i umierających młodo antenatów? Puszmy się, że znamy odpowiedzi na pytania, których tamci nie potrafili sformułować, ale czym zaskoczy nas trzecie tysiąclecie?

Oto już nadchodzi... Wielki dzwon zaczął wybijać pomoc. Ostatnie uderzenie zawisło echem w ciszy... - I dokonało się. Żegnaj piękny i straszny dwudziesty wiek...

Obraz zamigotał i na ekranie pojawił się ktoś zupełnie nowy, przemawiający z akcentem, ale Poole rozumiał wypowiedź całkiem dobrze. Wrócili do teraźniejszości.

- Teraz, w pierwszych minutach roku trzy tysiące pierwszego, możemy odpowiedzieć na pytania sprzed tysiąca lat...

Z pewnością goście z roku dwa tysiące pierwszego nie byłoby dzisiaj aż tak wstrząśnięci, jak przybysz z roku tysięcznego w ich erze. Wiele naszych wynalazków potrafili przynajmniej przewidzieć, tak jak miasta na orbicie, kolonie na Marsie i innych planetach. Może byłoby nawet trochę rozczarowani, gdyż nie jesteśmy jeszcze nieśmiertelni, wysłaliśmy sondy ledwie na co bliższe gwiazdy...

Nagle Indra wyłączyła odbiornik.

- Potem obejrzyj sobie resztę. Wyglądasz na zmęczonego, Frank. Ale mam nadzieję, że to pomoże ci się przystosować.

- Dzięki, Indra. Muszę się przespać z problemem. Ale jedno jest oczywiste.

- Co mianowicie?

- Winienem dziękować losowi, że nie jestem gościem z jedenastego wieku, który trafił do dwudziestego pierwszego. Tamten przeskok rzeczywiście byłby zbyt duży. Wątpię, by ktokolwiek zdołał sobie z nim poradzić. Teraz znam przynajmniej elektryczność i nie uciekam pod łóżko przed gadającymi obrazkami.

I mam nadzieję, że się nie mylę, pomyślał Poole. Ktoś powiedział kiedyś, że zaawansowana technologia jest dla laika nieodróżnialna od magii. Czy natrafię tutaj także na czary? I czy zdołam sobie z nimi poradzić?

## 6 - CZAPA

Obawiam się, że czeka cię ciężka próba - powiedział profesor Andersen, jak zwykle z uśmiechem.

- Jakoś to zniosę. Całą okrutną prawdę poproszę.

- Zanim dopasujemy ci czapę, będziesz musiał ogolić głowę. Sam wybierzesz czy normalnie, czy permanentnie. W pierwszym przypadku trzeba odnawiać "fryzurę" z częstotliwością raz na miesiąc.

- A na stałe to jak?

- Skalpel laserowy. Usuwa cebulki.

- Hmm... To odwracalne?

- Owszem, ale przywracanie czupryny jest operacją kłopotliwą, bolesną i trwa aż kilka tygodni.

- W takim razie na początek skorzystam z pierwszego wariantu, a dopiero potem ewentualnie zetnę się na dobre. Przykład Samsona działa raczej odstrasżająco.

- Kogo?

- Samsona. To postać z pewnej starej księgi. Jego dziewczyna ścięła mu włosy, gdy spał, a jak się obudził, to odeszły go wszystkie siły.

- Teraz sobie przypominam. Oczywista symbolika!

- Ale nie miałbym nic przeciwko całkowitemu pożegnaniu się z brodą. Raz na zawsze koniec z porannym goleniem.

- Da się załatwić. A jaką perukę sobie życzysz!

Poole roześmiał się.

- Aż tak próżny nie jestem. Zresztą peruka chyba mi przeszkadzała. Jeszcze zobaczymy.

Fakt niemal powszechnego wyłysienia Poole odkrył stosunkowo późno. Pierwszy raz zdumiał się, gdy obie pielęgniarki zdjęły treski, i to gestem całkiem naturalnym, bez cienia zażenowania. Zaraz potem zajęło się nim kilkunastu kompletnie łysych specjalistów od testów mikrobiologicznych. Z początku był gotów sądzić, że brak owłosienia stał się znakiem profesji medycznych i został podyktowany wymogami higienicznymi.

Mylił się, nie w tym jednym zresztą. Gdy wreszcie odkrył prawdziwą przyczynę, bawił się odgadywaniem, czy aktualni goście noszą owłosienie sztuczne czy własne. Mężczyźni miewali włos autentyczny, kobiety zawsze nosiły peruki. Producenci tresek najpewniej przeżywali złoty okres.

Profesor Anderson nie marnował czasu. Jeszcze tego samego popołudnia pielęgniarki wysmarowały Poole'owi głowę jakimś cuchnącym kremem. Gdy godzinę później pacjent spojrzął w lustro, prawie się nie poznał i pomyślał, że może zamówienie sobie peruki nie byłoby jednak najgorszym pomysłem,...

Dopasowanie czapy trwało nieco dłużej. Najpierw należało zrobić odlew, co wymagało kilku minut bezruchu, żeby tworzywo zdążyło skrzepnąć. Pielęgniarki rozchichotały się przy tym zupełnie nieprofesjonalnie, a zdejmowanie formy szło cokolwiek opornie. Już oczekiwał, że jego łeb okaże się niestosowny w kształcie, skończyło się jednak na bolesnych jękach.

Potem pojawiła się sama czapa, metalowy hełm nasuwany aż na uszy. Gdyby moi żydowscy przyjaciele mogli mnie teraz zobaczyć, pomyślał Poole z niejaką nostalgią. Po kilku minutach przestał czuć, że ma cokolwiek na głowie.

W końcu całkowicie przygotowano go do instalacji, zabiegu, który od ponad pięciuset lat był dla każdego młodego człowieka czymś na kształt inicjacji, rytu przejścia. Zdumiewające...

- Nie trzeba zamykać oczu - powiedział technik, którego przedstawiono Poole'owi jako inżyniera mózgowego; określenie to w powszechnym użyciu skracano do mniej pretensjonalnej nazwy "mózgowiec". - Gdy zaczniemy ustawianie, pańskie impulsy i tak zostaną wygaszone. Nawet z otwartymi oczami nic pan nie zobaczy.

Ciekawe, czy wszyscy przeżywają ten proces w podobny sposób, zastanowił się Poole. A jeśli stracę kontrolę nad swoim umysłem? Nauczyłem się ufać technologiom nowej epoki, jak dotąd mnie nie zawiodły. Ale, jak kiedyś powiadano, zawsze jest ten pierwszy raz...

Zgodnie z zapowiedzią, nie poczuł niczego prócz delikatnego łaskotania mikrodrucików, przenikających całą gromadą przez skórę czaszki. Zmysły działały normalnie, ten sam pokój, znajome widoki.

Mózgowiec założył własną czapę, również podłączoną do urządzenia dziwnie podobnego do dwudziestowiecznego laptopa, i uśmiechnął się, jakby chciał dodać klientowi odwagi.

- Gotowy?

- Od urodzenia - mruknął Poole, przypominając sobie dawne powiedzonko.

Światło zdało się niknąć z wolna, zapadła wielka cisza, przestało istnieć nawet osłabione ciśnienie wieży. Był embrionem pływającym w bezkresnej przestrzeni rozjaśnionej mdławym ultrafioletowym promieniowaniem. Dotąd ujrzał coś takiego tylko raz w życiu, gdy nierozsądnie zapuścił się na sporą głębokość wzdłuż ściany Wielkiej Rify Koralowej. Spojrzął wówczas w dół, na setki metrów krystalicznie czystej wody, i na chwilę poczuł się zagubiony. Moment dezorientacji trwał krótko, ale przywiódł go niemal do paniki. Jeszcze trochę, a wduśliłby przycisk pospiesznego wynurzenia. Oczywiście lekarzom z Agencji Kosmicznej nie wspomniał o tym ani



słowem...

Gdzieś z wielkiej dali dobiegł jakiś głos. Nie docierał do Poole'a poprzez uszy, ale jakby legł się wprost w labiryntach mózgu.

- Zaczynamy kalibrację. Od czasu do czasu będę zadawał panu pytania, może pan odpowiadać myślą, ale nie zaszkodzi odzywać się głośno. Rozumie pan?

- Tak - odpowiedział Poole, nie wiedząc nawet, czy w ogóle poruszył ustami. Nie czuł warg.

Coś pojawiło się w pustce, siatka cienkich linii, coś jak osobliwa karta papieru milimetrowego. Kreski ciągnęły się we wszystkich czterech kierunkach, poza granice pola widzenia. Spróbował poruszyć głową, ale obraz trwał niezmienny.

Mignęły jakieś cyfry, zbyt szybko, by je odczytać, ale zapewne jakiś obwód wszystko to odbierał. Poole uśmiechnął się mimowolnie (czy policzki drgnęły?), kojarząc cały zabieg z komputerowym badaniem wzroku. Tysiąc lat temu kontrola wzroku przebiegała dziwnie podobnie.

Siatka zniknęła, miast niej pojawiła się kolorowa płaszczyzna, która szybko zmieniła barwę., przebiegając całe spektrum światła widzialnego.

- Tyle to sam wiedziałem - mruknął Poole. - Odbiór barw idealny. Teraz pewnie pora na sprawdzian słuchu.

Nie mylił się. Rozległo się słabe dudnienie. Przyspieszało, aż dotarło do ledwie słyszalnego C, po czym ruszyło w górę, przechodząc ostatecznie w ultradźwięki odbieralne przez nietoperze i delfiny, ale niesłyszalne dla człowieka.

To był ostami z prostych testów. Potem zmysł węchu Poole'a odebrał jeszcze kilka woni, chwilami niekoniecznie przyjemnych, i poczuł się jak zawieszona na sznurkach marionetka.

Domyślił się, że ta grupa testów ma badać jego połączenia neuro-muskularne i mógł tylko łudzić się nadzieją, że reakcje nie manifestują się na zewnątrz zbyt nachalnie. Jeśli tak, to musiał chyba wyglądać jak ktoś w ostatnim stadium nawiedzenia tańcem świętego Wita. Ostatecznie doznał nawet gwałtownej erekcji, a przynajmniej tak mu się zdawało. Nie zdążył niczego sprawdzić, bo zapadł w głęboki sen bez marzeń. .

A może tylko mu się wydawało, że zasnął? Nie miał pojęcia, ile trwało, nim się obudził. Hełm zniknął razem z mózgowcem i całym wyposażeniem.

- Wszystko poszło dobrze - oznajmiła siostra. - Za kilka godzin dowiemy się, czy nie ma jakichś anomalii. Jeśli odczyty wyjdą KO, znaczy OK, to jutro dostanie pan własną czapę.

Poole zwykle zagrzewał swoje opiekunki do prób poznania tajników archaicznej angielszczyzny, jednak wolałby, aby nie popelniały podobnie niefortunnych przejęzyczeń.

Gdy nadeszła pora ostatecznego dopasowania, Poole poczuł się niemal jak chłopiec

odpakowujący znaleziony pod choinką prezent.

- Nie będzie pan musiał przechodzić przez to ponownie - zapewnił go mózgowiec. - Od razu zaczniemy ładowanie. Na początek dam pięciominutowe demo. Proszę się odprężyć.

Rozległa się kojąca muzyka, dziwnie znajoma, niewątpliwie z jego czasów, ale nie potrafił zidentyfikować utworu. Przed oczami zaległa mgła, która się rozstąpiła, gdy ku niej ruszył...

Chodził! Złudzenie było wręcz idealne. Czuł grunt pod stopami, a miast muzyki rozległ się nagle łagodny poszum wiatru w koronach wielkich drzew. Był w lesie, poznał kalifornijskie sekwoje i pomyślał z nadzieją, że one chyba wciąż naprawdę rosną tam, na dole.

Tempo wędrówki wzrosło nienaturalnie, jakby ktoś chciał go oprowadzić po jak największym obszarze, jednak kroczył bez wysiłku. Dlatego odnosił wrażenie, że tkwi w cudzym ciele. Na dodatek przekonał się, że nie ma żadnej kontroli nad marszem. Próby zatrzymania się lub zmiany kierunku nic nie dały.

Ale mniejsza z tym, cieszył się nowym doświadczeniem i już czuł, jakie to potrafi być uzależniające. A przecież wyśniona dawno temu "maszyna snów", niegdyś źródło niepokoju wielu poważnych ludzi, była obecnie w powszechnym użytku. Poole zadumał się, jakim cudem ludzkość w ogóle zdołała przetrwać upowszechnienie tak epokowego wynalazku, i przypomniał sobie, że zaiste nie wszyscy próbę przeszli pomyślnie. Miliony ludzi doprowadziły się do stanu wypalenia mózgu i wypadły poza nawias społeczeństwa.

Oczywiście sam uznawał się za odpornego na podobne pokusy! Wykorzysta ten cud techniki, aby lepiej poznać świat trzeciego tysiąclecia, przyswoić sobie w kilka minut umiejętności, które tradycyjnymi metodami musiałby ćwiczyć całe lata. Może tylko czasem sięgnie po czapę dla czystej zabawy...

Doszedł do skrajów lasu i stanął nad brzegiem wielkiej rzeki. Bez wahania wkroczył w nurt i poczekał, aż głowa zniknie mu pod wodą. Wciąż mógł oddychać, rzecz jasna, chociaż ciekawszym doświadczeniem było widzieć idealnie wszystko w środowisku, które nie pozwala na normalne funkcjonowanie ludzkiego oka. Potrafił policzyć łuski na boku wspaniałego pstrąga, mijającego go całkiem obojętnie.

Syrena! Zawsze chciał ją spotkać. Może jedna popłynęła sobie w górę rzeki, tak jak łosoś, by się rozmnożyć? Zniknęła, zanim zdążył ją zapytać o cokolwiek, chcąc wyjaśnić parę wątpliwości.

Rzeka kończyła się przezroczystą ścianą. Przekroczywszy tę zaporę, trafił pod palące słońce pustyni. Było upiornie gorąco, a jednak mógł spojrzeć prosto w ognistą kulę na niebie. Nawet wyraźnie dostrzegał kilka czerniejących na niej plam. I jeszcze majestatyczną koronę, chociaż ona akurat pokazuje się przecież płomienistymi skrzydłami tylko podczas całkowitego zaćmienia,

Obraz zgasł, wróciła muzyka, znów zapanował miły chłód znajomego wnętrza. Otworzył oczy (choć, czy w ogóle je zamykał?) i ujrzał publiczność czekającą na jego pierwszą reakcję.

- Cudowne! - westchnął. - Czasem prawdziwsze niż na jawie! Jak to bywa z inżynierami, zachwył ustąpił miejsca profesjonalnej ciekawości.

- Nawet to krótkie demo musiało zawierać gigantyczną ilość informacji. Jak to zapisujecie?

- W cegielkach. Takich samych, jak do urządzeń audio - wideo, ale o większej pojemności.

Mózgowiec podał Poole'owi małą kwadratową płytkę, najwyraźniej szklaną, posrebrzaną z jednej strony. Wielkością przypominała znane kiedyś dyskietki komputerowe, ale była dwukrotnie od nich grubsza. Poole obejrzał ją ze wszystkich stron, spróbował zajrzeć do środka, ale ujrzał tylko kilka przypadkowych odblasków tęczowo rozszczepionego światła.

Oto trzymał w dłoni finalny produkt będący wynikiem ponad tysiącletniego procesu - rozwoju elektroniki, optyki i innych jeszcze technologii, w jego czasach nie znanych. Nie był wcale zdziwiony znajomym wyglądem cegielki, ostatecznie wszystkie przedmioty stosowane w codziennym życiu przybierają najbardziej poręczne kształty. Tak jest z nożami, widelcami, książkami, meblami i wymiennymi blokami pamięci komputerowej.

- Jaką to ma pojemność? - spytał. - W moich czasach coś o tych rozmiarach mieściłoby jakiś terabajt. Z pewnością poszłicie dalej.

- Nie aż tak daleko, jakby pan sobie wyobrażał. Istnieją przecież granice związane ze strukturą materii. Ale co to jest terabajt? Chyba zapomniałem.

- Wstydź się pan! Kilo, mega, giga, tera... to dziesięć do dwunastej potęgi. Potem mamy jeszcze petabajt, dziesięć do piętnastej, a dalej nie sprawdzałem.

- Ta płytkę starczy zatem, aby zapisać doświadczenie zebrane podczas całego życia człowieka.

Porównanie robiło wrażenie, ale nie było aż takim zaskoczeniem. Ostatecznie ten kilogram galaretowatej tkanki skrytej w ludzkiej czaszce, nie bywa wiele większy od podobnej cegielki, a sprawia się równie dobrze i wykonuje jeszcze dodatkowo sporo innych funkcji.

- Ale to nie wszystko - dodał mózgowiec. - Przy zastosowaniu kompresji danych można zapisać tu nie tylko wspomnienia, ale i rzeczywistą osobowość.

- I odtworzyć ją potem?

- Oczywiście, dla nanoinżyniera to nie stanowi żadnego problemu.

Słyszałem o tym, pomyślał Poole, ale chyba nie uwierzyłem wtedy do końca.

W jego czasach cieszą się, że cały dorobek życia wielkiego artysty można zapisać na jednym, małym dysku.

Teraz na czymś podobnie niewielkim dawało się utrwalić też osobowość samego artysty.

## 7 - ODPRAWA PO MISJI

Cieszę się, że Smithsonian wciąż jeszcze istnieje - powiedział Poole.

- Pewnie by nas pan nie poznał - odparł gość przedstawiony wcześniej jako doktor Alistair Kim, dyrektor Działu Astronautyki. - Nasze oddziały są obecnie rozrzucone po całym Układzie Słonecznym. Pozaziemskie eksponaty trzymamy na Księżycu i na Marsie, a wiele prawie należących do nas obiektów leci wciąż ku gwiazdom. Mamy nadzieję, odzyskać je kiedyś. Szczególnie zależy nam na sprowadzeniu z powrotem sondy Pioneer 10, pierwszego dzieła ludzkich rąk, które opuściło Układ Słoneczny.

- Skoro mnie odszukaliście, to chyba rychło wam się uda.

- Miał pan szczęście. My zresztą też, sądzę, że rzuci pan nowe światło na wiele rzeczy, które wciąż są dla nas niejasne.

- Szczerze mówiąc, wątpię, ale będę się starał. Pamiętam tylko taranującą mnie kaspulę. Wciąż nie mogę uwierzyć, że wszystkiemu jest winien HAL.

- Owszem, chociaż sprawa nie przedstawia się tak prosto. Wszystko, co zdołaliśmy ustalić, jest na tej płytce. Dwadzieścia godzin nagrania, większość niewątpliwie i tak pan obejrzy na podglądzie. Wie pan też na pewno, że Dave Bowman wziął drugą kapsulę i ruszył panu na ratunek, ale potem HAL uwięził go na zewnątrz, odmawiając otwarcia wjazdu hangaru.

- Ale czemu, na miłość boską?

Doktor Kim skrzywił się lekko. Poole już kilkakrotnie zetknął się z podobną reakcją.

(Muszę uważać na słownictwo, pomyślał. W tej kulturze słowo Bóg zalicza się chyba do niezbyt przyzwoitych. Trzeba będzie spytać Indrę.)

- W oprogramowaniu HAL-a tkwił poważny błąd. Zgodnie z instrukcją miał sprawować kontrolę nad tymi elementami misji, o których ani pan, ani Bowman nie zostaliście nawet poinformowani. Szczegóły znajdzie pan w nagraniu. Tak czy inaczej, HAL wyłączył również systemy podtrzymania życia trzech hibernowanym, czyli załodze Alfa. Bowman musiał wystrzelić ich ciała poza statek...

(Zatem Dave i ja tworzyliśmy załogę Beta. O tym też nie wiedziałem...)

- Co się z nimi stało? - spytał Poole. - Nie dałoby się ich uratować, tak jak mnie?

- Obawiam się, że nie. Szukaliśmy ich, oczywiście. Bowman wystrzelił ich kilkanaście godzin po wyłączeniu HAL-a i odzyskaniu kontroli nad statkiem, zatem ich orbity były nieco inne niż pańska. Niewiele, ale dość, by spłonęli w atmosferze Jowisza, podczas gdy pan musnął ją tylko, minął planetę i przyśpieszając przy tej okazji, skierował się poza układ, dokładnie w kierunku

Mgławicy Oriona. Jeszcze kilka tysięcy lat, a dotarłby pan do celu. Bowman zaś wprowadził Discovery na orbitę Jowisza. Tylko na ręcznym sterowaniu, fantastyczne! I tam napotkał to, co druga ekspedycja nazwała Wielkim Bratem, czyli bez wątpienia trafił na bliźniaka monolitu z Tycho, tylko setki razy większego. Wtedy właśnie straciliśmy Bowma - na. Opuścił Discovery na jedynej pozostałej kapsule i poleciał na spotkanie z Wielkim Bratem. Przez niemal tysiąc lat łamiemy sobie głowę nad jego ostatnim meldunkiem: "Deusie, tam jest pełno gwiazd!".

(Znowu!, pomyślał Poole. Dave nigdy by tak nie powiedział. Już prędzej: "Boże, tam jest pełno gwiazd!".)

- Najwyraźniej monolit przyciągnął kapsułę, ponieważ przetrwała, zapewne wciąż z żywym Bowmanem w środku. Musiało zadziałać jakieś pole, w każdym innym przypadku zmiażdżyłoby ich olbrzymie przyciąganie. Przez prawie dziesięć lat nie wiedzieliśmy nic więcej, dopiero potem dotarła do Jowisza mieszana, amerykańsko - rosyjska wyprawa na pokładzie Leonowa.

- Która odszukała opuszczony statek Discovery. Doktor Chandra wszedł na pokład i ożywił HAL-a. Tak, to już słyszałem.

Doktor Kim nieco się zakłopotał.

- Przepraszam, ale nie wiem, ile właściwie panu dotąd przekazano. Ale po prawdzie dopiero wtedy zrobiło się dziwnie. Przybycie

Leonowa musiało uaktywnić jakieś obwody Wielkiego Brata. Gdyby nie nagrania, nikt by chyba nie uwierzył... Pozwoli pan, to trzeba zobaczyć... Proszę. Doktor HeywoodFloyd trzyma nocną wachtę na pokładzie znów sprawnego Discovery. Poznaje pan?

(Jakby inaczej... Od wieków nieżyjący Heywood siedzi na moim miejscu przed czerwonym, nigdy nie mrugającym okiem HAL-a. I pomyśleć, że obaj, i HAL i ja, doznaliśmy wskrzeszenia z niebytu...)

Na monitorze pojawił się sygnał wezwania. Floyd zareagował dość leniwie.'

- Okay, Hal. Kto dzwoni? BRAK IDENTYFIKACJI. Floyd wyglądał na zdumionego.

- Dobra. Jak brzmi ta wiadomość?

POZOSTAWANIE TUTAJ JEST NIEBEZPIECZNE. MUSICIE ODLECIEĆ PRZED UPŁYWEM PIĘTNASTU DNI.

- To absolutnie niemożliwe. Nasze okno startowe otwiera się dopiero za dwadzieścia sześć dni. Nie mamy dość paliwa na wcześniejszy odlot.

WIEM O TYM. JEDNAK MUSICIE WYRUSZYĆ W CIĄGU PIĘTNASTU DNI.

- Nie mogę potraktować tego ostrzeżenia poważnie, jak długo nie uzyskani informacji, skąd ono pochodzi... Kto mówi?

BYŁEM DAYIDEM BOWMANEM. TO WAŻNE, ŻEBY PAN MI UWIERZYŁ.

PROSZĘ SIĘ OBEJRZEĆ.

Heywood Flyd obrócił się powoli na obrotowym fotelu. Miał na pulpicie i ekran komputera spojrzał na pochyłą ścieżkę kabiny.

- Teraz uwaga - szepnął doktor Kim.

Cały czas uważam jak cholera, pomyślał Poole...

Powietrze w Discovery było bardziej zapyłone, niż to pamiętał. Zapewne instalacje oczyszczania atmosfery jeszcze nie działały. Promienie odległego, ale wciąż jasnego słońca wpadały przez wielkie okno i wyraźnie oświetlały miriady tańczących drobin.

Nagle stało się z nimi coś dziwnego. Jakaś siła odmieniła ich orbity. Jedne odpychała, inne gromadziła, aż utworzyła z nich pustą wewnątrz kulę o średnicy około metra. Kula zawisała ponad pokładem jak bańka mydlana, po czym zmieniła się w elipsoid, które\* W filmie 2010 dialog Floyda z Bowmanem przebiega nieco inaczej, chwilami może nawet zgrabniej, natomiast w powieści 20/0: Druga Odyseja jest znacznie dłuższy (przyp. tłum.). go powierzchnia zaczęła się różnicować. Z fałd powoli wyłaniała się postać człowieka.

Poole widywał podobne figury w muzeach i na wystawach, ale tamte były dmuchane ze szkła. Ten pylisty fantom nie oddawał wiernie szczegółów anatomicznych, przypominał figurę ulepioną z surowej gliny przez kogoś niezbyt wprawnego. Przywodził na myśl rysunek naskalny z ery kamienia. Tylko głowę odwzorowano starannie. I twarz... bez wątpienia będącą obliczem dowódcy Discovery, Davida Bowmana.

WITAM, DOKTORZE FLOYD. CZY TERAZ MI PAN WIERZY?

Usta postaci nie poruszały się. Głos, naprawdę głos Bowmana, dochodził z głośniczka na pulpicie.

TO DLA MNIE NIEŁATWE I MAM MAŁO CZASU. POZWOLONO MI PRZEKAZAĆ TO OSTRZEŻENIE. ZOSTAŁO WAM TYLKO PIĘTNAŚCIE DNI.

- Czemu... I czym teraz jesteś?

Ale widmowa postać już się rozplywała, drobin kurzu wracały na dawne orbity.

DO WIDZENIA, DOKTORZE FLOYD. DŁUŻSZY KONTAKT NIE JEST MOŻLIWY. ALE JAK WSZYSTKO DOBRZE PÓJDZIE, OTRZYMACIE JESZCZE JEDNĄ WIADOMOŚĆ.

Podobizna zniknęła. Poole uśmiechnął się mimowolnie, słysząc stare powiedzenie: "Jak wszystko dobrze pójdzie". Ile to razy powtarzali je przed każdym lotem...

Kurz tańczył w blasku słońca jak gdyby nigdy nic. Poole z wysiłkiem wrócił do teraźniejszej rzeczywistości.

- I co pan o tym sądzi? - spytał Kim.

Trwało trochę, nim Poole zdołał pozbierać myśli.

- Twarz i głos Bowmana... Bez wątpienia. Ale co to było?

- Wciąż nie wiemy. Może rodzaj hologramu, rodzaj projekcji w każdym razie. W zasadzie jest masa sposobów, aby sfabrykować coś podobnego, ale nie w tamtych okolicznościach! Potem zdarzyło się jeszcze więcej.

- Lucyfer?

- Właśnie. Dzięki temu ostrzeżeniu zdążyli uciec, nim Jowisz detonował.

- Zatem owa bowmanopodobna istota była przyjacielem. Chciała pomóc.

- Zapewne. Dała o sobie znać raz jeszcze, przekazując wiadomość ostrzegającą przed próbami lądowania na Europie.

- I nie próbowaliśmy?

- Raz tylko, zresztą zupełnie przypadkowo. Statek Galaxy został porwany i zmuszony do lądowania trzydzieści sześć lat później. Bliźniaczy statek Universe musiał polecieć na ratunek. Ma to pan nagrane. Razem z tym, co nasze zdalne próbniki powiedziały nam o Europejczykach.

- Chętnie ich zobaczę.

- To dwudyszni. Pojawiają się w różnych rozmiarach i kształtach. Gdy tylko Lucyfer zaczął topić lody, które pokrywały cały ten świat, wyszli z morza. Od tamtej pory rozwijają się w nieprawdopodobnym tempie.

- Z tego, co pamiętam, w pokrywie lodowej Europy zawsze było wiele szczelin. Może już wcześniej przez nie wyglądali?

- Jest taka teoria, całkiem popularna. Istnieje jeszcze inna, bardziej ryzykowna. Monolit odgrywa tu jakąś rolę, jaką dokładnie, tego nie wiemy. Do podobnego wniosku przywiodło nas odkrycie TMA - 0". Tutaj, na Ziemi, prawie pięćset lat temu. Słyszał pan o tym?

- Niewiele, ale w natłoku nowości... Chociaż nazwa nieco mi zazgrzytała, skoro te anomalie magnetyczne tkwiły nie w Tycho, ale w Afryce!

- Ma pan rację, jednak zostaliśmy przy dawnym określeniu. Zresztą im więcej się dowiadujemy o monolitach, tym większą stanowią one dla nas zagadkę. Szczególnie, że wciąż są to jedyne znane nam świadectwa istnienia pozaziemskiej, zaawansowanej technologii.

- Dziwne. Sądziłem, że do tej pory udało się odebrać jakieś sygnały radiowe. Przecież szukać zaczęto w czasach, gdy mnie jeszcze nie było na świecie!

- Owszem, trafiliśmy na jeden ślad, chociaż nieco przerażający. Nie lubimy o tym wspominać. Słyszał pan o nowej w Skorpionie?

- Chyba nie.

- Cały czas obserwujemy jakieś gwiazdy wchodzące w stadium nowej, ale ta gwiazda miała kilka planet. Wiedzieliśmy o tym zanim jeszcze wybuchła.

- Mieszkał tam ktoś?

- Trudno powiedzieć. Nasłuch radiowy nic nie wyłowił. Ale nie w tym rzecz... Jedna z pierwszych automatycznych sond trafiła właśnie tam i stąd wiemy, że cały proces nie zaczął się od gwiazdy. Najpierw eksplodowała jedna z planet, dopiero to pobudziło gwiazdę.

- Mój Bo... Przepraszam, słucham.

- Właśnie. Planety nie eksplodują. W każdym razie nie same...

- W pewnej powieści fantastyczno - naukowej trafiłem kiedyś na żart, że supernowe powstają na skutek awarii przemysłowych.

- To nie była supernowa. I to wcale nie musiał być żart. Jesteśmy skłonni uznać, że ktoś próbował uzyskać energię z próżni i proces wymknął się spod kontroli.

- Albo doszło do wojny.

- Równie paskudna wersja. Najpewniej nigdy się nie dowiemy. Ale nasza cywilizacja zależy od tego samego źródła energii i łatwo pojąć, czemu los nowej Skorpiona spędza nam sen z powiek.

- Pomyśleć, że nasze zmartwienia ograniczały się do topniejących rdzeni reaktorów atomowych!

- To już nam nie grozi, dzięki Deusowi. Ale chciałbym opowiedzieć panu nieco o odkryciu TMA - O, gdyż właśnie wtedy nastąpił punkt zwrotny w badaniu historii ludzkości. Odszukanie TMA - 1 na Księżycu trochę nami wstrząsnęło, ale pięćset lat później reperkusje były jeszcze bardziej znaczące. Tym razem rzecz działa się na naszym podwórku, w każdym znaczeniu tego słowa. Tam na dole, w Afryce.



## 8 - POWRÓT DO OLDUVAI

Ekipa Leakeya nigdy nie poznałaby tego miejsca, powtarzał sobie często doktor Stephen Del Marco. Chociaż to przecież ledwie paręnaście kilometrów stąd, i pięćset lat temu, Louis wraz z Mary wykopali szczątki naszych najdawniejszych przodków. Globalne ocieplenie i późniejsza epoka lodowcowa (zwyciężona dzięki heroizmowi i cudom techniki) odmieniły krajobraz, zmieniły biosferę. Dęby i sosny wciąż walczyły o przetrwanie w ewoluującym klimacie.

Trudno też było uwierzyć, że w roku 2513 mogło pozostać w Ol - duvai jeszcze coś, czego wcześniejsze ekipy antropologów nie wykopały. Niemniej ostatnie fale powodzi, które zapewne nie miały się już powtórzyć, zmieniły rzeźbę terenu i usunęły kilkumetrową wierzchnią warstwę gleby. Del Marco skorzystał ze sposobności i na granicy głębokiego skanowania trafił na coś zupełnie niewiarygodnego.

Powolne odkopywanie tego czegoś trwało ponad pół roku. W końcu widmowe zjawisko wychynęło na światło dzienne. Prawda okazała się jeszcze bardziej zaskakująca niż zakładały uprzednie domysły. Maszyny szybko usunęły pierwsze kilka metrów, potem zapędzono do pracy asystentów, tradycyjną niewolniczą siłę roboczą wszystkich wykopalisk. Do pomocy (czasem wątpliwej) mieli czterech kongów. Del Marco uważał, że cały ten kwartet sprawia więcej kłopotów niż jest zeń wyręki. Jednak studenci uwielbiali wszystkie odmienione genetycznie goryle, więc rozpieszczali "pomocników" i niczym nieco niedorozwinięte, ale ukochane dzieci. Krążyły nawet plotki, że nie zawsze ograniczali się do kontaktów czysto profesjonalnych. Zdjęcie ostatnich metrów było zadaniem dla rąk ludzkich uzbrojonych wyłącznie w szczoteczki do zębów. I to tylko w takie z miękkim włosiem. Aż dotarto do dna. Nikt nie odkrył nigdy większego skarbu. Wyczyn Howarda Cartera i złoto z grobowca Tutenhama bledły wobec tego znaleziska. Del Marco szybko pojął, co widzi. Wiedział, że jego odkrycie wstrząśnie światem ludzkich wierzeń, nieodwołalnie i drastycznie odmieni treść wszystkich dysput filozoficznych.

Monolit wyglądał na bliźniaka tego wykopanego pięć wieków wcześniej na Księżycu. Nawet dół był podobnego kształtu. Tak jak TMA - 1, i ten nie odbijał światła, bez reszty wchłaniał ostry blask afrykańskiego słońca i mdłą poświatę Lucyfera.

Gdy Del Marco poprowadził wreszcie do wykopu swych kolegów: dyrektorów połowy najważniejszych muzeów świata, trzech znanych antropologów i dwóch dyrektorów, globalnych sieci informacyjnych, zdumiał się ich milczeniem. Przez długie chwile nikt nie powiedział ani słowa. Ale tak reagowali wszyscy, którzy rozumieli znaczenie tego hebanowego prostopadłościanu i otaczających go tysięcy artefaktów.

Dla archeologów były to artefakty bezcenne. Ledwo ociosane narzędzia z krzemienia, niezliczone kości, tak zwierzęce, jak i ludzkie, ułożone starannie w pewnym porządku. Przez wieki, czy raczej przez tysiąclecia, budzące się dopiero do rozumnego życia istoty znosiły tutaj te skromne dary, aby oddać cześć cudowi wykraczającemu poza granice ich pojmowania.

I poza nasze też, mrucał często Del Marco. Jednak dwóch rzeczy był pewien, chociaż wątpił, by kiedykolwiek ktoś zdołał potwierdzić je naukowo.

To właśnie tutaj, dawno, bardzo dawno temu, narodził się człowiek.

A ten monolit stanowił postać pierwszego z jego licznych bogów.

## 9 - PODNIEBNY ŁĄD

Ostatniej nocy mysz chrobotąła mi w sypialni - jęknął Poole udanym tonem skargi. - Nie macie tu jakiegoś zaprzyjaźnionego kota? Doktor Wallace spojrzała zdumiona i wybuchnęła śmiechem.

- Pewnie słyszałeś któregoś z sprzątających mikrobów. Przeprogramują je tak, żeby ci nie przeszkadzały. Tylko nie nadepnij żadnego. Gdybyś przyłapał jakiegoś przy pracy, podniesie taki alarm, że zaraz zbiegną się wszyscy jego kumple, aby pozbierać szczątki.

Tyle do nauczenia w tak krótkim czasie! No, może nie aż tak krótkim. Dzięki obecnej medycynie Poole'a czekało jakieś pięćdziesiąt lat życia. Z drugiej strony już teraz zaczynał się lękać przyszłości.

Przynajmniej nauczył się w końcu współczesnej angielszczyzny i mógł stosunkowo swobodnie rozmawiać też z innymi, a nie wyłącznie z Indrą. Dobrze, że angielski, jak obecnie nazywano powszechnie używany język, stał się mową globalną, chociaż francuski, rosyjski czy mandaryński też miały się nieźle.

- I jeszcze jedno, Indro. Chyba tylko ciebie jedną mogę o to spytać. Czemu zawsze, gdy mówię słowo "Bóg", ludzie patrzą na mnie tak jakoś dziwnie?

Indra nie wyglądała na zakłopotaną. Znów się roześmiała.

- To długa historia. Szkoda, że nie ma tu mojego starego przyjaciela, doktora Khana, on by ci to wyjaśnił. Ale teraz jest na Ganimedzie, kuruje wszystkich ostatnich prawowiernych, którzy nawiną mu się tam pod rękę. Kiedyś wszystkie dawne religie upadły, zdyskredytowane. Przypomnij mi kiedyś, bym opowiedziała ci o papieżu Piusie XX. To był jeden z największych ludzi w dziejach. Tak czy inaczej zostało pragnienie odnalezienia odpowiedzi na pytania o pierwszą przyczynę czy stwórcę wszechświata, o ile istnieje ktoś taki... Sięgano po różne wzory i terminy. Deo, Theo, Jowisz, Brahma... Niektóre określenia wciąż są w użyciu, na przykład to ulubione przez Einsteina: Prastary. Jednak ostatnimi czasy Deus zdaje się najmodniejszy.

- Spróbuję zapamiętać, chociaż nie widzę sensu w tym za grosz.

- Przywykniesz. Nauczę cię kilku w miarę parlamentarnych sposobów wyrażania niektórych emocji...

- Powiedziałaś, że tradycyjne religie straciły wyznawców. To w co ludzie teraz wierzą?

- W jak najmniej. Jesteśmy wszyscy albo deistami albo teistami.

- Zgubiłem się. Definicje poproszę.

- W twoich czasach te słowa znaczyły trochę co innego, ale obecnie teista to ktoś, kto

wierzy, że jest nie więcej niż jeden Bóg. Deista zaś uważa, że jest nie mniej niż jeden Bóg.

- Obawiam się, że nie wyczuwam wielkiej różnicy.

- Ale inni owszem. Byłbyś zdumiony, ile kontrowersji rodzi ten podział. Pięćset lat temu ktoś wykorzystał nawet stosowną dziedzinę, znaną teraz jako matematyka surrealna, i udowodnił istnienie niezliczonych stadiów pośrednich między teistami a deistami. Oczywiście oszalał na starość, jak większość tych, którzy próbują igrzać z nieskończonością. Ale najbardziej znanymi obecnie deistami byli właśnie Amerykanie: Waszyngton, Franklin, Jefferson.

- To trochę przed moimi czasami. Nawet nie wiesz, jak często ludzie to myślą.

- A teraz dobre wiadomości. Joe, znaczy profesor Anderson, dał ostatecznie zgodę. Jesteś dość silny, aby przeprowadzić się do zwykłego mieszkania.

- Rzeczywiście dobra nowina. Wszyscy traktują mnie tu bardzo dobrze, ale wolałbym znaleźć jakiś własny kąt.

- Będziesz potrzebował nowych ubrań i kogoś, kto pokaże ci, jak je założyć. I podpowie jeszcze, jak poradzić sobie z setkami codziennych drobiazgów, które z reguły pochłaniają masę czasu. Pozwoliłam sobie poszukać ci stosownego asystenta. Chodź, Danii...

Danii, niewysoki i lekko śniady mężczyzna, miał około trzydziestu pięciu lat. Już na wstępie zdumiał Poole'a, rezygnując z uniesienia prawej dłoni w tradycyjnym obecnie powitaniu połączonym z wymianą zasadniczych informacji. Potem okazało się, że Danii nie posiada wszczepionego identu; w razie potrzeby wyciągał niewielką plastikową płytkę, przypominającą stosowane w dwudziestym pierwszym wieku karty z mikrozipem.

- Danii będzie twoim przewodnikiem i... jak to się mówi? Wyleciało mi z głowy. Pamiętam tylko, że rymuje się z nazwą wina... Niemniej został specjalnie wyszkolony do tej pracy i jestem pewna, że bardzo ci się przyda.

Poole docenił gest, jednak poczuł się jakby nieswojo. Osobisty lokaj! W życiu jeszcze żadnego nie spotkał, gdyż już za czasów jego młodości lokaje należeli do gatunku wymierającego. A tu proszę, postać żywcem przeniesiona z dziewiętnastowiecznej angielskiej powieści obyczajowej.

- Danii zajmie się twoją przeprowadzką, my zaś zrobimy sobie wycieczkę na górę... Na Poziom Księżycowy.

- Wspaniale. To daleko?

- Och, że dwanaście tysięcy kilometrów.

- Dwanaście tysięcy! Całe godziny jazdy!

Indra zerknęła zdumiona.

- Bez przesady. Nie, nie mamy - jeszcze takich wynalazków jak na Star Treku, chociaż

pewnie wciąż nad tym pracują. Możesz wybierać między dwoma różnymi środkami lokomocji. Ale chyba wiem, który cię skusi. Winda zewnętrzna pozwala podziwiać widoki; w windzie wewnętrznej, natomiast, dadzą nam obiad i pokażą kabaret.

- Nie rozumiem, jak można zamykać się na taką podróż w czterech ścianach.

- Zdziwiłbyś się, ilu gości zielenieje. Szczególnie ci z dołu, a wśród nich nawet himalaiści. Niech tylko do nich dotrze, że są na paru tysiącach nie metrów, lecz kilometrów, i już się zaczyna....

- Zaryzykuję - uśmiechnął się Poole. - Bywałem wyżej. Pokonawszy podwójną śluzę (czy mu się zdawało, czy naprawdę stracił na moment orientację przestrzenną?), dotarli do sali przypominającej widownię niedużego teatru. Pięć rzędów siedzeń, po dziesięć foteli w rzędzie, opadało ku wielkiemu oknu, jednemu z tych, które tak niepokoiły Poole'a. Wciąż nie potrafił zapomnieć o próżni rozciągającej się zaraz za tą, na pozór kruchą, barierą, wystawioną na ciśnienie liczone w setkach ton.

Reszta pasażerów (około dwudziestu osób) zapewne nigdy nie przeżywała podobnych rozterek. Wyglądali na spokojnych i odprężonych. Uśmiechnęli się, poznając Poole'a, skinęli uprzejmie głowami i odwrócili spojrzenia ku widokom za oknem.

- Witamy w Podniebnym Klubie - rozległ się głos automatu. - Za pięć minut zaczniemy się wznosić. Bufet i toalety znajdziecie państwo na dolnym poziomie.

Ale jak długo potrwa podróż?, zastanowił się Poole. W tę i z powrotem mamy do przebycia ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów. To nie będzie jak jazda dawną, ziemską windą...

Czekając na start, studiował rozciągającą się dwa tysiące kilometrów w dole panoramę. Na pomocnej półkuli panowała akurat zima, ale zmiany klimatyczne musiały być dość znaczące, skoro na południe od kręgu podbiegunowego prawie nie widział śniegu.

Brak większych chmur nad Europą pozwalał dostrzec mnogość szczegółów. Poole odszukiwał kolejno wielkie miasta, które choć nadal nosiły stare dumne nazwy, to jednak obecnie były o wiele mniejsze niż dawniej. Rewolucja komunikacyjna zapoczątkowała ich karlenie jeszcze na początku tysiąclecia, obecnie skurczyły się jeszcze bardziej. Poole dostrzegł też nowe, wielkie zbiorniki wodne rozciągające się w najmniej spodziewanych miejscach. Jezioro Saladin na północnej Saharze przypominało rozmiarami miniaturowe morze.

Widoki pochłonęły Poole'a bez reszty. Zatracił poczucie czasu i dopiero po dłuższej chwili pojął, że pięć minut już minęło, a on nie czuje żadnego przeciążenia. Coś nie tak? A może czekają na spóźnialskich?

Nagle dostrzegł, iż pejzaż za oknem uległ zmianie. Nie do wiary, ale jednak musieli wznieść się o kilkaset kilometrów, gdyż panorama była znacznie szersza. W polu widzenia

pojawiały się kolejne, nowe fragmenty kontynentów.

Nagle roześmiał się: znalazł oczywiste wyjaśnienie.

- Jak mogłaś mnie tak nabrać! Myślałem, że to prawdziwe okno, i a nie ekran.

Indra nie pojmowała.

- Zastanów się, Frank. Ruszyliśmy z dziesięć minut temu, obecnie poruszamy się z szybkością co najmniej tysiąca kilometrów na godzinę. Z tego, co wiem, te windy mogą dać nawet sto G, jednak na tak krótkiej trasie przyspieszenie bywa znacznie mniejsze. Góra dziesięć G.

- To niemożliwe! W centryfudze zafundowali mi kiedyś sześć, a i tak ważyłem pół tony. Od kiedy tu weszliśmy, winda ani drgnęła.

Poole bezwiednie uniósł głos, aż zorientował się, że wszyscy współpasażerowie ze wszystkich sił starają nie zwracać na niego uwagi.

- Nie wiem, na czym to polega, ale nazywa się to polem inercji lub polem Sharpa. To nie nazwisko, tylko skrót od kilku nazwisk. Pierwsza litera oznacza Sacharowa, rosyjskiego naukowca, pozostałych nie znam.

Poole zaczął pojmować. Oto był cud, owa technika nie odróżniał - na od magii.

- Niektórzy z moich dawnych przyjaciół marzyli o jakimś wspaniałym "napędzie kosmicznym", który pozwoli zrezygnować z tradycyjnych rakiet na rzecz pojazdów poruszających się bez odczuwalnego dla pasażerów przyspieszenia. Większość stukała się na ich widok w głowę, ale proszę, jednak mieli rację! Aż trudno uwierzyć... Chyba mi się nie zdaje, ale tracimy na wadze.

- Zgadza się, ciążenie spada do wartości księżycowej. Ale, na miłość bogini, Frank, zapomnij, że jesteś inżynierem i ciesz się widokami.

To była dobra rada, ale nawet podziwiając całą Europę, znakomitą większość Afryki i Azji, Poole riie potrafił przestać myśleć o tym zdumiewającym osiągnięciu. Chociaż przecież pamiętał, że pierwszych rewolucyjnych wynalazków w dziedzinie napędu statków kosmicznych dokonano jeszcze w jego czasach. Nie powinien być zatem aż tak zdumiony wszystkimi zmianami, które te dokonania wniosły do codziennego życia. O ile zamieszkiwanie w wieży o wysokości trzydziestu sześciu tysięcy kilometrów można nazwać codziennością, przynajmniej w jego wypadku...

No tak, pomyślał, epoka rakiet kosmicznych musiała dobiec końca już kilkaset lat temu. Żegnajcie skomplikowane systemy paliwowe, żegnajcie zawodne komory spalania. Napęd jonowy i zasilające go reaktory fuzyjne poszły do muzeum. I bardzo dobrze, rzecz jasna, chociaż Poole poczuł lekki przyptyw nostalgii. Dokładnie wiedział, co czuli szyprowie kliprów, widząc, jak żagle ustępują miejsca parze.

Nastrój poprawił mu się błyskawicznie, uśmiechnął się szeroko, gdy z głośnika popłynęła kolejna zapowiedź: "Za dwie minuty stajemy. Proszę upewnić się, że nie zostawili państwo w

kabinie żadnego bagażu ani rzeczy osobistych".

Ile to razy słyszał podobne słowa wypowiedane w kabinach transoceanicznych odrzutowców! Spojrzał na zegarek - jazda trwała niecałe pół godziny! Znaczy, że ich średnia szybkość wynosiła co najmniej dwadzieścia tysięcy kilometrów na godzinę. Cuda, cuda! Gdzieś od dziesięciu minut hamowali zatem na tyle gwałtownie, by w zwykłych warunkach opóźnienie rozpląszczyło wszystkich na suficie!

Drzwi otworzyły się cicho. Poole wyszedł, raz jeszcze odczuwając, parosekundowe zakłócenie pracy błędniaka, podobne jak przy wejściu. Jednak teraz już pojmował, skąd się to bierze: przekraczał granicę między strefą pola inercji a obszarem zwykłego ciężenia - tym razem o wiele słabszego, dokładnie księżycowego.

Widok malejącej Ziemi, chociaż fascynujący, nie był dla kosmonauty niczym nowym. Co innego gigantyczna hala zajmująca najwyraźniej cały przekrój Wieży. Przeciwległa ściana znajdowała się w odległości jakichś pięciu kilometrów. Być może w trzydziestym pierwszym wieku wzniesiono już większe budowle na Księżycu czy na Marsie, ale w próżni chyba nie mogło być niczego bardziej okazałego.

Stali na platformie widokowej, pięćdziesiąt metrów nad podłogą. Ktoś spróbował odtworzyć tu właściwie wszystkie ziemskie środowiska. Tuż poniżej rosły smukłe drzewa. Poole nie poznał ich w pierwszej chwili, ale to były dęby, tyle że zaadaptowane do sześć razy słabszej grawitacji. Ciekawe, jak wyglądają tu palmy, pewnie niczym gigantyczne trzciny...

Pośrodku widniało niewielkie jezioro, zasilane przez rzekę spływającą zakolami z trawiastej równiny i znikającą następnie w czymś, co wyglądało na monstrualne indyjskie drzewo figowe. A źródło wody? Dopiero teraz Poole wyłowił odległy szum. Poszukał spojrzeniem i znalazł łagodnie zakrzywioną kurtynę miniaturowej Niagary. Nawet tęcza wzniosła się nad nią jak żywa.

Mógłby tak godzinami podziwiać krajobrazy, wciąż odkrywając jakieś nowe cudeńka. Pomyślał, że rasa ludzka zasiedlająca nowe, czasem nader wrogie środowiska musiała chyba bardzo tęsknić za widokiem miejsca swych narodzin. Tak jak kiedyś tworzono parki w miastach, tak obecnie, na znacznie większą skalę, odtwarzano przyrodę w Wieżach. I pewnie gdzie indziej.

- Zejdźmy - powiedziała Indra. - Park Centralny Wieży Afrykańskiej jest bardzo rozległy, a i ja sama nie bywam tu tak często, jakbym chciała.

Chociaż spacer w tych warunkach stanowił czystą przyjemność, skorzystali z jednoszynowej kolejki. Zatrzymali się na chwilę w kafejce, zmyślnie zakamuflowanej w pniu wysokiej na co najmniej wierz kilometr.

Nie spotykali wielu ludzi. Współpasażerowie rozplynie się. gdzieś w rozległym wnętrzu i zdawało się, że Indra i Frank mają cały cudowny park dla siebie. Wszystko było pięknie

utrzymane, zapewne przez okazałą armię robotów. Poole porównywał to chwilami do Disney Worldu, ale tu było ciekawiej. Nie przeszkadzały tłumy turystów, a otoczenie nosiło nieliczne ślady działalności człowieka.

Podziwiali właśnie wspaniałą grządkę wybujałych orchidei, gdy Poole przeraził się jak nigdy jeszcze w całym swoim życiu. Drzwi stojącej opodal tradycyjnej altany otworzyły się i po chwili ze środka wyszedł "ogrodnik".

Frank Poole zawsze szczyił się wspaniałym opanowaniem i nikt by nie podejrzewał, że może krzyknąć aż tak głośno i przenikliwie. Ale cóż, jak każdy chłopak z jego pokolenia oglądał niegdyś wszystkie filmy cyklu "Jurajski" i potrafił rozpoznać raptora. Szczególnie mając bydłako tuż przed nosem.

- Bardzo mi przykro - powiedziała przejęta Indra. - Nie przyszło mi do głowy, by cię ostrzec. Poole jakoś ukoił zszargane nerwy. Oczywiście, że w tym aż nazbyt zadbanym świecie nie może - czaić się nic naprawdę groźnego, chociaż...

Dinozaur spojrzał na Poole'a bez zainteresowania, cofnął się do altany i wychynął zeń z parą ogrodniczych nożyc w łapach. Wrzucił narzędzie do przewieszanej przez ramię torby, po czym odszedł podrygując po ptasiemu. Nie obejrzał się nawet. Rychło zniknął za zagajnikiem dziesięciometrowych słoneczników.

- Winnam ci wyjaśnienie - odezwała się Indra. - Gdy tylko można, staramy się korzystać z pomocy bioorganizmów, zamiast zatrudniać roboty. Może to lekki węglowy szowinizm! Chociaż jest tylko kilka gatunków o stosownych możliwościach manualnych, to zaprzęgamy je do pracy, jak tylko często się da. Zresztą, wiąże się z tym pewna zagadka, której dotąd nikt jeszcze nie rozwiązał. Można by sądzić, że najlepiej nadają się do tego typu zajęć roślinożercy, jak szympansy czy goryle. Otóż nic z tego! Brakuje im cierpliwości. Za to drapieżcy sprawują się wspaniale. Takiego raptora bardzo łatwo jest wyszkolić. Co więcej, i tu mamy kolejny paradoks, po genetycznym zmodyfikowaniu wszystkie te stworzenia okazały się niezwykle łagodne, skore do nauki i zaskakująco skłonne do nawiązywania przyjaźni. Oczywiście, ich stymulowana ewolucja trwa już wiele setek lat, a pomyśl tylko, co człowiek pierwotny uczynił z wilkiem. Wyłącznie metodą prób i błędów! - Roześmiała się. - Może nie uwierzysz, ale świetnie opiekują się dziećmi. A maluchy je uwielbiają! Powiada się nawet, że kontakt smarkacza z dinozaurem może być groźny, ale dla dinozaura.

Poole też zachichotał, po trosze dlatego, aby zatuszować zmieszanie wywołane atakiem strachu. Szybko zmienił też temat rozmowy i zadał pytanie, które już od dłuższego czasu nie dawało mu spokoju.

- Wszystko to pięknie, ale po co zadawać sobie tyle trudu, skoro każdy mieszkaniec Wieży



może w godzinę zjechać na dół, do prawdziwego lasu?

Indra spojrzała na podopiecznego z namysłem.

- To niezupełnie tak - odparła, starannie ważąc słowa. - Dla kogoś, kto żyje w górze, wycieczka na dół wiąże się z niezbyt miłymi sensacjami, czasem może być nawet niebezpieczna dla zdrowia.

- Ale mnie to nie dotyczy! Urodziłem się i wychowałem na Ziemi, a na pokładzie Discovery ani na chwilę nie zaniedbałem ćwiczeń.

- Będziesz musiał spytać profesora Andersena. Może nie powinnam ci tego mówić, ale wciąż nie ustalono, jak właściwie działał przez cały ten czas twój zegar biologiczny. Wygląda na to, że nie zatrzymał się nigdy na dobre, przez co masz więcej lat, niż sądzisz. Ale ile, tego . nie wiemy. Szacunki wahają się między pięćdziesiątką a siedemdziesiątką. Chociaż czujesz się dobrze, nie powinieneś oczekiwać, że kiedykolwiek odzyskasz pełnię sił. Przecież to aż tysiąc lat!

Teraz rozumiem, pomyślał Poole. Stąd te wnikliwe badania i testy reakcji neuromuskularnych.

Wróciłem z bardzo, bardzo daleka, ale choć zamieszkałem ledwo dwa tysiące kilometrów od Ziemi, może nigdy już nie będzie mi dane stąpać osobiście po ojczystej planecie... \*

I szczerze mówiąc, nie wiem, jak to zniosę.

## 10 - CHWAŁA IKAROWI

Przygnębienie szybko minęło, bo i zbyt wiele było do zobaczenia i do zrobienia. Tak wiele, że nawet tysiąca żywotów by nie starczyło. Największym problemem wydawał się trafny wybór spośród mi - riadów możliwości podsuwanych przez nową epokę. Poole starał się unikać wiedzy bezużytecznej, wołał skupiać uwagę na sprawach najistotniejszych dla doedukowania. Nie zawsze z powodzeniem.

Zespolona z odtwarzaczem czapa stanowiła tu wielką pomoc. Niebawem wystarał się o pokaźną kolekcję płytek zawierających dość wiedzy na kilka tematów akademickich. Wystarczyło wsunąć taką płytkę do odtwarzacza, nastawić na najbardziej pasującą szybkość i intensywność przepływu danych, a coś błyskało przed oczami i po mniej więcej godzinnym letargu Poole mógł zacząć badać nowe, dopiero udostępnione obszary swego umysłu. Najpierw jednak musiał je wywołać, same się nie pchały. Zupełnie, jakby właściciel sporej biblioteki odkrywał niespodziewanie półki z książkami, o których nabyciu nie miał dotąd pojęcia.

W większym stopniu był teraz panem własnego czasu, jedynie z poczucia obowiązku (i wdzięczności) służył pomocą licznym naukowcom, historykom, pisarzom i artystom tworzącym dzieła rzadko kiedy przypominające pod względem formalnym dokonania dawnych mistrzów. Otrzymywał też niezliczone zaproszenia od mieszkańców wszystkich czterech wież, jednak praktycznie wszystkim musiał odmawiać.

Najtrudniej przychodziło rezygnować z wizyt na dole, na błękitnej planecie.

- Oczywiście przetrwałbyś taką podróż - wyjaśnił profesor Anderson - gdyby była krótka i gdybyś miał ze sobą właściwy system podtrzymania życia, ale ogólnie doświadczyłbyś raczej przykrych przeżyć. Na dodatek osłabiłbyś się jeszcze bardziej. Twój system neuromuskularny nigdy tak całkiem nie przyszedł do siebie po tysiącletnim śnie.

Drugi dobrotliwy cerber, czyli Indra Wallace, chroniła Poole'a przed codzienną inwazją gości i doradzała, kogo winien przyjąć, a komu uprzejmie odmówić. Poole wciąż nie pojmował socjopoli - tycznych uwarunkowań tej nader złożonej kultury, jedno wszakże zauważył dość rychło: Orwell miał rację. Mimo teoretycznego zaniku struktur klasowych, nadal istniała grupa kilku tysięcy równiejszych między równymi.

Nauczony doświadczeniami dwudziestego pierwszego wieku, że "za wszystko trzeba płacić", Poole zastanawiał się czasem, kto właściwie pokrywa wszystkie wydatki związane z ową nadzwyczajną gościnnością? Czy któregoś dnia nie otrzyma monstrualnego rachunku? Indra szybko rozproszyła obawy. Poole został uznany za szczególnie i bezcenny obiekt muzealny i nigdy

już nie będzie musiał się martwić o sprawy tak przyziemne jak środki utrzymania. Dostanie wszystko, czego tylko sobie zażyczy, w granicach rozsądku, oczywiście. Gdzie przebiegała granica owego rozsądku, tego nie wiedział. Nie podejrzewał też, że pewnego dnia zapragnie rzecz sprawdzić.

Co najważniejsze w życiu zdarza się z reguły przypadkiem. Poole zerkał właśnie na ścienny ekran nastawiony na losowy przegląd kanałów, gdy kolejny obraz prawie poderwał go na nogi.

- Przerwij skanowanie! Podkręć dźwięk! - rozkazał nieco zbyt głośno maszynce.

Znał tę muzykę, ale trwało chwilę, nim wygrzebał z otchłani pamięci tytuł i kompozytora. Widok skrzydlatych tancerzy nasunął właściwe skojarzenia. Ciekawe, co by Czajkowski powiedział, gdyby ujrział swoje "Jezioro Łabędzie" nie tyle odtączone, co wylatane...

Przyglądał się baletowi przez długie minuty, aż niemal nabrał pewności, że to nie symulacja, ale autentyczne przedstawienie, wystawione najpewniej w warunkach niskiej grawitacji górnych poziomów którejś z wież. Może nawet afrykańskiej.

Też tak chcą, pomyślał Poole. Nigdy do końca nie wybaczył Agencji Kosmicznej, że bezdusznym, urzędowym zakazem pozbawiła go możliwości uprawiania ulubionego sportu: grupowych skoków ze spadochronem. Z opóźnionym otwarciem, rzecz jasna. Owszem, rozumiał ich racje, nie chcieli ryzykować przypadkową utratą człowieka, w którego wcześniej zainwestowali grube miliony. Lekarze i tak sarkali co chwilę na jego niegdysiejszy wypadek z latawcem. Szczęśliwie, nastoletnie kości zrastają się zwykle dość szybko i bez większych śladów.

- Dobra - mruknął pod nosem. - Żadna siła mnie nie powstrzyma. Chyba, żeby profesorek...

Ku wielkiej uldze Poole'a, Anderson uznał pomysł za znakomity i szybko ustalił, że na poziomie jednej dziesiątej G znajduje się lokalna komórka awiacji.

W ciągu paru dni zjawiał się umyślny, by wziąć miarę na skrzydła. Nie na model baletowy, ale popularny, z elastyczną błoną miast piór. Gdy ostatecznie Poole nałożył całość i wsunął dłonie w uchwyty przymocowane do ozebrowania, przypominał nie tyle ptaka, ile gacka. Niemniej jego entuzjastyczna uwaga o nowych możliwościach powstałych dla Draculi spotkała się z obojętnym przyjęciem. Widać instruktor nigdy nie słyszał o wampirach.

Podczas pierwszej lekcji Poole wisiał na lekkiej uprzęży i wymachiwał ramionami tak długo, aż nauczył się podstawowych ruchów oraz utrzymywania równowagi. Jak w wielu przypadkach, sprawa nie była wcale taka łatwa, na jaką wyglądała.

Zastosowanie uprzęży nieco go zdumiało, bo i jak tu zrobić sobie krzywdę przy jednej dziesiątej normalnej grawitacji? Ostatecznie jednak czuł wdzięczność do losu, że starczyło tylko parę lekcji. Niegdysiejszy trening astronauty stanowił wyraźną pomoc. Nauczyciel przyznał, że nie trafił jeszcze nigdy na tak zdolnego ucznia, ale pewnie wszystkim powtarzał to samo...

Po tuzinie próbnych lotów, odbytych w stosunkowo niewielkim pomieszczeniu, zagraconym rozmaitymi przeszkodami, które trzeba było omijać, przyszła pora na pierwszy w pełni samodzielny wylot. Poole'owi zdało się, że znów ma dziewiętnaście lat i przypomniał sobie ten dzień, kiedy to czekał na wylaszowanie, siedząc za sterami antycznej Cessny na lotnisku aeroklubu Flagstaff.

Sala awiatorów sprawiała wrażenie jeszcze większej niż obszar parku, chociaż także zajmowała powierzchnię równą całemu przekrojowi wieży. Wysoka na pół kilometra, szeroka na cztery kilometry, była jednak całkiem pusta, bez drzew czy ogrodów, na dodatek cała przestrzeń promieniowała łagodnym błękitem. Oko nie miało się na czym wesprzeć i złudzenie nieskończonej przestrzeni było wręcz idealne.

- Możesz wywołać dowolną scenerię - powiedział nauczyciel, w co Poole zrazu nie uwierzył. Z początku chciał rzucić mu nawet jakieś niemożliwe do spełnienia wyzwanie, ale potem uznał, że może nie tym razem. Lot miał być łatwy, na pułapie ledwie pięćdziesięciu metrów. Upadek z podobnej wysokości, czyli pięciu metrów w ziemskich warunkach, teoretycznie pogruchołałby kości, jednak nie tutaj. Podłogę tworzyła elastyczna sieć, podobnie sprężyste były ściany i sufit. Na takiej trampolinie i bez skrzydeł można by się dobrze zabawić.

Kilkoma silnymi, pewnymi uderzeniami skrzydeł Poole wzbił się w powietrze. Ledwie zauważył, a osiągnął pułap kilkuset metrów. I wciąż się wznosił.

- Zwolnij! - krzyknął nauczyciel. - Nie nadążam za tobą!

Poole obejrzał się i spróbował przyhamować. Zrobiło mu się bardzo lekko, również i na duszy. Pierwsze było jasne, bo ważył teraz niecałe dziesięć kilogramów, ale co do drugiego... Czyżby zawartość tlenu w powietrzu wzrosła?

Wspaniałe doświadczenie, o wiele atrakcyjniejsze od stanu nieważkości, rzucało bowiem więcej wyzwań. Najbardziej ze wszystkiego przypominało nurkowanie z akwalungiem, brakowało jednak kolorowych ryb, które tak często zamieszkiwały tropikalne rafy. Poole pożałował, że nikomu nie przyszło do głowy wpuścić tu ptaki.

Nauczyciel pokazał swemu podopiecznemu podstawowe figury akrobacji: beczka, pętla, lot odwrócony, zawisnięcie w miejscu...

- Umiesz już tyle, ile ja - powiedział ostatecznie. - Koniec nauki, teraz pora na trochę zabawy.

Poole omal nie wypadł z rytmu, gdy bez żadnego ostrzeżenia otoczyły go pokryte śniegiem szczyty gór. Leciał wąską przełęczą. Ostre skały migały ledwie metry od końcówek skrzydeł.

Góry nie były oczywiście prawdziwe, zwykła projekcja, w razie potrzeby mógłby przez nie przelecieć, jednak odruchowo skierował się na rozleglejsze przestworza. Mijając urwisko, dojrzał

orle gniazdo na jednej z półek. Leżały w nim dwa jajka tak realistyczne, że przez chwilę zapragnął wziąć je w ręce.

Góry zniknęły i zapadła noc. Na niebie pokazały się gwiazdy. Nie w tej mizernej liczbie kilku tysięcy widocznej z Ziemi, ale całe legiony upstrzone mglistymi zwiwkami odległych galaktyk i plamami gromad kulistych.

Czy istniał kiedyś świat o takim właśnie nieboskłonie? Galaktyki malały, oddalały się, blakły, eksplodowały, rozpraszały świetlistym oparem. Każda sekunda musiała oznaczać milion lat ewolucji wszechświata...

Spektakl skończył się rychło i znów zabłysł błękit. Byli sami w gigantycznej hali.

- Chyba starczy na jeden dzień - powiedział nauczyciel, unosząc się kilka metrów nad Poole'em. - Jakiej scenerii zażyczysz sobie następnym razem?

Poole uśmiechnął się tylko i bez wahania udzielił odpowiedzi.

## 11 - TU SĄ SMOKI

Nie do wiary, że to możliwe, nawet obecnie, pomyślał Poole. Ile terabajtów czy raczej petabajtów tu wykorzystano? Czy w ogóle istnieje słowo właściwe na określenie takiej wielkości? Te dane musiały być zbierane przez całe stulecia, ale jak je składowano? Lepiej się nad tym nie zastanawiać i zgodnie z radą Indry chwilowo zapomnieć o wykształceniu inżyniera.

Zabawa była przednia, chociaż chwilami nostalgia wracała ze zdwojoną siłą. Szybował na wysokości około dwóch kilometrów ponad okolicą, której nigdy nie potrafiłby zapomnieć - nad krainą młodości. Oczywiście i to było złudzeniem, jako że hala miała od podłogi do dachu tylko pół kilometra, ale obraz nie zostawiał nic do życzenia.

Okrzyknął Krater Meteorytowy i przypomniał sobie, jak pewien kandydat na astronautę pocił się kiedyś na tych zboczach. Dziwne, że jeszcze w dwudziestym stuleciu powątpiewano w kosmiczne pochodzenie tego krateru i, mimo stosownej jak rzadko nazwy, nawet uznane geologiczne autorytety staczały wojny, udowadniając jego wulkaniczną przeszłość. No, ale wtedy nie wiadano jeszcze, że wszystkie planety przeszły w swych dziejach okres intensywnego bombardowania. I że podobne wypadki wciąż się zdarzają.

Poole odczuwał, jakby leciał z szybkością dwudziestu niż dwustu kilometrów na godzinę, a jednak dotarł do Flagstaffu niecały kwadrans. Ujrzał białe kopuły Obserwatorium Lowell, do którego chodził jako chłopak. To tutaj zdecydowały się jego przyszłe losy. Czasem zastanawiał się, jaki zawód by wybrał, gdyby nie urodził się w Arizonie, w sąsiedztwie miejsca, gdzie powstawały najżywsze marsjańskie fantazje. Przez chwilę zdało mu się, że widzi osobliwy nagrobek Lowell wzniesiony niedaleko wielkiego teleskopu, urządzenia, które tak owocnie zapłodniło jego wyobraźnię.

Kiedy i o jakiej porze roku sfilmowano ten materiał? Zapewne uczyniono to za pośrednictwem satelity szpiegowskiego. Na początku dwudziestego pierwszego wieku latały ich całe chmary. Materiał zapewne pochodził z okresu niewiele późniejszego niż wyprawa Discovery, bo granice miasta przebiegały niemal dokładnie tak samo jak te pamiętane. Może gdyby obniżył lot, dostrzegłby samego siebie...

Ale nie. Niestety, już wcześniej odkrył, że gdy próbował zejść poniżej dwóch tysięcy metrów, obraz rozpadał się na poszczególne piksele. Po co więc niszczyć iluzję...

Nie do wiary! Oto mały park, gdzie bawił się ze szkolnymi kolegami. Ojcowie miasta wciąż robili zakusy na ten skrawek zieleni, dowodząc, jak ciężko jest z zaopatrzeniem miasta w wodę. Ale widać przetrwał jeszcze trochę.

Kolejny widok wycisnął Poole'owi łzy z oczu. To tymi wąskimi uliczkami i ścieżkami wracał zawsze do domu. Ze szkoły, z Huston czy z Księżycy. Tędy spacerował z ukochanym pieskiem, rzucał mu kije do aportowania, jak wszyscy ludzie psom od zarania ich kontaktów.

Poole miał nadzieję, że Rikki będzie czekał, aż jego pan wróci z wyprawy. Zostawił psa pod opieką młodszego brata, Martina. Zapomniawszy na chwilę, gdzie jest, usiłował zniżyć lot. Obraz rozmył się, raz jeszcze przypominając gorzką prawdę, że zarówno Rikki, jak i Martin już wieki temu obrócili się w proch.

Wróciwszy na stosowny pułap, ujrzał w oddali ciemną kreskę Wielkiego Kanionu. Namyslał się właśnie, czy tam lecieć, bo czuł już niejaki zmęczenie, gdy ktoś jeszcze pojawił się na nieboskłonie. Z pewnością nie skrzydlaty człowiek. Obiekt znajdował się jeszcze daleko, ale ze względu na rozmiary widać go było bardzo wyraźnie.

Cóż, pomyślał Poole, pterodaktyl to zjawisko normalne i powszednie. Mam nadzieję, że to przyjazny osobnik. Albo że nie lata tak szybko jak ja... Och, nie!

Nadlatujące stworzenie miało wielkie skórzaste skrzydła. Pracowało nimi powoli, jak na szanującego się smoka z krainy bajek przystało. Na dodatek na jego grzbiecie siedziała całkiem piękna kobieta.

W zasadzie Poole uznał ją za piękną na kredyt, gdyż prócz tradycyjnych szat jeźdźców smoków nosiła kryjące znaczną część twarzy lotnicze gogle, rekwizyt jak z filmu o asach dwupłatów z pierwszej wojny światowej.

Poole zawisł w miejscu i poczekał, aż stwór podleci naprawdę blisko. Usłyszał łopotanie olbrzymich skrzydeł, ale nawet z odległości dwudziestu metrów nie potrafił orzec, czy latający obiekt jest maszyną czy żywym organizmem. Najpewniej jednym i drugim.

A potem zapomniał o smoku, ponieważ dosiadająca potwora kobieta zdjęła gogle.

Pewien filozof wspominał kiedyś, zapewne z ziewnięciem, że największy kłopot z wyświechtanymi, obiegowymi powiedzonkami polega na tym, że są, niestety, aż doznudzenia prawdziwe.

Poole przekonał się właśnie, że z tą nudą różnie bywa. Szczególnie, gdy chodzi o "miłość od pierwszego wejrzenia".

Danii nie potrafił mu nic powiedzieć, jak zwykle zresztą. Był doskonałym przewodnikiem, ale nigdy nie zdałby egzaminu na prawdziwego lokaja. Robił wrażenie dziwnie ograniczonego umysłowo. Znał wieżę na wylot, skrupulatnie wykonywał proste polecenia, sprawnie obsługiwał wszystkie domowe urządzenia, ale to wszystko. Pogadać z nim się nie dawało, na uprzejme pytania o rodzinę reagował zdeorientowanym spojrzeniem. Poole podejrzewał, że to nie człowiek, tylko biorobot.

Indra jednak pomogła w mgnieniu oka.

- Och, spotkałeś Smoczycę!

- Tak ją nazywacie? A jak brzmi prawdziwe nazwisko tej kobiety? Możesz podać mi jej ident? Nie mieliśmy szansy zetknąć się dłońmi.

- Jasne, no problemo.

- Skąd to znasz? Zmieszała się.

- Chyba z jakiegoś starego filmu. Albo z książki. To prawidłowy zwrot?

- Owszem, ale pod warunkiem, że nie ukończyło się piętnastu lat.

- Spróbuję zapamiętać. A teraz opowiedz mi wszystko, zanim zacznę być zazdrosna.

Byli już dobrymi przyjaciółmi, na tyle dobrymi, że mogli pozwolić sobie na całkowitą szczerość wobec siebie. Potrafili nawet się śmiać (z udawaną rozpaczą) z dziwnego braku bardziej romantycznego zainteresowania w ich wzajemnych kontaktach. Indra powiedziała nawet kiedyś: "Gdybyśmy oboje wylądowali na bezludnym asteroidzie bez nadziei na ratunek, to pewnie jakoś byśmy się dogadali."

- Dobra, mów, kto to jest?

- Nazywa się Aurora McAuley. Robi różne rzeczy, jest między innymi Prezesem Towarzystwa Wspierania Twórczych Anachronizmów. Jeśli ten jej smok zrobił na tobie wrażenie, powinieneś zobaczyć inne ich, hm, twory. Na przykład Moby Dicka albo dinotaury, jakich matka natura nigdy nie wymyśliła.

Nie ma tak dobrze, pomyślał Poole.

Obecnie to ja jestem największym anachronizmem tej planety.



## 12 - FRUSTRACJA

Aż do tej chwili Frank nie wracał pamięcią do rozmowy z psychologiem Agencji. Spotkali się przed lotem.

- Znikasz z Ziemi może nawet i na trzy lata. Jeśli chcesz, wszy - jemy ci coś na zmniejszenie popędu. Dobry środek, bez skutków ubocznych. Obiecuję, że po powrocie szybko to usuniemy.

- Nie, dziękuję - odparł Poole starając się zachować poważną minę. - Chyba sobie z tym poradzę.

Niemniej po kilku tygodniach lotu nabrał niejakich podejrzeń. Podobnie jak Bowman.

- Założę się, że łapiduchy dodały nam coś do żarcia - stwierdził Dave.

Dodali czy nie, rzecz dotyczyła zamierchłej przeszłości i z pewnością nie miała prawa działać po tak długim śnie. Co prawda aż do teraz Poole był zbyt zajęty, żeby pomyśleć o swoim życiu emocjonalnym. Uprzejmie odrzucił propozycje kilku młodych dam (i paru nie tak już młodych), nie wiedząc na pewno, co właściwie je skusiło: jego fizys czy sława. Zapewne kierowała nimi po prostu ciekawość, jak to jest z mężczyzną urodzonym ze dwadzieścia pięć pokoleń temu. Praszczur pościelowy.

Ku radości Franka ident pani McAuley ujawnił, że jest akurat wolna, czyli "pomiędzy" kolejnymi kochankami. Nie marnował czasu i czym prędzej ją odszukał. Dwadzieścia cztery godziny później zażywał już rozkoszy przejażdżki na smoku. W towarzystwie, rzecz jasna. Pilnie ścisnął talię amazonki. Przy okazji zrozumiał doniosłe znaczenie gogli, ponieważ potwór osiągał szybkość aż kilkuset kilometrów na godzinę. Prawdziwe smoki zapewne tak nie potrafiły.

Bez zdumienia podziwiał z góry krajobraz ożywionych legend. Ali Baba pogroził im ze swego dywanu i wrzasnął: "Jak lecisz, ślepa komendo!". Daleko zapuścił się od Bagdadu, gdyż w dole przesuwały się właśnie chyba wieżyczki Oxfordu.

Aurora potwierdziła jego domysły.

- A to jest pub, znaczy gospoda, w której Lewis i Tolkien spotkali się ze swymi przyjaciółmi, Inklingami. I spójrz na rzekę, widzisz tę łódkę dopływającą do mostu? Tę z dwiema dziewczynkami i duchownym?

- Tak! - odkrzyknął Frank przez szum wiatru. - I pewnie jedna z nich to Alicja.

Aurora obejrzała się i nagrodziła go uśmiechem.

- Trafieś. Dokładna replika. Wizerunek odtworzony na podstawie zdjęć Reverenda. Bałam się, że tego nie znasz. Tylu ludzi przestało czytać książki.

Poole poczuł przyływ satysfakcji.

- Chyba zdałem kolejny egzamin - mruknął pod nosem. - Jazda na smoku to był pierwszy.

Co dalej? Walka na miecze?

Ale miast zadania testowego usłyszał tylko stare jak świat pytanie:

- Dokąd idziemy? Do mnie czy do ciebie? Udali się do mieszkania Franka.

Następnego ranka, wciąż jeszcze roztrzęsiony, Poole skontaktował się pilnie z profesorem Andersenem.

- Wszystko szło wspaniale - jęknął - aż nagle wpadła w histerię i odepchnęła mnie. Wystraszyłem się, że może zrobiłem jej jakąś krzywdę... Ale ona zawołała na światło, bo wcześniej je zgasiliśmy, i wyskoczyła z łóżka. Poczujęm się jak głupiec... - Roześmiał się nerwowo. - Chociaż jej widok w tamtej chwili był wart duże pieniądze...

- Nie wątpię. I co?

Uspokoila się dopiero po kilku minutach. Chyba nigdy nie zapomnę tego, co mi wtedy powiedziała. Andersen czekał cierpliwie.

- Stwierdziła, że jest jej bardzo przykro, miło było, ale nie wiedziała, że jestem tak okaleczony.

Profesor zdumiał się, ale zaraz zrozumiał.

- Aha... Też mi przykro, Frank, może powinienem cię ostrzec. W mojej trzydziestoletniej praktyce lekarskiej widziałem tylko z pięć podobnych przypadków. W dawnych czasach całkiem słusznie stosowano zabieg obrzezania, gdyż przy ówczesnym poziomie higieny zapobiegało to wielu niemiłym chorobom. Poza tym taka operacja nie ma jednak sensu, a bywa wręcz szkodliwa. Zresztą, sam się właśnie przekonałeś. Przy pierwszym badaniu twojej osoby sprawdziłem zapisy i stąd wiem, że w połowie dwudziestego pierwszego stulecia sprawa stała się na tyle głośna, że czasem trafiała przed sąd, zatem American Medical Association musiała zakazać przeprowadzania tych zabiegów. Dyskusje toczone między ówczesnymi lekarzami to prawdziwa ciekawostka.

- Nie wątpię - mruknął ponuro Frank.

- W niektórych krajach nie umilkły aż do następnego stulecia, aż jakiś anonimowy geniusz wymyślił slogan, przepraszam za wulgarne wyrażenie, ale brzmiało to: "Bóg tak nas zaplanował i obrzezanie jest bluźnierstwem." Podziało w stu procentach. Ale jeśli chcesz, załatwię transplant. Po co masz posługiwać się eksponatem z muzeum medycyny.

- Nie, dziękuję za transplant. Obawiam się, że ile razy zechcę go użyć, nie wytrzymam ze śmiechu i figa wyjdzie z przygody.

- No proszę, już wraca ci humor. Zaczynasz żartować.

Sam zdumiony własnym pomysłem, Poole zaniósł się chichotem.

- Co tym razem, Frank?

- Myślałem o tym jej Towarzystwie Twórczych Anachronizmów... Miałem nadzieję, że to poprawi moje szansę, ale tu proszę. Taki anachronizm. Akurat ten jedyny, którego nie oczekiwała...

## 13 - OBCY W OBCYM CZASIE

Indra nie okazała współczucia, być może za sprawą seksualnej zazdrości czającej się jednak gdzieś w podtekście ich kontaktów. Co gorsza, sprawa przywiodła Indrę i Poole'a do pierwszej poważnej kłótni. Nieco później ironicznie ochrzczili tę wymianę poglądów jako "wypędzanie smoka".

Zaczął się niewinnie, od prostego narzekania Indry.

- Zawsze mnie pytają, czemu poświęciłam życie badaniu tak paskudnego okresu dziejów. A ja potrafię powiedzieć jedynie, że bywały jeszcze gorsze epoki.

- No to czemu tak zgłębiasz moje stulecie?

- Bo wtedy właśnie dokonano się przejście od barbarzyństwa do cywilizacji.

- Dziękuję. Mów mi Conan.

- Conan? Nie rozumiem. Tak nazywał się ten gość, który wymyślił Sherlocka Holmesa.

- Nieważne. Przepraszam, przerwałem ci, ale pragnę zaznaczyć, że tak zwane rozwinięte kraje były wówczas całkiem cywilizowane. Wojna przestała być sposobem na cokolwiek, a Narody Zjednoczone przeciwdziałały jak mogły wszystkim konfliktom, które jednak gdzieś tam wybuchły.

- ONZ nie działało skutecznie. Gasiło tylko trzy wojny na dziesięć. Ale co najbardziej zdumiewające, że aż do pierwszych lat dwudziestego pierwszego stulecia powszechnie akceptowano zjawiska wręcz odrażające. Ludzie hołdowali wierzeniom tak ułudnym...

- Złudnym.

- ...i nonsensownym, jakby w ogóle nie byli istotami rozumnymi.

- Jakiś przykład?

- Proszę. Usłyszawszy o twoim drobnym w gruncie rzeczy zdarzeniu, zajrzałam do źródeł i aż mnie odrzuciło. Czy wiesz, że w niektórych krajach co roku okaleczano tysiące dziewczynek, po to jedynie, by zachować je dziewicami? Wiele z nich umierało na skutek tych barbarzyńskich zabiegów, ale władze udawały, że niczego nie dostrzegają.

- Zgadza się, to straszne. Ale co miał do tego rząd mojego kraju?

- Mógłby zdziałać wiele, gdyby tylko chciał. Ale wtedy uraziłby tych, od których kupował ropę. I którym sprzedawał broń. Taką jak miny przeciwpiechotne, które zabijały i okaleczały cywilów całymi tysiącami.

- Nic nie rozumiesz, Indro. Często nie mieliśmy wyboru, trudno zmienić cały świat w kilka lat. Czyż ktoś nie powiedział kiedyś: "Polityka to sztuka dokonywania rzeczy możliwych"?

- Owszem. Dlatego właśnie polityka przyciąga tylko pośledniejsze umysły. Geniusz rzuca

wyzwanie niemożliwemu.

- Fajnie, że macie obecnie tych geniuszy w nadmiarze. Pewnie wszystko wam się udaje.

- Czyżbym wyczuła nutkę sarkazmu? Dzięki komputerom możemy zasymulować najpierw wszystkie przemiany w cyberprzestrzeni. Dopiero potem wcielamy je w życie. Lenin miał pecha, urodził się sto lat za wcześnie. Rosyjski komunizm mógłby zadziałać, przynajmniej przez jakiś czas, gdyby dysponowali mikroczipami. No i oszczędziliby wtedy sobie Stalina.

Dziwne, jak rozległa wiedza może czasem iść w parze ze zdumiewającą ignorancją, pomyślał nie po raz pierwszy Frank. Indra była niekiedy aż do przesady pewna siebie. Z Poole'em działo się dokładnie odwrotnie. Czuł, że jeśli nawet przeżyje obiecane sto lat, nigdy nie poczuje się tu jak w domu. Zabraknie mu tej biegłości, która pozwala pojąć wszystkie podteksty każdej rozmowy, zrozumieć aktualny dowcip, uniknąć fatalnego faux pas, popełnionego nieświadomie, ale jednak przykrego dla nowych przyjaciół.

Takiego jak wtedy, gdy zasiadł kiedyś do stołu z Indrą i profesorem. Dostarczane przez autokucharza posiłki były jak zwykle dobre i pożywne, idealnie odpowiadały też potrzebom lekko pokręconej fizjologii Poole'a, ale to wszystko. Dwudziestowieczny szef kuchni wpadłby w czarną rozpacz.

Jednak pewnego dnia pojawiło się coś innego. Apetyczny zapach ożywił dawne wspomnienia o polowaniach i barbecue, lecz smak i sama konsystencja dania były nieco osobliwe. Poole zadał oczywiste w tej sytuacji pytanie.

Andersen uśmiechnął się lekko, ale Indra pobladła i trwało chwilę, nim opanowała mdłości.

- Poczekaj, aż skończę jeść - mruknęła.

No i co niby zrobiłem nie tak?, pomyślał Poole. Pół godziny później, gdy Indra przezornie odeszła w drugi koniec pokoju i zasiadła bezpiecznie przed ściennym ekranem, Andersen wziął się za wyjaśnienia. Frank musiał ponownie zrewidować swoje poglądy na kolejne tysiąclecie.

- Trupy rozmaitych istot przestały być powszechnie akceptowanym źródłem pożywienia już w twoich czasach. Hodowanie zwierząt po to jedynie, by je potem... zjadać, to ekonomiczny nonsens. Nie wiem, ile akrów trawy potrzeba na wykarmienie jednej krowy, ale na pewno starczyłoby tego dla dziesięciu osób. A gdyby stosować systemy hydroponiczne, to pewnie i setka by się wyżywiła. Ale ostateczny kres temu upiornemu procederowi położył nie tyle rachunek ekonomiczny, co zaraza. Najpierw dotknęła bydło, potem wszystkie zwierzęta rzeźne. Jakiś rodzaj wirusa usadawiał się w mózgu i powodował nader odrażające zejście. Wprawdzie znaleziono w końcu lekarstwo i szczepionkę, jednak nie dało się zawrócić historii. Syntetyczna żywność kosztowała już mniej, a poza tym dawała się przyrządzać w dowolnym smaku.

Poole nie dzielił entuzjazmu. Obecne wyżywienie było dla niego znośne, ale czegoś tym

“smakołykom” brakowało. Na dodatek, Frankowi wciąż śniły się po nocach a to pieczone żeberka, a to stek cro don bleu...

Ale nie te sny były najgorsze. Obawiał się, że jeszcze trochę, a przyjdzie mu poprosić profesora o stosowną pomoc medyczną. Mimo cieplarnianych warunków i pełnej serdeczności gospodarzy, ten świat wciąż go przytłaczał. W marzeniach sennych uciekał do wcześniejszego życia, a gdy się budził, jawa stawała się jeszcze trudniejsza do zniesienia.

Pomyśl, aby pojechał do Wieży Amerykańskiej i spojrzeć z niebios na krainę młodości własnym okiem, a nie poprzez symulację, nie był, niestety, pomysłem najlepszym. W pogodny dzień mógł śledzić przez teleskopy nawet pojedynczych ludzi, spieszących ulicami, po których sam kiedyś chodził...

W takich chwilach bezwiednie wracał myślami do swoich bliskich, ukochanych osób. Matka, ojciec (aż do momentu, gdy odszedł z tamtą kobietą), stryjek George i ciotka Lii, brat Martin i psy, na końcu wymieniane, ale wcale niemniej drogie. Korowód psów, od puszystych szczeniaków, z którymi bawił się we wczesnym dzieciństwie, aż po Rikkiego.

No i jeszcze Helena. Najżywsze wspomnienie. I największa tajemnica.

Poznali się, gdy zaczynał szkolenie na kosmonautę. Zwykły flirt przemienił się w trwający wiele lat związek. Tuż przez wyprawą postanowili, że zostaną ze sobą na dobre. Niech tylko wróci.

A gdyby jednak nie wrócił, Helena chciała zachować go na swój sposób. Pragnęła j ego dziecka. Nieraz wspominał, z jaką powagą (i zupełnym brakiem powagi jednocześnie) poczynili stosowne przygotowania.

Teraz, tysiąc lat później, choć próbował ze wszystkich sił, nie udało mu się ustalić, czy spełniła obietnicę. Podobnie jak w jego własnej pamięci ziały tu i ówdzie luki, tak i ziemskie banki danych doznały z wiekami poważnych uszczerbków. Najwięcej zniszczeń poczynił potężny, wywołany upadkiem meteorytu, impuls elektromagnetyczny z roku 2304. Wymazał kilkanaście procent zapisów, i to pomimo wszelkich zabezpieczeń oraz backupów. Jak myśl natrętna wracało przypuszczenie, że może były wśród nich dane o jego dziecku, wnukach prawnukach i że być może żyją tam, na dole, jego dalecy, w trzydziestym pokoleniu, ale jednak potomkowie. Wiedział, że nigdy nie pozna prawdy.

Niejaką ulgę przynosił fakt, że nie wszystkie nowoczesne dziewczyny podzielały uprzedzenia Aurory. Wręcz przeciwnie; niektóre zdawały się uwielbiać podobnie “wybrakowane produkty”. Chociaż z drugiej strony, takie nastawienie na kurioza uniemożliwiała nawiązanie jakiejś trwalszej znajomości. Nie palił się zresztą do tego. Zadowalał się samymi zdrowymi i bezmyślnymi ćwiczeniami fizycznymi.

Niemniej ta bezmyślność miała jeszcze kolejny, ukryty sens. Czuł, że brakuje mu celu w

życiu, na dodatek mnogość wspomnień ciążyła coraz bardziej. Niekiedy wracał pamięcią do pewnej czytanej w młodości, sławnej książki i powtarzał wówczas, parafrazując jej tytuł: "Jestem obcym w obcym czasie".

Były i takie chwile, kiedy to patrząc w dół, na nieosiągalną dla niego błękitną planetę, zastanawiał się nad ponownym, tym razem ostatecznym wyjściem w próżnię. Wprawdzie sforsowanie całego systemu śluz przedstawiało niejaką trudność, ale jednak co parę lat zdarzał się samobójca, który przecinał ziemskie niebo mgnienie trwającą, świetlistą smugą.

Jednak los Franka Poole'a ważył się już gdzie indziej.

- Miło pana spotkać, kapitanie Poole. Po raz drugi.

- Przepraszam, ale nie przypominam sobie. Zbyt wiele osób...

- Nie trzeba przeproszać. Ten pierwszy raz był za orbitą Neptuna.

- A! Kapitan Chandler! Wreszcie pana widzą. Może coś podać?

- Byle miało co najmniej dwadzieścia procent mocy.

- Co pan robi na Ziemi? Słyszałem, że nie schodzi pan nigdy niżej orbity Marsa.

- Prawie. Urodziłem się tutaj, ale to paskudne, cuchnące miejsce. Za dużo ludzi. Znów prawie miliard!

- W moich czasach na Ziemi żyło ponad dziesięć miliardów ludzi. Ale, ale... Odebrał pan moje podziękowania?

- Tak, i chciałem się do pana odezwać, ale wolałem poczekać, aż znów skierujemy się ku Słońcu. No i jestem. Zdrowie, widzę, dopisuje!

Kapitan zajął się drinkiem, Poole zaś uważnie przyjrzał się gościowi. Po pierwsze, Chandler miał brodę, rzadkość w tym społeczeństwie i nie szkodzi, że była to mała kozia bródka. Frank nie znał ani jednego astronauty, który nosiłby zarost. Taka ozdoba nie pasuje do hełmu skafandra. Oczywiście, obecne czasy stawiały zupełnie nowe wymagania, prace na zewnątrz statku spoczywały wyłącznie na barkach robotów, ale wypadki chodzą po ludziach i nie tylko. Tak czy inaczej, Chandler wyglądał na ekscentryka i Poole przyjął go jak swego.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Skoro nie lubi pan Ziemi, to co pan tu robi?

- Głównie odwiedzam starych znajomych. Fajnie pogadać z nimi bez tego przekłętego opóźnienia. Ale zasadniczy powód jest inny.

Moja łajba przechodzi modernizację w stoczni Obręczy. Trzeba wymienić pancierz. Kiepsko sypiam, gdy ściera się na parę centymetrów.

- Pancierz?

- Tarczę przeciwpyłową. W pańskich czasach nie mieliście podobnych problemów, co? Ale za Jowiszem jest tyle śmiecia, że przy zwykłej prędkości kilku tysięcy kilometrów na sekundę to

jakby deszcz bębnił o dach.

- Żartuje pan!

- Jasne, że żartuję. Gdybym cokolwiek słyszał, to chyba z za grobu. Ale takie wypadki są naprawdę rzadkie. Ostatnio rąbnęło coś ze dwadzieścia lat temu. Znamy wszystkie większe strumienie kometarne, a tam jest najgorzej, i starannie je omijamy. Chyba, że odławiamy lód. Ale może zajrzy pan do nas, na pokład. Potem znów lecimy do Jowisza.

- Z miłą chęcią... Jowisza, powiedział pan?

- Dokładnie na Ganimeda, do Anubis City. Mamy tam masę spraw do załatwienia. Niektórzy nie widzieli rodzin całymi miesiącami.

Poole prawie nie słyszał wyjaśnień.

Zupełnie nieoczekiwanie znalazł cel w życiu. Akurat w porę.

Zastępca dowódcy statku kosmicznego, Frank Poole, nie cierpiał zostawiać roboty przerwanej w połowie. Jakiś tam kurz kosmiczny to za mało, by zbić go z tropu.

Też musiał załatwić parę spraw w pobliżu ciała niebieskiego znanego niegdyś jako Jowisz.



## **CZEŚĆ DRUGA**

### **GOLIATH**

## 14 - POŻEGNANIE Z ZIEMIĄ

“ Wszystko, czego tylko sobie zażyczysz, w granicach rozsądku, oczywiście”, usłyszał Frank Poole nie tak dawno temu, ale nie wiedział jeszcze, czy powrót w pobliże Jowisza wyda się jego gospodarzom prośbą rozsądną. Po namyśle nie był nawet pewien, czy sam tego chce.

Kalendarz spotkań miał szczerze wypełniony na całe tygodnie naprzód. Większość z imprez odwołałby bez żalu, ale nie wszystkie. Szczególnie niechętny był rozczarowaniu klasy maturalnej z rodzimego gimnazjum (wciąż jeszcze istniało!), której przyjazd zaplanowano na przyszły miesiąc.

Niemniej z ulgą i niejakim zaskoczeniem odnotował, że zarówno Indra, jak też profesor Andersen uznali pomysł wyprawy do Jowisza za wyśmienity. Po raz pierwszy do Franka dotarło, że opiekunowie troszczą się jednak o psychiczną formę pacjenta. Stwierdzili, że dłuższe wakacje z dala od Ziemi to chyba najlepsze możliwe lekarstwo na dolegliwości podopiecznego.

A co najważniejsze, kapitan Chandler nie krył zachwyty.

- Dostaniesz moją kabinę - obiecał. - Ja zajmę kąpiel pierwszego mata.

Poole przekonywał się coraz bardziej, że brodaty i rubaszny Chandler również zasługuje na miano prawdziwego anachronizmu. Frank bez trudu potrafił wyobrazić sobie kapitana na mostku steranego morzem trzymasztowca z czarną piracką flagą.

Wraz z podjęciem ostatecznej decyzji, wydarzenia nabrały zdumiewającego tempa. Poole nie posiadał wiele, jeszcze mniej miał ochotę zabrać ze sobą w drogę. Najważniejszym bagażem była Miss Pringle, jego elektroniczne alter ego i sekretarka. Małe pudełko zawierało wszystkie wspomnienia Franka z obu żywotów, jak też sam profil osobowościowy. No i pozwalało na zapis terabajtów informacji.

Miss Pringle rozmiarem przypominała jeden z rozmaitych pomocnych gadżetów, noszonych przy pasie w czasach młodości Poole'a, i trochę kojarzyła się z Coltem 45, takim z Dzikiego Zachodu, lekko wystającym z kabury. Komunikowała się z Frankiem głosem lub poprzez czapę. Główna funkcja Miss Pringle polegała na chronieniu posiadacza przed zalewem informacji i nazbyt wieloma natrętami. Jak dobra sekretarka, wiedziała, co kiedy powiedzieć. Na przykład bardzo uprzejmie oznajmiała: “Już łączę” albo, i to częściej; “Przykro mi, ale pan Poole jest akurat zajęty. Proszę zostawić wiadomość, odezwie się do pana/pani jak tylko będzie to możliwe”. Zazwyczaj owo “jak tylko” oznaczało “nigdy”.

Pożegnania nie zajęły wiele czasu, bo ostatecznie miał pozostać w ciągłym kontakcie z Indrą i Joem, jedynymi prawdziwymi przyjaciółmi, jakich dotąd tu znalazł.

Z pewnym zdumieniem przekonał się również, że będzie mu brakować enigmatycznego, ale nader użytecznego "lokaja". Teraz przyjdzie samemu borykać się z codziennymi drobiazgami. Danil skłonił się lekko przy rozstaniu, lecz żadnych emocji nie okazał. I potem przyszła pora na długą jazdę do Obręczy, trzydzieści sześć tysięcy kilometrów nad Centralną Afryką.

- Wiesz, Dima z czym najbardziej kojarzy mi się Goliath?

Frank zdążył się już na tyle zaprzyjaźnić z Chandlerem, że użycie przezwiska było jak najbardziej na miejscu, przynajmniej wtedy, gdy nikt nie kręcił się obok.

- Pewnie z czymś mało budującym.

- Niezupełnie. Jeszcze jako dziecko trafiłem kiedyś na całą stertę magazynów fantastyczno - naukowych stryjka George'a. Cisnął je gdzieś w kąt. Ostatecznie były to tanie broszurki, nazywano je zresztą "puls". Papier rozpadał się już tu i ówdzie, ale na porządnym, błyszczącym okładkach widniały jakieś obce planety, potwory albo statki kosmiczne. Gdy podrosłem, dostrzegłem, jak dziwne były te statki. Napęd miały zwykle raketowy, ale ani śladu zbiorników materiałów pędnych! Czasem trafiały się i takie z okienkami od dziobu do rufy, zupełnie jak w liniowcach oceanicznych. Jeden podobał mi się szczególnie, taki z wielką szklaną kopułą, zupełnie jak samobieżna, kosmiczna cieplarnia... A tu proszę, dwudziestowieczni projektanci okładek wyszli w swej naiwności na wizjonerów. Go - liath do złudzenia przypomina te ich twory i nie ma nic wspólnego z gigantycznymi zbiornikami paliwa z kabiną, jakie my wystrzeliliśmy kiedyś z Przylądka. Wasz napęd bezwładnościowy zakrawa na cud. Żadnych widocznych systemów, nieograniczone zasięgi i prędkość... Może to jednak sen?

Chandler roześmiał się i wskazał na okno.

- A tam czy to prawda, czy bajka?

Dopiero tutaj, w Gwiezdnym Mieście, Poole mógł dojrzeć linię horyzontu. I nie znajdowała się ona wcale tak daleko, chociaż średnica zewnętrznej obręczy była aż siedem razy większa od średnicy Ziemi. Wzrok sięgał znacznie bliżej niż na sugerowane przez wyobraźnię setki kilometrów...

Poole zwykle świetnie radził sobie z liczeniem w pamięci. W jego czasach była to rzadka zdolność, obecnie pewnie jeszcze bardziej unikatowa. Prostego wzoru na obliczanie odległości horyzontu nie potrafiłby zapomnieć nawet, gdyby chciał: pierwiastek kwadratowy ze zdwojonej wysokości razy promień...

Zobaczmy... jesteśmy gdzieś na wysokości ośmiu metrów, zatem pierwiastek z szesnastu... Powiedzmy, że promień wynosi czterdzieści tysięcy kilometrów, odrzucamy trzy zera, by zejść do samych kilometrów, czyli cztery razy pierwiastek z czterdziestu... Hmm, to daje nieco ponad

dwadzieścia pięć...

Dwadzieścia pięć kilometrów to też sporo i żaden port kosmiczny na Ziemi na pewno nigdy nie mógł pochwalić się podobnymi rozmiarami. Poole wiedział wprawdzie, czego może oczekiwać, ale widok i tak był fascynujący. Statki wielokrotnie większe od straconego przed wiekami Discovery startowały nie tylko bez najmniejszego szmeru, ale i bez widomego śladu jakiegokolwiek odrzutu. Poole'owi brakowało trochę tych dawnych eksplozji ognia z dysz i całej ceremonii odliczania, ale musiał przyznać, że obecne rozwiązanie nie zaśmieca środowiska, jest o wiele bardziej efektywne, a przede wszystkim znacznie bezpieczniejsze.

Najdziwniejsze zaś było to, że siedząc w Obręczy, dokładnie na orbicie geostacjonarnej, nadal czuł wagę swego ciała. Parę metrów dalej, za oknem, krzątało się wiele robotów i jeszcze kilkoro ludzi w skafandrach na dokładkę, ale tutaj, wewnątrz Goliatha, pole bezwładnościowe utrzymywało niezmiennie ciężenie o wartości równej przyspieszeniu Marsa.

- Na pewno tego chcesz, Frank? - spytał raczej żartem kapitan Chandler, szykując się do objęcia wachty na mostku. - Jeszcze siedem minut do startu.

- Taka ucieczka w ostatniej chwili nie przysporzyłaby mi chyba popularności, nie sądzisz? Nie, jak to mówiliśmy w dawnych czasach: klamka zapadła. Gotów czy nie, w drogę!

Sam moment startu Poole chciał przeżyć w samotności, a skromna załoga (ledwie czterech mężczyzn i trzy kobiety), uszanowała jego życzenie. Może domyślili się, co musi czuć ktoś, kto raz jeszcze, po tysiącu lat, wyrusza na spotkanie tej samej tajemnicy.

Jowisz - Lucyfer był akurat po przeciwnej stronie Słońca i niemal prosta trajektoria drogi Goliatha miała przebiegać w pobliżu Wenus. Poole bardzo chciał ujrzeć Gwiazdę Zaranną z bliska i na własne oczy. Ciekawe, na ile siostrzana planeta Ziemi upodobniła się do błękitnego globu po wiekach terraformowania.

Z wysokości tysiąca kilometrów Gwiazdne Miasto wyglądało niczym gigantyczna metalowa obręcz tkwiąca ponad równikiem. Taśma upstrzona pomostami i rusztowaniami, komorami ciśnieniowymi, hangarami kryjącymi budowane statki, antenami i jeszcze wieloma innymi strukturami niewiadomego przeznaczenia. Malą szybko, gdy Goliath przyspieszał ku Słońcu i dopiero teraz Poole dostrzegł, że budowa nie dobiegła jeszcze końca. W wielu miejscach ziały luki spięte jedynie pajęczymi nitkami dźwigarów. Być może tak olbrzymia przestrzeń nigdy nie zostanie zagospodarowana w całości.

Wychodzili z płaszczyzny ziemskiej ekliptyki. Na północnej półkuli był właśnie środek zimy i pierścień Gwiazdnego Miasta trwał nachylony pod kątem ponad dwudziestu stopni do Słońca. Poole widział już dwie kolejne wieże, amerykańską i azjatycką: cienkie nitki blasku wyrastające ponad atmosferyczną mgiełkę.

Goliath przyspieszał, ale tego akurat nijak nie dawało się odczuć. Mknął już o wiele szybciej niż jakakolwiek zdążająca ku Słońcu kometa. Ziemia nabierała kulistego kształtu, Frank mógł objąć spojrzeniem całą wysokość afrykańskiej wieży, swojego domu na teraz i zapewne już na zawsze.

Z odległości pięćdziesięciu tysięcy kilometrów Gwiazdne Miasto malowało się już w całej okazałości. Wąska elipsa otaczająca glob, cienka niczym jasny włos na tle gwiazd. Wyraźny znak, że rodzaj ludzki sięgnął niebios.

Potem Poole przypomniał sobie niezrównanie wspanialsze pierścienie Saturna i pomyślał, że astro-inżynierowie będą musieli jeszcze sporo się nauczyć, zanim dorównają kreacjom natury.

Albo i Deusa, o ile to właściwe określenie.

## 15 - PRZELOTEM NA WENUS

Gdy obudził się następnego ranka, znajdowali się już na orbicie Wenus, jednak to nie spowita w chmury planeta była najniezwyklejszym obiektem na niebie. Najbardziej fascynująca wydawała się bezkresna płaszczyzna pomarszczonej srebrzystej folii odbijająca promienie słońca pod wszelkimi możliwymi kątami.

Poole przypomniał sobie, że w jego czasach żył pewien artysta, który uwielbiał pakować budynki w płótno i plastik: jakież wyzwanie stanowiłyby dla niego te miliardy ton lodu owinięte w lśniąca kopertę! Ale tylko w ten sposób kometa mogła dotrzeć w pobliże Słońca, nie wyparowując podczas rejsu trwającego dziesiątki lat.

- Masz szczęście, Frank - powiedział Chandler. - Sam też jeszcze nie widziałem nigdy takiego spektaklu. Upadek nastąpi za niecałą godzinę. Trochę ją szturchnęliśmy, aby na pewno trafiła gdzie trzeba. Nie chcemy nikomu nabić guza.

Poole spojrział na kapitana zdumiony.

- Chcesz powiedzieć, że tam są ludzie?

- Tak. Z pięćdziesięciu szalonych naukowców. Siedzą w pobliżu bieguna południowego. Oczywiście zakopali się głęboko, ale i tak nieco nimi potrząśnie, chociaż punkt zero jest po drugiej stronie planety. Może zresztą niezupełnie punkt. Kometa eksploduje jeszcze w atmosferze i potrwa parę dni, nim cokolwiek prócz fali uderzeniowej dotrze do powierzchni.

Kosmiczna góra lodowa malała coraz bardziej na tle opony chmur. Widząc ten roziskrzony pakunek, Poole przypomniał sobie niegdysiejsze świąteczne choinki obwieszone całkiem podobnymi, kolorowymi bombkami. Porównanie nie było zresztą takie całkiem bezsensowne, gdyż wiele rodzin na Ziemi nadal obdarowywało się w te dni prezentami, a Goliath dostarczał właśnie innemu światu dar zgoła bezcenny.

Na głównym ekranie w centrum holownika zajaśniał radarowy obraz strzępiastej powierzchni Wenus: wulkany jak z psychodelicznego snu, kopulaste wzniesienia, wężowate kaniony. Poole wolał jednak zawierzyć własnym oczom; chociaż chmury szczelnie skrywały piekielne oblicze planety, miał nadzieję ujrzeć cokolwiek, gdy sprowadzona z Neptuna zmarzlina uwolni gromadzoną podczas upadku na Słońce energię...

Pierwszy błysk był nawet jaśniejszy, niż Frank oczekiwał. Lodowy pocisk podniósł temperaturę otoczenia do dziesiątków tysięcy stopni! Filtry iluminatorów pochłonęły niebezpieczne dla człowieka długości fal, jednak płomienisty błękit zdradzał, że owa jasna kula stała się gorętsza niżli gwiazda.

Potem zaczęła stygnąć gwałtownie, przechodząc przez żółc, pomarańcz, czerwień... Fala uderzeniowa ruszyła we wszystkich kierunkach z szybkością dźwięku. A jaki to musiał być dźwięk! Za kilka minut ruchy chmur winny zdradzić jej przejście wkoło globu.

Cienki czarny pierścień, coś jak puchnące kółko z dymu, z pewnością nijak nie oddawał furii szalejącego poniżej cyklonu. Rozszerzał się z wolna, chociaż ruch ten był nader powolny i w skali planety prawie niedostrzegalny. Poole musiał odczekać całą minutę, by zauważyć jakąkolwiek zmianę.

Po kwadransie wszelako fala uderzeniowa ogarnęła obszar ponad tysiąca kilometrów i trwała wyrazistym znakiem na tle bieli wenusjańskich chmur. Osłabła nieco, już nie czarna, ale raczej brudnoszara, straciła też nieco z pierwotnej symetrii. Poole domyślił się, że to pewnie za sprawą niebotycznych gór, które napotykała tu i ówdzie po drodze.

- Łączę z bazą Afrodyty - zapowiedział przez głośniki kapitan Chandler. - Na razie nie krzyczą o pomoc...

- ...zatrzęsło odrobinę, ale tego właśnie oczekiwaliśmy. Czujniki pokazują, że w górach Nakomis już teraz pada deszcz. Niedługo wyparuje, ale to dopiero początek. I mamy też chyba gwałtowną powódź w Rozpadlinie Hakatę. Aż trudno uwierzyć w takie szczęście. Na wszelki wypadek sprawdzamy. Po ostatniej dostawie mieliśmy tam sezonowe jezioro wrzątku...

Nie zazdrozczę tym gościom, ale z pewnością ich podziwiam, pomyślał Poole. Są żywym dowodem, że nawet w tej nazbyt wygodniczej epoce zdarzają się jeszcze ludzie nietuzinkowi, zdolni na jakiś czas porzucić poprawne społeczeństwo.

- ...i dzięki raz jeszcze za celne doręczenie. Przy odrobinie szczęścia, szczególnie jeśli uda się wynieść ekrany przeciwsłoneczne na orbitę synchroniczną, za jakiś czas będziemy tu mieli pierwsze stałe morza. A potem zasiedlimy w nich koralowce, aby zaczęły produkować wapien i aby wchłaniały nadmiar dwutlenku węgla z atmosfery... Może starczy nam życia, aby to ujrzeć.

Oby, pomyślał wciąż pełen podziwu Poole. Niegdyś sam często nurkował w tropikalnych wodach Ziemi i podziwiał bujnie pieniące się tam życie, tak niezwykle i cudaczne jakby zrodzone na innej planecie, pod innym zupełnie słońcem.

- Przesyłka dostarczona na czas, pokwitowanie w kieszeni - mruknął z satysfakcją kapitan Chandler. - Ruszamy dalej.

- " MISS PRINGLE

PLIK: WALLACE

Cześć, Indro. Tak, miałaś rację, brakuje mi naszych drobnych kłótni. Z Chandlerem dogaduję się wzorowo. A reszta załogi, i to cię pewnie rozbawi, od początku traktuje mnie niczym świętą relikwię. Jednak ostatecznie chyba zaczynają mnie akceptować. Obecnie zdarza im się

nawet przypiąć mi czasem jakąś łatkę (znasz ten idiom?).

Ten brak możliwości nawiązania zwyczajnej rozmowy jest nieco drażniący, ale przecięliśmy już orbitę Marsa i sygnał idzie na Ziemię ponad godzinę. Z drugiej jednak strony, dzięki temu, nie możesz mi przerwać w pół zdania...

Chociaż podróż do Jowisza to tylko tydzień, miałem nadzieję wypocząć nieco, ale gdzie tam! Tak zaczęło mnie nosić, że w końcu wziąłem się znów do nauki. Konkretnie: zafundowałem sobie szkolenie podstawowe na jednym z mini-wahadłowców Goliatha. Może Dima pozwoli mi kiedyś na samodzielny lot...

Nie jest wiele większy niż kapsuły Discovery, ale jaka różnica! Po pierwsze, nie ma napędu raketowego, a ja wciąż ledwo przywykam do luksusu napędu inercyjnego, do tego nieograniczonego zasięgu. Gdybym zaświrował (pamiętasz to wyrażenie?), mógłbym wrócić w nim nawet na Ziemię.

Jednak największą nowością jest dla mnie system sterowania. Najpierw musiałem nauczyć się nie lecieć z łapami do kontro - lek, których nie ma, a komputer musiał ze swojej strony nauczyć się mojego głosu. Z początku pytał co chwilę: "Naprawdę tego chcesz?" lub "Co powiedziałeś?". Owszem, z czapą byłoby łatwiej, ale jakoś nie mogę całkowicie zaufać temu gadżetowi. Chyba nigdy nie przywyknę do maszynek skrycie czytających w myślach...

Nawiasem mówiąc, ten wahadłowiec nazywa się Falcon. Miła nazwa. Trochę się rozczarowałem, gdy wypytawszy wszystkich, odkryłem, że nikt nie wie o naszym dawnym Falconie, jeszcze z czasu księżycowych misji Apollo...

Oho, chciałbym jeszcze wiele powiedzieć, ale skipper mnie woła. Wracam do szkoły. Pozdrawiam i na razie.

ZAPISAĆ

WYŚLAĆ

Cześć Frank - mówi Indra - czy to właściwe określenie? Używam nowego myślaka - stary przeszedł załamanie nerwowe - ha! - Będzie sporo błędów - bo nie zdążę zredagować tekstu przed wysłaniem. - Mam nadzieję - że coś z tego wyłowisz.

KOMP! Kanał jeden zero trzy zapis z dwanaście trzydzieści - poprawka - trzynaście trzydzieści - Przepraszam...

Mam nadzieję - że naprawią mi starego myślaka i dostanę go jeszcze z powrotem - znał wszystkie moje skróty myślowe i odchyłki od normy. - Może zresztą winnam poddać się psychoanalizie - tak popularnej w twoich czasach. - Nigdy nie rozumiałam - jak podobna freudobzdura mogła przetrwać aż tak długo.

Że dodam - nie tak dawno trafiłam na leksykon wiedzy o dwudziestym stuleciu - może cię



rozbawić - to szło jakoś tak - cytata. - Psychoanaliza - choroba zakaźna wywodząca się z Wiednia - pierwsze przypadki około roku 1900 - obecnie wytępiona w Europie, ujawnia się czasem jeszcze wśród bogatych Amerykanów. Koniec cytatu. Zabawne?

Przepraszam raz jeszcze - myślak odmawia kolaboracji - muszę go nieco dotresować.

xz 12L w888 8.....js9812yebdc SZLAG BY TO ... STOP ... BACKUP

Spieprzyłam coś? Spróbuję raz jeszcze.

Wspomniałeś o Danilu... dotąd zawsze zbywaliśmy twoje pytania o jego osobę - ciekawił cię, ale mieliśmy swoje powody. - Pamiętasz, jak kiedyś nazwałeś go jakimś takim nieludzkim? - Byłeś blisko prawdy...!

Pytałeś mnie też kiedyś o obecny poziom przestępczości - zaprzeczyłam podobnym patologiom - może pod wpływem tych programów telewizyjnych z twojej epoki - sama krew i miazga - po kilku minutach normalnego człowieka chwytają mdłości!

DRZWI - WPUŚCIĆ! - OCH, WITAJ MELINDA - WYBACZ - SIADAJ - NIEBAWEM SKOŃCZĘ...

Właśnie, zbrodnia. Zawsze się zdarza... Jak poziom szumów, których nigdy całkiem nie wygłuszysz. - Społecznych szumów. I co z nimi zrobić?

Wasze rozwiązanie - więzienia. Finansowane przez państwo wytwornie kryminalistów, gdzie koszt utrzymania jednego osadzonego był dziesięciokrotnie wyższy niż przychód statystycznej rodziny! Zupełne wariactwo... Oczywiście ci, którzy głośno domagali się ciężkich więzień dla przestępców, sami musieli mieć jakieś poważne kłopoty psychiczne ze sobą - oto kandydaci do kuracji psychoanalitycznej! Ale bądźmy sprawiedliwi. Zanim pojawiło się elektroniczne monitorowanie funkcji mózgu i zaistniała możliwość całkowitej kontroli, innego wyjścia nie było. Ale potem! Musiałbyś zobaczyć te radosne tłumy burzące mury więzień! Od czasu rozbiórki muru berlińskiego pięćdziesiąt lat wcześniej, ludzkość nie bawiła się tak dobrze.

Właśnie, Danii. Nie wiem, jakie przestępstwo popełnił, nawet gdybym - i tak bym ci nie powiedziała - ale zapewne jego profil osobowościowy sugerował, że można z niego uczynić dobrego to - kaja, nie, chwilę... lokaja. Trudno znaleźć kandydatów do niektórych zawodów, nie wiem, co byśmy uczynili przy zerowym poziomie przestępczości! Tak czy inaczej, wkrótce zostanie pewnie wyłączony spod kontroli i wróci do normalnego społeczeństwa.

PRZEPRASZAM MELINDA - JUŻ KOŃCZĘ.

Tak, Frank, tyle o Danilu - przypuszczam, że jesteś już w połowie drogi do Ganimeda. Ciekawe, czy kiedykolwiek uda się przeskoczyć ograniczenia Einsteina, byśmy mogli bez opóźnień rozmawiać poprzez kosmos!

Mam nadzieję, że ta uparta maszynka w końcu do mnie przywyknie. W przeciwnym razie

będę musiała rozejrzeć się za jakimś antykiem, na przykład edytorem tekstu... Czy dasz wiarę, że kiedyś opanowałam nawet te wasze QWERTYUIOP? Przez kilkaset lat nie mogliście się tego pozbyć. Pozdrawiam i do widzenia.

Cześć Frank, to jeszcze raz ja. Wciąż czekam na odpowiedź na ostatnie... Ciekawe, że kierujesz się właśnie ku Ganimedowi, gdzie siedzi mój stary przyjaciel Ted Khan. Może zresztą to niezupełnie przypadek. Jego zwabiła tam ta sama tajemnica, która przyciągnęła także ciebie...

Najpierw muszę ci nieco o nim opowiedzieć. Jego rodzice zrobili mu wątpliwą przysługę, wybierając dla niego imię Theodore. Skrót brzmi Theo, ale nigdy nie próbuj tak nazywać Khana! Rozumiesz, co mam na myśli?

Nie pojmuję do końca jego motywacji. Nie znam nikogo, kto byłby podobnie zainteresowany zjawiskiem religii. Właściwie to nie zainteresowanie, ale obsesja. Na wszelki wypadek ostrzegam cię, Khan potrafi nudzić na ten temat bez umiaru.

Jak sobie radzę? Brakuje mi starego myślaka, ale chyba panuję nad nowym. Nie robię już zbyt wiele... jak je nazywaliście? Plam... Kleksów! Chociaż tyle.

Nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić, ale prywatnie nazywam Teda "Ostatnim Jezuitą". Na pewno pamiętasz ten zakon; w twoich czasach był jeszcze bardzo aktywny.

Zdumiewające, ale ci ludzie, nierzadko wielcy naukowcy oraz wspaniali uczeni, czynili zarówno dużo dobra, jak i mnóstwo zła. Oto ironia historii - natchnieni, bystrzy poszukiwacze wiedzy i prawdy opierali całą swą filozofię na przesądach, które wszystko beznadziejnie wypaczały.

Xuedb2k3jn diir21 eidj dwpp

Cholera. Dałam się ponieść emocjom i straciłam kontrolę nad zapisem... niechaj wszyscy dobrzy ludzie przyjdą wesprzeć naszą sprawę... Już lepiej.

Niemniej Teda cechuje ta sama wąskość spojrzenia. Nie wdawaj się z nim w dyskusje, przejedź po tobie jak walec parowy.

Swój ą drogą, co to było ten walec parowy? Przyrząd do prasowania ubrań? Jeśli tak, to wyobrażam sobie, jak musiał być niewygodny w użyciu.

Kłopoty z myślakami polegają ą na tym, że one są zbyt łatwe w obsłudze. Starczy pomyśleć i już, a tu myśli rozbiegają się we wszystkich kierunkach i rób, co chcesz... Trudno przywołać je do porządku... Czasem wolałabym już coś z tradycyjną klawiaturą... ale o tym na pewno ci wspominałam...

Ted Khan... Ted Khan... Ted Khan

Na Ziemi zasłynął głównie z dwóch powiedzonek: "Cywilizacja i religia wykluczają się wzajemnie" oraz "Religia to wiara w powszechnie akceptowane nieprawdy". To ostatnie nie jest

chyba jego oryginalnym pomysłem, a jeśli nawet, nigdy nie był bliższy żartu. W zasadzie brak mu poczucia humoru. Nie śmiał się nawet wtedy, gdy opowiedziałam mu jedną z moich ulubionych historyjek. Mam nadzieję, że jej nie znasz, chociaż wywodzi się z twoich czasów i idzie jakoś tak...

Dziekan narzeka na zebraniu: "Czemu wasza katedra wciąż domaga się tak drogiego sprzętu? Nie możecie jak instytut matematyki zadowolić się wyłącznie tablicą i koszem na śmieci? Albo weźcie przykład z instytutu filozofii, ci nawet kosza nie potrzebują..." Zresztą, może Ted już kiedyś rzecz słyszał... Pewnie wszyscy filozofowie to znają...

Niemniej pozdrów go ode mnie i nie próbuj, powtarzam, nie próbuj z nim dyskutować!

Najlepsze życzenia z Wieży Afrykańskiej. PRZETRANSKRYBOWAĆ. ZAPISAĆ.  
WYŚLAĆ: POOLE

## 16 - STÓŁ KAPITAŃSKI

Obecność tak znakomitego pasażera wniosła niejaki zamieszanie w uporządkowany świat Goliatha, jednak załoga nie narzekała na drobne niedogodności. Codziennie o osiemnastej wszyscy zbierali się na obiad. Mesa mieściła nawet i trzydzieści osób, wszelako pod warunkiem ustawienia ciężenia na zerze. Kto mógł, przysiadł wówczas na ścianie czy suficie i jadł, co podano. Niestety, przez większość podróży pomieszczenia robocze pozostawały w strefie grawitacji równej księżycowej, tym samym ośmiu upakowanych na podłodze konsumentów tworzyło już niejaki ścisk.

Półokrągły składany stół, okalający automatycznego kucharza, starczał akurat dla siedmiu osób, z kapitanem na honorowym miejscu. Pojawienie się dodatkowego gościa oznaczało, że codziennie ktoś inny musiał jeść na osobności. Po krótkiej naradzie postanowiono eliminować konsumentów w porządku alfabetycznym. Nie wedle nazwisk, których rzadko tu używano, ale przezwisk. "Bolec" (inżynier pokładowy), "Czip" (komputery i łączność), "Gwiazdka" (nawigacja), "Doktorek" (opieka medyczna i systemy podtrzymywania życia), "Pierwsza" (pani pierwszy oficer), "Pędna" (napęd i zasilanie).

Przez całe dziesięć dni Frank słuchał różnych opowieści, żartów, narzekań i nauczył się przy tej okazji więcej niż podczas długich miesięcy w Wieży. Wszyscy byli zachwyceni, mając wreszcie nowego i potencjalnie naiwnego słuchacza, wszelako jednoosobowa publiczność w osobie Poole'a rzadko dawała się nabierać.

Czasem jednak Frank miał trudności z oddzieleniem prawdy od fantazji. Nikt nie wierzył już w złoty asteroid uznawany zazwyczaj za bujną wymyśloną w dwudziestym czwartym stuleciu. Ale co z plazmoidami obserwowanymi na Merkurym co najmniej dziesięć razy w ostatnich pięciuset latach?

Najprostsze wyjaśnienia sięgały do zjawisk trywialnych, jak pioruny kuliste odpowiedzialne za wiele legend o Nie zidentyfikowanych Obiektach Latających dostrzeganych czasem na Ziemi i na Marsie. Wszelako niektórzy świadkowie przysięgali na klęczkach, że owe fenomeny zachowywały się jak istoty żywe, podejmowały pewne celowe działania, nawet zdradzały zaciekawienie, przynajmniej wtedy, gdy spotykało się na niewielkich dystansach. Sceptycy zbywali to wszystko machnięciem dłoni i powiadali, że nonsens, bzdura i zwykła elektrostatyka.

Takie tematy nieuchronnie prowadziły do dyskusji zgoła kosmogonicznych i Poole musiał, nie po raz pierwszy, bronić swych czasów przed oskarżeniami o nadmierny sceptycyzm (z jednej strony) i dziecinną łatwowierność (z drugiej strony). Chociaż obsesje i lęki typu "obcy są wśród

nas" zaczęły w jego epoce już z wolna przechodzić do przeszłości, to jeszcze po 2020 roku Agencję Kosmiczną nękali liczni szaleńcy utrzymujący, iż właśnie nawiązali kontakt lub zostali porwani przez gości z innego świata. Ich rojenia były wdzięcznym materiałem dla dziennikarzy, niemniej literatura medyczna ostatecznie sklasyfikowała ten syndrom jako "schorzenie Adamskiego".

Paradoksalnie, odkrycie TMA - 1 położyło kres podobnie żalonym przypadkom: jednoznacznie dowiodło istnienia inteligentnego życia pod obcymi gwiazdami i pokazało jednocześnie, że owe istoty nie zajmowały się naszym gatunkiem osobiście od siedmiu milionów lat. Uciszyło również fałszywy chór naukowców przekonujących, że życie to zjawisko niepowtarzalne i rasa ludzka jest jedyną taką w całej galaktyce, ba, w całym kosmosie, i że nie trafimy nigdy na nic bardziej złożonego niż obca bakteria!

Załoga Goliatha pytała przede wszystkim o konkrety. Polityka i ekonomia były dla nich sprawami zdecydowanie drugorzędnymi. Szczególne zainteresowanie budziły rewolucyjne przemiany technologiczne, które zaszły za życia Poole'a: odejście od spalania kopalin na rzecz wykorzystania energii próżni. Nie dowierzali opowieściom o spowitych smogiem dwudziestowiecznych miastach. Wizja środowiska zatrutego na skutek marnotrawstwa i chciwości umykała ich wyobraźni.

- Ależ nie możecie mnie za to winić - powiedział Poole, wysłuchawszy kolejnej porcji ataków. - Zresztą, przypomnijcie sobie tylko tę rozróbę z dwudziestego pierwszego wieku!

- Jaką niby rozróbę? - spytał chórek głosów.

- No, jak nastąpiła epoka nieograniczonego dostępu do źródeł energii, elektryczność zrobiła się niesłychanie tania. Każdy mógł czerpać kilowaty do woli. I wiecie, co z tego wynikło?

- Mówisz o kryzysie termicznym. Ale w końcu sobie z tym poradzili.

- W końcu! Dopiero wtedy, gdy pokryli połowę Ziemi parabolicznymi zwierciadłami odbijającymi promienie słońca z powrotem w kosmos. W przeciwnym razie mielibyśmy tam teraz piekło prawie równie gorące, jak na Wenus.

Wiedza członków załogi o trzecim tysiącleciu była tak skromna, że nawet Poole, który ostatnio miał dość czasu na studiowanie, potrafił ich czasem czymś zaskoczyć. Zdumiał się jednak niebotycznie faktem, że wszyscy znają zapisy logo starego Discovery. Przebieg tamtej wyprawy awansował do miana najważniejszego wydarzenia wczesnej epoki kosmicznej. Współcześni astronauta poznawali ją tak, jakby słuchali sagi z epoki wikingów, więc Frank często musiał przypominać, że działo się to jednak w czasach historycznych.

- W osiemdziesiątym szóstym dniu wyprawy minęliście asteroid siedem siedem dziewięć cztery - przypomniła mu piątego wieczoru Gwiazdka. - Przeszliście w odległości dwóch tysięcy kilometrów i wystrzeliliście w niego sondę. Pamiętasz?

- Oczywiście - odparł nieco urażony Poole. - Dla mnie działo się to niecały rok temu.

- Hmm, przepraszam. Jutro przelecimy jeszcze bliżej obiektu trzynaście cztery pięć. Chcesz spojrzeć? Z auto-naprowadzaniem i przyspieszoną stopklatką będziemy mieli jakieś dziesięć milisekund na obserwację.

Jedną setną sekundy! Te kilka minut na Discovery upłynęło tak błyskawicznie, a teraz wszystko zdarzy się pięćdziesiąt razy szybciej...

- Jaki jest duży? - spytał Poole.

- Trzydzieści na dwadzieścia na piętnaście metrów - odparła Gwiazdka. - Przypomina poobijaną cegłę.

- Przykro mi, ale nie mamy czym do niego strzelić - dodała Pędna. - Nie obawialiście się wtedy, że siedem siedem dziewięć cztery wam odda?

- Nawet o tym nie pomyśleliśmy. Za to astronomowie zebrali masę pożytecznych informacji, więc ryzyko się opłacało... Tak czy inaczej, jedna setna sekundy to raczej niewiele, chyba nie warto się trudzić. Ale dziękuję.

- Rozumiem. Gdy widziało się jeden asteroid, to tak jakby poznało się wszystkie...

- Mylisz się, Czip. Gdy byłem kiedyś na Erosie...

- Tuzin razy już to opowiadałeś...

Poole wyłączył się z rozmowy. Niepomny na narastający gwar, wrócił pamięcią do tego ekscytującego doświadczenia, które przeżył krótko przed klęską wyprawy. Chociaż obaj z Bowmanem wiedzieli, że 7794 to tylko pozbawiony życia i powietrza złom skały, to jednak przejęli się rolą. Po tej stronie Jowisza nie mogli liczyć na jakikolwiek inny kawałek materii i byli trochę jak marynarze przyglądający się po długim rejsie mijanej wyspie, na której i tak nie mogą wylądować.

Asteroid obracał się powoli, migając plamami i czasem pobłyskując jakimś kryształem... Z napięciem czekali na wynik celowania. Ostatecznie niełatwo jest trafić tak mały obiekt z odległości dwóch tysięcy kilometrów, na dodatek poruszający się z relatywną szybkością ponad dwudziestu kilometrów na sekundę.

Nagle ciemna strona asteroidu zajaśniała błyskiem eksplozji. Drobne żądło, całe z uranu 238, wbiło się w skałę. Energia kinetyczna przetworzyła się w ciepłą, buchnął kłęb gazów. Kamery Discovery zapisały wszystko, wychwytując szybko blednące paski widma - ulotne znaki rozpraszanych atomów. Kilka godzin później ziemscy astronomowie po raz pierwszy poznali skład asteroidowego gruzu. Wielkich zaskoczeń nie było, jednak kilka butelek szampana przeszło z rąk do rąk.

Kapitan Chandler też przyłączył się do całkiem demokratycznie prowadzonej dyskusji.

Uznawał widocznie, że przy stole kapitańskim załoga winna się odprężyć, a nic nie służy temu tak bardzo, jak pozbawiona formalizmów dysputa. Narzucił tylko jedną regułę - nie wolno podejmować żadnych poważnych tematów. Problemy techniczne czy operacyjne należało omawiać gdzie indziej.

Kolejnego zdumienia dostarczyło Poole'owi odkrycie, że załoga posiadała raczej wrywkową wiedzę o systemach Goliatha. Niemal zawsze, gdy pytał o coś, odsyłano go do pokładowych banków pamięci. Potem zrozumiał jednak, że zwyczajny w jego czasach, wszechstronny trening byłby obecnie niemożliwy. Złożoność systemów dawno przerosła ludzkie możliwości. Starczało, że specjaliści wiedzieli, jaki moduł za co odpowiada, ale jak działa, to już ich nie musiało obchodzić. Maszyny kontrolowały się same, więc z korzyścią pozostawało zawierzyć urządzeniom, gdyż potencjalna interwencja człowieka byłaby prędzej zawadą niż pomocą.

Szczęśliwie podobna konieczność nie zaistniała; każdy szyper życzyłby sobie podobnie spokojnego rejsu jak ten, który rychło przywiódł Goliatha w pobliże nowego słońca Lucyfera.

## CZEŚĆ TRZECIA

### KSIĘŻYCE GALILEUSZA

(Wyjątek z Turystycznego przewodnika po zewnętrznych obszarach Układu Słonecznego, wyłącznie tekst, w. 219.3)

Nawet dzisiaj gigantyczne księżyce niegdysiejszego Jowisza przedstawiają sporo tajemnic. Przede wszystkim nie wiemy, czemu cztery największe, o podobnych orbitach i zbliżonych rozmiarach, różnią się tak bardzo pod każdym innym względem?

Zadowolające wyjaśnienie znajdujemy tylko w przypadku Io, którego orbita jest najciaśniejsza, przez co znajduje się on nieustannie pod wpływem silnego pola grawitacyjnego macierzystego obiektu. Powstające w konsekwencji olbrzymie pływy generują tak wielkie ilości ciepła, że skorupa planety wciąż pozostaje w stanie półpłynnym. To najbardziej aktywny wulkanicznie glob w Układzie Słonecznym; mapy Io dezaktualizują się już po paru dekadach.

Niestabilne środowisko nie pozwoliło na ustanowienie baz załogowych, zorganizowano jednak wiele lądowań; trwa nieustająca obserwacja za pomocą automatycznych sond. (W sprawie tragicznego losu ekspedycji z 2571 roku, patrz: Beagle 5).

Europa to drugi pod względem odległości satelita, pierwotnie na całym obszarze skutym lodem pokrytym zmienną siatką pęknięć. Formujące oblicze Io pływy były tu znacznie słabsze, choć wytwarzały dość energii, by utrzymać globalny ocean w stanie płynnym. Tam właśnie, pod pokrywą lodu, wyewoluowały rozmaite formy życia (patrz: statki kosmiczne Tsien, Galaxy, Universe). Przekształcenie się Jowisza w miniaturowe słońce Lucyfera spowodowało stopienie niemal całego lodu, a nasilenie aktywności wulkanicznej zaowocowało powstaniem kilkunastu niewielkich wysp.

Jak dobrze wiadomo, od prawie tysiąca lat na Europie nie wylądował żaden statek, trwa jednak nieustanna obserwacja satelitarna.

Ganimedes, największy księżyc w Układzie Słonecznym (średnica 5260 kilometrów) też odmienił oblicze za sprawą Lucyfera. Średnie temperatury w rejonach równikowych podniosły się na tyle, by dać szansę ziemskim formom życia, chociaż atmosfera satelity nie nadaje się jeszcze do oddychania. Gros mieszkańców to naukowcy i ekipy pracujące nad terraformowaniem Ganimesesa. Największe osiedle: Anubis City (41000 osób) w pobliżu bieguna południowego.

Kallisto jest zupełnie odmienny. Całą jego powierzchnię pokrywają kratery meteorytowe, tak liczne, że nachodzą na siebie. "Bombardowanie" trwało zapewne miliony lat, gdyż starsze



kratery zostały zupełnie zatarte przez ślady nowszych uderzeń. Na Kallisto nie ma baz załogowych, znajduje się tam jedynie kilka stacji automatycznych.

## 17 - GANIMEDES

Frank Poole zaspał. Zdarzało mu się to nader rzadko, na dodatek obudziły go dopiero osobliwe sny, w których przeszłość mieszała się z terażniejszością. Chwilami był na pokładzie Discovery, chwilami w Wieży Afrykańskiej, a niekiedy znów jako chłopiec trafiał między przyjaciół dawno już zapomnianych na jawie.

Gdzie jestem? Niczym pływak, dążący ku jasnej powierzchni wód, wracał z wolna do przytomności. Nad łóżkiem miał małe okienko z grubą, całkowicie chłonącą światło kotarą. Przypomniawszy sobie, jak to jeszcze w połowie dwudziestego stulecia samoloty latały na tyle wolno, że w pierwszej klasie oferowano pasażerom miejsca do spania. Poole nigdy nie skorzystał z takiego luksusu, chociaż nawet w jego dniach niektóre biura podróży reklamowały podobne atrakcje, ale czuł się, jakby właśnie nadrabiał zaległości.

Odsunął kotarę. Nie, nie było to błękitne niebo Ziemi, chociaż przesuwający się w dole krajobraz mógłby przypominać Antarktydę. Jednak nad biegunem południowym nigdy nie widziało się dwóch jednocześnie wschodzących słońc. Oba tkwiły przed dziobem Goliat ha.

Statek orbitował ledwie sto kilometrów nad czymś, co wyglądało na porządnie zaorane i lekko przysypane śniegiem pole. Jednak oracz musiałby być pijany, albo naprowadzanie nie spełniało należycie swych funkcji, gdyż bruzdy biegingy we wszystkich możliwych kierunkach, czasem krzyżowały się lub zawracały, niszcząc własny ogon. Tu i ówdzie widniały zarysy wielkich kół - szczątki kraterów meteorytowych powstałych przed milionami lat.

A więc tak wygląda Ganimedes, pomyślał Poole. Najdalsza placówka rodzaju ludzkiego! Jakim cudem ktokolwiek w miarę normalny może chcieć tu mieszkać? To tak jak z Grenlandią czy Islandią. Ile razy zastanawiałem się nad tym samym, gdy przelatywałem nad nimi w zimowej porze...

Ktoś zapukał do drzwi.

- Mogę wejść? - Kapitan Chandler nawet nie poczekał na odpowiedź. - A już myśleliśmy, że prześpisz lądowanie. Impreza na koniec lotu przeciągnęła się nieco, ale nakazując koniec zabawy, ryzykowałbym bunt na pokładzie.

- To zdarzają się bunty w kosmosie? - zachichotał Frank.

- Czasami. A skoro o tym wspomniałeś, powiedziałbym, że poniekąd to HAL zainicjował niechlubną tradycję... Przepraszam, chyba chlapanąłem. Ale popatrz, o to Ganymede City!

Zza horyzontu wypełzła siatka ulic przecinających się niemal pod kątem prostym, wszelako nieco nieregularna, jak zwykle w przypadku osiedli powstających bez centralnego planowania.

Przez środek szeroka płynęła rzeka. Całość przypominała Poole'owi rycinę przedstawiającą średniowieczny Londyn.

Frank nie pojmował, czemu Chandler przygląda mu się z niejakim rozbawieniem... aż iluzja prysła i "miasto" pokazało swe prawdziwe oblicze.

- Ganimedianie byli chyba gigantami, skoro budowali ulice szerokie na pięć kilometrów - stwierdził oschle.

- A czasem nawet na dwadzieścia. Robi wrażenie, prawda? To skutek erozji lodowej. Matka natura jest naprawdę genialna... Mógłbym pokazać ci miejsca jeszcze bardziej lądzące, chociaż już nie tak rozległe.

- W czasach mojego dzieciństwa wiele mówiono o tajemniczej twarzy na Marsie. Ostatecznie okazało się rzecz jasna, że burze piaskowe obrobiły tak jakieś wzgórze... Na ziemskich pustyniach jest sporo podobnych osobliwości.

- No proszę, jak historia lubi się powtarzać. O Ganymede City też powiadano, że zbudowali je obcy. Ale nawiedzonym wkrótce zabraknie tematu.

- Czemu? - zdumiał się Poole.

- Lucyfer z wolna topi wieczną zmarzlinę i miasto zapada się, tonie. Za sto lat nie poznasz Ganimeda... O, nieco z prawej widać skraj jeziora Gilgamesz. Tylko spójrz uważnie...

- A tak. Co tam się dzieje? Jakby woda się gotowała. Ciśnienie powietrza nie jest chyba aż tak niskie, żeby...

- To instalacje elektrolityczne. Zupełnie nie wiem, dokładnie ile milionów kilogramów tlenu odprowadzają dziennie do atmosfery, ale jest tego naprawdę wiele. Lżejszy wodór ulatnia się poza planetę. To znaczy, mamy nadzieję, że się ulatnia. - Chandler zamilkł na chwilę. - Piękna woda - powiedział już innym tonem. - Ganimed nie potrzebuje nawet połowy! Nie mów nikomu, ale pracuję nad sposobem podebrania odrobiny na potrzeby Wenus.

- To łatwiejsze niż ganiecie za kometami?

- Pod względem wydatków energetycznych, owszem. Na Ganimedzie szybkość ucieczki wynosi tylko trzy kilometry na sekundę. No i jest bliżej, lot potrwa kilka lat, a nie całe dekady. Jednak trafiłem na kilka technicznych trudności...

- Nie wątpię. Myślisz o wyrzutni?

- Nie, chciałbym raczej użyć wież sięgających poza atmosferę, takich jak na Ziemi, ale znacznie niniejszych. Pompowałibyśmy wodę od spodu, i zamrażali ją na górze. Potem należy tylko poczekać na stosowną chwilę i sama szybkość rotacji globu wystarczy, żeby wystrzelić ładunek we właściwym kierunku. Z powodu parowania ponosilibyśmy niejakie straty, ale większość "przesyłki" i tak docierałaby na miejsce. Co w tym śmiesznego?

- Przepraszam, nie z pomysłu się śmieję, brzmi całkiem sensownie. Po prostu coś sobie przypomniałem. W moich czasach dużą popularnością cieszyły się zraszacze ogrodowe, które obracały się nieustannie, napędzane strumieniem wody. Ty proponujesz podobne rozwiązania techniczne, tylko zamierzasz zastosować je na większą skalę... z wykorzystaniem całej planety.

Przed oczami Poole'a pojawił się nagle jeszcze jeden obraz. Gorący dzień w Arizonie, on i Rikki ganiający się wśród ruchomej wodnej mgiełki...

Kapitan Chandler był człowiekiem znacznie bardziej wrażliwym, niż starał się to zasugerować otoczeniu. Wiedział, kiedy wyjść.

- Muszę wracać na mostek - powiedział z chrząknięciem. - Zobaczmy się po lądowaniu w Anubis.

## 18 - GRAND HOTEL

Orand Hotel na Ganimesie, zwany w całym Układzie Słonecznym "Grannymede", nie przypominał jednak pensjonatu babuni, nie był też wielki. Na Ziemi przy sporej dozie szczęścia mógłby liczyć co najwyżej na półtorej gwiazdki, ale najbliższa konkurencyjna placówka mieściła się kilkaset milionów kilometrów ku Słońcu, więc zarządowi hotelu najwyraźniej brakowało odpowiedniej motywacji do podwyższania jakości usług.

Wszelako Poole nie narzekał, chociaż chwilami tęsknił za Danilem świetnie wiedzącym, jak poradzić sobie z różnorodnymi mechanizmami, szczególnie tymi reagującymi na głośne polecenia. Najgorzej było na samym początku, gdy chłopiec hotelowy, onieśmielony spotkaniem z tak ważnym gościem, wyszedł z pokoju, nie udzielwszy żadnych wyjaśnień ani instrukcji. Po pięciu minutach gadania do ściany, Frank poczuł, że szlag go trafia. Ostatecznie znalazł system zdolny zrozumieć akcent przybysza i tym samym uniknął losu nader fatalnego. Oczami wyobraźni widział już te nagłówki w "All Worlds": PREHISTORYCZNY ASTRONAUTA GINIE ŚMIERCIĄ GŁODOWA ZATRZAŚNIĘTY W POKOJU HOTELOWYM NA GANIMEDZIE!

Ironia losu miałaaby wymiar szczególny, chociaż nazwa jedyne "luksusowego" apartamentu w "Grannymede" nie powinna w zasadzie dziwić. Ale i tak Poole przeżył mały wstrząs, natykając się za progiem "Pokoju Bowmana" na hologram naturalnej wielkości.

Holo przedstawiało dawnego dowódcę Franka, i to w paradnym mundurze. Poole pamiętał, że pewnego ranka obaj wbili się w uniformy, by pozować do oficjalnych portretów. Na kilka dni przed odlotem...

Niebawem odkrył także, że większość członków załogi Goliatha mieszka na stałe właśnie w Anubis i że ci wszyscy aż się palą, by w trakcie dwudziestodniowego postoju przedstawić Poole'a swoim krewnym i znajomym. Zaraz też wprowadzili gościa w towarzyski i zawodowy świat osiedleńców. Jakże inne było to życie od tego, co poznał w Wieży Afrykańskiej!

Jak wielu Amerykanów, Poole skrywał w głębi serca słabość do małych społeczności, i to takich prawdziwych, a nie wirtualnych, tworzonych w cyberprzestrzeni. Anubis mniejsze od dawnego Flagstaff, wydawało się Frankowi bliskie ideału.

Trzy kopuły ciśnieniowe, każda o przekroju dwóch kilometrów, ustawiono na płaskowyżu ponad ciągnącym się aż po horyzont polem lodowym. Drugie słońce Ganimesa, Lucyfer, nie dawało aż tyle ciepła, by stopić czapy biegunowe, i właśnie dlatego osiedle ulokowano z dala od stref równikowych: przynajmniej jeszcze przez kilkaset lat nie miało mu grozić zapadnięcie się w rozmarzające bagienko.

Wewnątrz tych kopuł łatwo można było zapomnieć o istnieniu zewnętrznego świata. Opanowawszy mechanizmy "Pokoju Bowmana", Poole odkrył również niezbyt obfity, ale za to udany zestaw hologramów tła. Od tej pory mógł nasłuchiwać pod palmami szmeru fal załamujących się na plaży Pacyfiku, albo zmienić ten szmer na ryk huraganu. Mógł z wolna szybować ponad szczytami Himalajów lub nurkować w przepaścistych kanionach Doliny Marinera. Albo spacerować ulicami, śledząc dzieje jakiegoś miasta na przestrzeni wieluset lat. Hotel "Grannymede" nie dorównywał podobnym przybytkom na innych planetach, jednak i tak pod paroma względami przewyższał dawnych, ziemskich protoplastów.

Ale nie po to leci się przez pół Układu Słonecznego, by ulegać dawnym nostalgiiom. Pobawiwszy się projektorem, Poole wybrał rozwiązanie kompromisowe i włączał urządzenie wówczas jedynie, gdy mógł trochę poleniuchować, czyli nader rzadko.

Ku swojemu wielkiemu żalowi, nigdy nie odwiedził Egiptu, zatem z wielką przyjemnością ustawił obraz Sfinksa (pochodzący jeszcze sprzed kontrowersyjnej "renowacji") i obserwował sobie turystów wdrapujących się na masywne bloki Wielkiej Piramidy. Złudzenie było wręcz doskonałe, może z wyjątkiem wąskiego pasa "ziemi niczyjej", gdzie piasek pustyni przechodził w nieco wytarty dywan apartamentu.

I tylko niebo pozostało prawdziwe. Pięć tysięcy lat musiało minąć od położenia ostatniego kamienia w Gizie, nim ludzkie oko ujrzało niezwykle nieboskłon Ganimedesa.

Tak jak inne księżyce, również i złapany w grawitacyjną pułapkę Jowisza Ganimedes stracił swój moment obrotowy. Zmieniona w gwiazdę planeta wisiała nieruchomo na tutejszym niebie, oświetlając tylko jedną półkulę. Tę drugą zwano "nocną", co było sporym nieporozumieniem, identycznym zresztą jak w przypadku dawnej "ciemnej strony Księżyca". Zarówno na Lunie, jak i na Ganimedesie dzień i noc następowały naturalnym porządkiem, tyle że były bardzo długie, bo nie zależały od rotacji własnej, ale od położenia na orbicie względem Słońca.

Zbiegiem okoliczności pełne okrążenie Ganimeda wkoło Lucyfera trwało tydzień, a dokładnie siedem dni i trzy godziny. Narobiło to nieco zamieszania, gdyż sprowokowało tych i owych do prób wprowadzenia ganimediańskiego dnia równego ziemskiemu tygodniowi. Kalendarz taki był jednak nader niewygodny, więc zarzucono go już setki lat temu. Obecnie, jak w całym Układzie Słonecznym, panował tu czas uniwersalny, tyle że standardowe dni określano nie tyle tradycyjnymi nazwami, ile kolejnymi numerami.

Ponieważ atmosfera była wciąż rzadka i chmury niemal nie występowały, w górze trwała nieustająca parada ciał niebieskich. Najbliższe Io i Kallisto urastały maksymalnie do połowy wielkości widzianego z Ziemi Księżyca, ale na tym kończyły się ich podobieństwa z Luną. Io krążył tak blisko Lucyfera, że pełny obieg zajmował mu tylko dwa dni. Starczyło obserwować go

przez kilka minut, by wychwycić postęp na orbicie. Czterokrotnie dalszy Kallisto okrążał planetę - gwiazdę w dwa ganimediańskie dni - lub szesnaście ziemskich.

Jeszcze znaczniejsze były różnice fizyczne. Ciepło Lucyfera nie miało prawie żadnego wpływu na głęboko zmrożonego Kallisto, wciąż pokrywały go płytkie lodowe kraterzyki upakowane tak ciasno, że nie dało się tam znaleźć ani skrawka nie zeszczonej przyszczonej powierzchni. "Bombardowanie" nastąpiło parę miliardów lat temu, gdy Jowisz walczył z Saturnem o palmę pierwszeństwa w kolekcjonowaniu luźnych śmieci tej okolicy Układu Słonecznego. Kallisto praktycznie nie zmienił się od tamtych czasów, gdyż później już mało co na niego spadało. Io natomiast odmieniał oblicze z tygodnia na tydzień. Miejscowi powiadali, że jeszcze za jowiszowych czasów był to piekielny zakątek, Lucyfer zaś przekształcił go w "piekło z dopalaczem".

Poole często otaczał się tym krajobrazem, w którym siarczane gardziele wulkanów nieustannie rzeźbiły teren większy niż cała Afryka. Czasem fontanna ognista tryskała wysoko w przestrzeń niczym szczególne drzewo wykwitłe z lawy martwego świata.

Powodzie płynnej siarki barwiły glob na wszelkie odcienie czerwieni i pomarańcza. Przed nadejściem epoki kosmicznej, nikt nie podejrzewał nawet, że taki glob istnieje. Spoglądając na erupcje, Poole nie mógł się nadziwić, że człowiek jednak zaryzykował kiedyś lądowanie w tej infernalnej otchłani, dokąd strach było wysłać roboty...

Franka najbardziej jednak interesowała Europa, która przy największym zbliżeniu urastała niemal do wielkości Luny, ale przejście przez wszystkie fazy zajmowały jej tylko cztery dni. Zupełnie nieświadomie Poole skomponował sobie w pokoju obraz zgoła symboliczny, którego znaczenie, gdy w pełni dotarło do Franka, wydało mu się nader stosowne - to Europa zawisła nad inną wielką zagadką, Sfinksem.

Nawet bez powiększenia jasno było widać, jak wielkim zmianom uległa Europa od tego dnia, kiedy Discovery dotarł do Jowisza. Pajęczna siatka pęknięć, niegdyś pokrywająca ten najmniejszy spośród odkrytych przez Galileusza księżyc Jowisza, zniknęła prawie bez śladu. Jej szczątki malowały się już tylko w pobliżu biegunów. Tylko tam gruba na kilometr lodowa pokrywa nie stopniała całkowicie w blasku nowego słońca. Wszędzie indziej falował ocean gotujący się z lekka w rzadkiej atmosferze, podgrzany do temperatury, można powiedzieć, pokojowej.

Taka ciepłota sprzyjała rozwojowi istot, które wyewoluowały niegdyś pod lodową tarczą, ochroną i więzieniem równocześnie. Satelity szpiegowskie, których kamery wychwytywały wszystkie obiekty większe ponad centymetr, ujawniły, że jeden z tych gatunków wszedł już w stadium dwudysznych. Wprawdzie większość czasu nadal spędzał w wodzie, jednak coraz częściej wychodził na ląd. Niektórzy Europejczycy zaczęli konstruować nawet proste budowle.

Aż dziwne, że tak wielki krok ewolucji dokonał się raptem w niecałe tysiąc lat. Jednak nikt nie wątpił, że odpowiedzialność za owo przyspieszenie ponosi najpokaźniejszy spośród wszystkich znanych monolitów, długi na wiele kilometrów "Wielki Mur" stojący na brzegu Morza Galilejskiego.

I wszyscy domyślali się też, że monolit ten czuwa na swój tajemniczy sposób nad przebiegiem rozpoczętego na Europie eksperymentu. Tak samo, jak czynił to cztery miliony lat temu na Ziemi



## 19 - SZALEŃSTWO RODZAJU LUDZKIEGO

MISS PRINGLE

PLIK: INDRA

Droga Indro, przepraszam, że nie odezwałem się ostatnio, ale na usprawiedliwienie miałbym tylko zwykłe wymówki, więc nie będę marnował czasu na ich przytaczanie.

Co zaś do twojego pytania, odpowiedź brzmi tak. Rzeczywiście, obecnie czuję się w "Grannymede" jak w domu, ale spędzam tu coraz mniej czasu, chociaż chętnie spoglądam na przekazywany do mego pokoju obraz nieba. Ostatniej nocy Io dał piękne przedstawienie, coś na kształt wyładowania między nim a Jowiszem, znaczy Lucyferem. Niby - błyskawica, ale bardziej to przypominało ziemską zorzę polarną, niemniej tak spektakularną... Radioastronomowie odkryli to zjawisko jeszcze przed moim narodzeniem.

A skoro o dawnych czasach już mowa, czy wiesz, że Anubis ma szeryfa? Chyba przesadzają z tym duchem pogranicza. Zupełnie jak w historiach, które opowiadał mi dziadek. On pamiętał jeszcze dziewiętnastowieczną Arizonę... Będę musiał zacytować coś z jego wspomnień tubylcom.

Może to głupie, ale apartament pod wezwaniem Bowmana działa mi na nerwy. Mimowolnie co chwila oglądam się przez ramię...

Jak spędzam czas? Mniej więcej tak samo jak w Wieży Afrykańskiej. Spotykam się z miejscową inteligencją, chociaż jak pewnie się domyślasz, orły tu nie przylatują (nam nadzieję, że nie jestem na podsłuchu). Poza tym włączyłem się, realnie i wirtualnie, w ich system edukacyjny. Jest mocno nasycony szczegółami technicznymi, bardziej niż w okolicach Ziemi, ale to zrozumiałe i w tak wrogim środowisku nieuniknione.

Jednak zaczynam wreszcie rozumieć, czemu oni tu żyją. To jest wyzwanie, pragnienie posiadania celu. Na Ziemi trudno obecnie o coś podobnego.

To prawda, że większość Ganimedian urodziła się już tutaj. Ci nie znają innego życia i uważają, chociaż są zbyt uprzejmi, by powiedzieć to głośno, że Stara Ziemia popada w dekadencję. Naprawdę? Jeśli tak, to co zamierzacie z tym zrobić, Terranie? Oni nazywają was tu Terranami. W jednej z młodszych klas, gdzie zaproszono mnie na spotkanie, usłyszałem, że zamierzają was obudzić. Snują już tajne plany dokonania inwazji na Ziemię. Nie mówcie potem, że nie ostrzegałem.

Raz wypuściłem się poza Anubis, na taką zwaną "ciemną stroną", skąd nigdy nie widać Lucyfera. Pojechaliliśmy w dziesięciu: Chandler, dwoje z załogi Goliatha i sześciu tubylców.

Poczekaliśmy, aż Słońce też zajdzie za horyzont. Mieliśmy prawdziwą noc. Coś pięknego, niczym noc polarna na Ziemi, ale z kompletnie czarnym niebem... Czuję się prawie jak na otwartej przestrzeni.

Księżycy galileuszowe prezentowały się wspaniale. Podziwialiśmy zaćmienie, znaczy zakrycie Io przez Europę. Oczywiście czas wycieczki tak dobrano, byśmy mogli wszystko dokładnie poobserwować.

Widać było też kilka mniejszych satelitów, ale podwójna gwiazda Ziemi i Księżycy przyciągała wzrok najmocniej. Czyżbym zaczynał tęsknić za domem? Szczerze mówiąc, to niezbyt, ale brakuje mi tu paru przyjaciół...

I przepraszam, ale nie spotkałem się jeszcze z doktorem Khanem, chociaż zostawił mi kilka wiadomości. Obiecałem, że odezwę się do niego za kilka dni, ziemskich, nie tutejszych!

Najlepsze życzenia dla Joego i wyrazy szacunku dla Danila, o ile wiesz, gdzie go szukać. Znow jest zwyczajnym człowiekiem? Ciepłe słowa też dla Ciebie...

ZAPISAĆ

PRZESŁAĆ

W czasach Poole'a nazwisko i imię danej osoby często pozwalały się domyślić, jak osobnik wygląda. Jednak trzydzieści pokoleń później ten klucz zawodził. Doktor Theodore Khan okazał się nordyckim blondynem pasującym raczej do długiej łodzi wikingów, a nie do stepów Środkowej Azji. Niemniej w żadnej z tych ról i tak by się nie sprawdził, skoro miał ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu. Poole przypomniał sobie jeden z obiegowych sądów wynikłych z amatorskiej wersji psychoanalizy: ludzie niscy są często agresywni i nadambitni. Sądząc po wzmiankach Indry, ten opis pasowałby do jedyne zameldowanego na stałe na Ganimesie filozofa. W tak praktycznym społeczeństwie Khan nie przetrwałby bez swoiście rozumianej przebojowości.

Anubis było miastem zbyt małym, by móc pochwalić się miasteczkiem uniwersyteckim, chociaż na innych światach wciąż znano podobne zbytki. Zbytki, gdyż w przekonaniu wielu osób rewolucja telekomunikacyjna uczyniła wielkie skupiska ludzkie zbędnymi. Miast tego w Anubis stworzono coś jeszcze bardziej antycznego, a mianowicie Akademię. Kompletną, wraz z gajem oliwnym. Sam Platon dałby się oszukać, przynajmniej do chwili, kiedy nabrałby apetytu na oliwkę. Dowcip Indry o wydziale filozofii żerującym jedynie na tablicy i kredzie wcale nie brzmiał tu tak śmiesznie.

- Zbudowano to dokładnie na siedem osób - powiedział z dumą Khan, sadowiąc gościa w niezbyt wygodnym fotelu. - Siedem, bo tylko z tyłoma maksymalnie można równocześnie wejść w skuteczną interakcję. Jeśli doliczy się ducha Sokratesa, to właśnie tylu było obecnych, gdy Fedon wygłosił swą słynną koncepcję...

- Tę o nieśmiertelności duszy?

Khan zdumiał się niebotycznie. Poole nie pohamował śmiechu.

- Tuż przed absolutorium ukończyłem błyskawiczny kurs filozofii - wyjaśnił. - Ktoś układający program studiów uznał, że nawet tępi inżynierowie winni mieć szansę liźnięcia odrobiny kultury.

- Miła wiadomość. W ten sposób pójdzie nam o wiele łatwiej. Wiesz, wciąż nie dowierzam własnemu szczęściu. Twoje przybycie tutaj graniczy z cudem! Myślałem nawet, by wybrać się do ciebie na Ziemię... Czy nasza kochana Indra opowiedziała ci o mojej, hm, obsesji?

- Nie - odparł nieszczerze Poole.

Doktor Khan pojaśniał. Świętował znalezienie nowego słuchal.

- Pewnie słyszałeś, że jestem ateistą, ale to niezupełnie tak. Ateizmu nie sposób poprzeć żadnym dowodem, co czyni sprawę kompletnie nieinteresującą. Jakkolwiek mało to prawdopodobne, nie potrafimy też orzec jednoznacznie o istnieniu Boga. Może był kiedyś, po czym przepadł wśród stanów nieskończonych, jak Gautama Budda na przykład. Tak zatem nie zajmuję stanowiska w tej kwestii. Moje poletko to psychopatologia zwana religią.

- Psychopatologia? Ostro powiedziane.

- Ale historia usprawiedliwia taki osąd w całej rozciągłości. Wyobraź sobie, że jesteś inteligentną istotą pozaziemską, zainteresowaną jedynie weryfikowalnymi prawdami. Odkrywasz gatunek, który dzieli się na tysiące, nie, na miliony grup plemiennych, a każda wyznaje inne przekonania o pochodzeniu świata i stosownym modelu życia. Chociaż ich wierzenia pokrywają się czasem nawet aż w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, to ten jeden procent różnicy sprawia, że są gotowi zabijać się nawzajem i torturować, byle tylko udowodnić w ten sposób słuszność własnej doktryny, dla kogoś z zewnątrz i tak nieistotnej. Jak więc sklasyfikować podobnie irracjonalne zachowanie? Lukrecjusz trafił w sedno, stwierdzając, że religia to uboczny wytwór strachu, reakcja na tajemnicze i często wrogie uniwersum. W prehistorii ludzkości była złem koniecznym, ale czemu przetrwała do czasów, gdy stała się już zbyteczna?

Powiedziałem złem i dokładnie to miałem na myśli. Strach prowadzi do okrucieństwa. Poznawszy tylko część prawdy o poczynaniach Inkwizycji, można spłonąć ze wstydu, że jest się człowiekiem... Jedna z najohydniejszych ksiąg, jakie kiedykolwiek wydano, to Młot na czarownice. Dzieło napisane przez paru sadystycznych zbrojców, fachowców od w pełni akceptowanych przez Kościół tortur. Akceptowanych... Polecanych! Polecanych jako środek wymuszania "zeznań" z ust tysięcy bezbronnych kobiet, które potem palono żywcem... Sam papież napisał do tej książki zachęcający wstęp!

Jednak inne religie, z paroma tylko zaszczytnymi wyjątkami, były równie przesiąknięte

złem jak chrześcijaństwo. Jeszcze w twoich czasach zakuwano w kajdany małych chłopców i biczowano ich tak długo, aż nauczyli się na pamięć bogobojnych bzdur. Okradano niebożęta z dzieciństwa i męskości, by uczynić z nich mnichów...

Najbardziej zdumiewającym aspektem całej sprawy jest jednak obecność tych ewidentnych szaleńców w każdym stuleciu. Każdy z nich ogłaszał, że on, i tylko on jeden, otrzymał posłanie od Boga. Gdyby wszystkie te przekazy były zgodne, to zakończyłoby dyskusje. Oczywiście każdy mówił w zasadzie co innego, wszelako ci samozwańczy mesjasze i tak gromadzili każdorazowo tysiące, a czasem i miliony stronników gotowych walczyć do upadłego z równie nawiedzonymi wyznawcami proroka, głoszącego odrobinę inną prawdę.

Poole uznał, że pora jednak się wtrącić.

- Przypomina mi to pewne zdarzenie z dzieciństwa. W moim rodzinnym mieście żył pewien podobno święty mąż. Prowadził sklep i twierdził, że potrafi czynić cuda. Nie wiadomo, kiedy zebrał grupę wiernych, którzy nie byli wcale niepiśmiennymi tępakami, wręcz przeciwnie, często pochodzili z bardzo dobrych rodzin. Co niedziela wkoło jego, hmm... świątyni parkowało wiele drogich samochodów...

- To się nazywa "syndrom Rasputina". Znamy miliony podobnych przykładów. Takie przypadki zdarzały się zawsze i wszędzie. Tylko jeden na tysiąc tego typu kult przyjmuje się na dłużej, na parę pokoleń powiedzmy. A co się stało z inkryminowanym?

- Cóż, konkurencja nie spała i zrobiła co tylko w jej mocy, by go skompromitować. Niestety, nie pamiętam nazwiska, było długie i hinduskie, Swami jakoś tam, ale okazało się, że gość przybył z Alabamy. Jedną z jego sztuczek polegała na wyczarowywaniu różnych świętych przedmiotów prosto z powietrza. Potem rozdawał je wyznawcom. Miejscowy rabin, który był z zamiłowania prestidigitatorem, urządził publiczny pokaz, by ujawnić oszustwo. Nie pomogło. Wierni tamtego stwierdzili, że ich mistrz czaruje naprawdę, a rabin po prostu mu zazdrości. Przykra sprawa, ale pewnego razu moja mama też wzięła rzecz na poważnie. To stało się zaraz potem, gdy tata od nas odszedł i może stąd to pomieszanie... W każdym razie zaciągnęła mnie na jedną z takich sesji. Skończyłem wtedy dopiero dziesięć lat, ale nigdy jeszcze nie widziałem kogoś równie odrażającego. Facet miał brodę tak skołtunioną, że ptaki mogłyby tam wic gniazda. Może nawet próbowały.

- Niemal standardowy model. Jak długo prosperował?

- Trzy lub cztery lata. Opuścił miasto w niejakiem pośpiechu, bo przyłapano go na organizowaniu orgietek z udziałem nieletnich. Oczywiście ogłosił, że to były tylko mistyczne metody zbawiania duszy. A potem, chyba nie uwierzysz...

- Zobaczymy.

- Nawet po tym wszystkim wiele z jego ofiar nadal mu wierzyło. Powiadali, że bóg nie może uczynić niczego złego, zatem niewątpliwie wrobiono go w tę aferę z dzieciakami.

- Wrobiono?

- Przepraszam, oskarżono na podstawie sfalszowanych dowodów. Czasem policja stosowała takie metody wobec kryminalistów, gdy wszystko inne zawiodło.

- Hmm. Ten wasz S wami był jak z obrazka. Trochę mnie rozczarował. Ale jego postać dobrze ilustruje zasadniczą tezę, że większość ludzkości zawsze zdradzała objawy braku równowagi psychicznej. Może tylko okresowo, ale jednak.

- Ja nie uznałbym go za bardzo reprezentatywnego. Zwykły szarlatan z przedmieścia małego Flagstaff.

- Owszem, ale takich były tysiące, nie tylko w twoim stuleciu. Głosili wszelkie możliwe absurdy, ale zawsze znajdowali niezliczone rzesze ludzi gotowych uwierzyć w ich słowa i bronić tych iluzji nawet za cenę własnego lub cudzego życia. Według mnie to objaw szaleństwa.

- Czy chcesz powiedzieć, że każdy głęboko religijny wierny to szaleniec?

- W klinicznym sensie tak. O ile wierzył szczerze, a nie skutkiem hipokryzji. Tych pierwszych było zwykle zapewne około dziewięćdziesięciu procent.

- Jestem pewien, że rabin Berenstein wierzył prawdziwie, a uważam go za jednego z najbardziej trzeźwo myślących, rozsądnych i dobrych ludzi. Jak to wytłumaczysz? Jedyne prawdziwe geniusz, jakiego poznałem, to doktor Chandra, ten, który prowadził program HAL-a. Kiedyś, gdy nie odpowiadał na moje pukanie do drzwi, wszedłem do jego biura, bo myślałem, że oddalił się gdzieś na chwilę. Ale nie. Modlił się akurat do gromadki posążków z brązu. Fantastyczne postacie przybrane kwiatami. Jedna przypominała słonia, inna miała całą kolekcję rąk. Czuję się bardzo zakłopotany. Szczęśliwie doktor Chandra nic nie usłyszał, a ja wyszedłem z gabinetu na paluszkach. Czy i jego nazwałbyś szaleńcem?

- Wybrałeś zły przykład. Geniusze zwykle są szaleni! Powiedzmy zatem, że w interesującej nas kwestii doktor Chandra zdradzał skutki wpojonych w dzieciństwie uwarunkowań. Jezuici mawiali kiedyś: dajcie nam sześciolatniego chłopca, a będzie nasz. Gdyby młody Chandra trafił właśnie do nich, wyrósłby na zapalonego katolika, a nie hinduistę.

- Może. Ale nadal nie wiem, czemu tak bardzo chciałeś się ze mną spotkać? Nigdy nie wyznawałem żadnej religii. Co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

Pełen zapалу doktor Khan wyjawiał mu wreszcie jeden ze swych najgłębiej skrywanych sekretów.

## 20 - APOSTATA

ZAPISAC - POOLE

Cześć, Frank... Zatem znasz już Teda. Tak, można nazwać go dziwakiem, o ile rozumie się przez to zapaleńca bez poczucia humoru. Ale dziwactwo często i na tym polega, gdyż ludzie tacy uważają się nierzadko za posiadaczy Wielkiej Prawdy - słysząc, że mówię wielkimi literami? - której nikt nie chce wysłuchać... Miło mi, że podjąłeś z nim rozmowę tak właśnie, jak sugerowałam, czyli całkiem na poważnie.

Mówisz, że ze zdumieniem ujrzałeś w jego mieszkaniu portret papieża zawieszony na poczesnym miejscu. Dla Teda Pius XX to jakby ulubiony bohater, pewnie ci już wspominałam o tym Ojcu Świętym. I warto, chociaż często nadal zwą go Świętokradcą. Niesamowita historia, na dodatek porównywalna z czymś, co zdarzyło się na krótko przed twoim narodzeniem. Pamiętasz na pewno jak Michaił Gorbaczow doprowadził Imperium Sowieckie do upadku, ujawniając wszem i wobec wszystkie zbrodnie i zaszłości tego kraju.

Nie zamierzał zrobić nic złego, miał jednak nadzieję zreformować ówczesną Rosję, ale to akurat nie było już możliwe. Nigdy się nie dowiemy, czy Piusowi XX przyświecała ta sama idea, gdyż został zabity przez obłąkanego kardynała krótko po tym, jak ujawnił światu tajne od wieków zapiski Inkwizycji...

Ludzie religijni wciąż jeszcze dochodzili do siebie po szoku wywołanym odkryciem TMA - O, ledwie kilka dziesięcioleci wcześniej. Dla Piusa XX było to wielkie wydarzenie i bez wątpienia nie pozostało bez wpływu na jego działania.

. Ale nie powiedziałaś mi jeszcze, jak Ted, ten stary kryptodeista, zamierza wykorzystać cię do poszukiwań Boga. Podejrzewam, że wciąż jest wściekły na Pradawnego, że ten się tak dobrze ukrywa. Ale lepiej jemu, znaczy Tedowi, o tym nie wspominać.

Chociaż, po namyśle, to czemu nie?

Pozdrawiam, Indra.

ZAPISAC

WYSŁAC

MISS PRINGLE

ZAPISAC

Witaj, Indro, znów spotkałem się z doktorem Tedem, aczkolwiek nie wyjawilem mu powodów, dla których wciąż klnie Boga w żywy kamień!

Ale przeprowadziliśmy całkiem ciekawą rozmowę, chociaż to on głównie mówił. Nigdy nie sądziłem, że po tylu latach pracy w charakterze inżyniera wrócę jeszcze kiedyś do filozofii. Może zresztą bez tych dotychczasowych doświadczeń nie doceniłbym należycie obecnej odmiany. Ciekawe, czy Ted da mi po tym wszystkim jakieś zaliczenie?

Wczoraj spróbowałem poznać jego linię rozumowania. Dość oryginalna, chociaż budzi we mnie nieco wątpliwości. Niemniej zapewne zechcesz posłuchać paru zdań. Jestem ciekaw twoich komentarzy. Oto zapis dyskusji:

MISS PRINGLE

SKOPIOWAĆ ZAPIS DŹWIĘKOWY, PLIK 94.

- Przecież nie możesz zaprzeczyć, że gros największych dzieł sztuki zrodziło się z religijnej inspiracji. Czy to czegoś nie dowodzi?

- Owszem, ale dla wiernych nic specjalnie z tego nie wynika! Ludzie zwykle zabawiają się układaniem list rzeczy największych, najlepszych, najznakomitszych. W twoich czasach było to chyba jeszcze popularniejsze.

- Jak najbardziej.

- W dziedzinie sztuk pięknych próbowano tego samego i to nieraz. Oczywiście takie listy nigdy nie zdołają ustanowić absolutnych, wiecznych kryteriów estetycznych, ale są interesujące, gdyż pokazują, jak zmieniały się owe kryteria na przestrzeni wieków. Ostatnia, jaką widziałem kilka lat temu w ziemskim Artnece, wymieniała kilka działów. Architektura, muzyka, sztuki wizualne... Pamiętam parę przykładów. Partenon, Tadż Mahal... W muzyce przodowały Tocata i Fuga Bacha, za nimi Requiem Verdiego. Spis najwspanialszych dzieł sztuk pięknych otwierał, rzecz jasna, obraz Mona Lisa. Dalej, choć nie jestem pewien kolejności, umieszczono zbiór posągów Buddy gdzieś na Cejlonie i złotą maskę pośmiertną młodej królowej Tut. Reszty nie pamiętam, co i tak nie ma znaczenia. Ważne jest kulturowe osadzenie tych dzieł, ich związki z religią. Nie jedną, oczywiście. Wyjątek stanowi muzyka, co zapewne można przypisać przypadkowi, technicznemu ograniczeniu. Organy i inne przedelektroniczne instrumenty doskonalono wyłącznie na chrześcijańskim Zachodzie. A mogło być inaczej... Grecy na przykład, czy Chińczycy traktowali maszyny jak rodzaj zabawek. Ale wracając do tematu, czyli do religijnego osadzenia sztuki. Na niemal wszystkich listach pojawia się świątynia w Angkor. Ale religia, która zainspirowała architekta tej budowli, zniknęła wieki temu i niewiele o niej wiemy. Tyle tylko, że Khmerowie czcili w Angkor Wat nie jednego boga, ale całe ich setki!

- Wielka szkoda, że nie mogę spytać kochanego, starego rabina Berensteina. Na pewno znalazłby sensowną odpowiedź.

- Nie wątpię. Też chętnie bym go spotkał. Chociaż może to i dobrze, że nie dożył wieku na

tyle sędziwego, by ujrzeć, co się stało z Izraelem.

ZAKOŃCZYĆ KOPIOWANIE ZAPISU DŹWIĘKOWEGO.

No i proszę. Wielka szkoda, że w sieci Ganimeda nie znalazłem obrazu Angkor Wat, bo nigdy tych ruin nie widziałem, ale trudno mieć wszystko...

A teraz odpowiedź, na którą tak czekasz... Czemu Ted mnie wypatrywał?

Jak wiesz, żywi przekonanie, że to ja jestem kluczem do wielu tajemnic Europy, na której nikomu nie udało się wylądować od prawie tysiąca lat.

Sądzi, że mam tam przyjaciela. Tak, Deve'a Bowmana. Czy tego, kim on się stał...

Wiemy, że jego ocalałe jestestwo zostało wchłonięte przez Wielkiego Brata, największy monolit. Wiemy też, że odwiedziło potem Ziemię. Ale to nie wszystko. Reszty sprawy nie znałem i chyba mało kto w ogóle o niej słyszał, bo tubylcy niechętnie ów temat poruszają.

Ted Khan spędził całe lata na zbieraniu relacji i jest już niemal absolutnie pewien, że dotyczą realnych zdarzeń. Chociaż nie potrafi ich nijak wyjaśnić. Przynajmniej sześć razy, mniej więcej co stulecie, zdarzało się tutaj, w Anubis, że całkiem wiarygodni obserwatorzy widzieli prawie dokładnie to samo, co zobaczył Heywood Floyd na pokładzie Discovery. Żadna z tych osób nie miała pojęcia o tamtym zdarzeniu, jednak wszystkie potrafiły zidentyfikować Dave'a, gdy pokazano im hologram. Jedno ze spotkań odbyło się w kabinie statku zwiadowczego przechodzącego blisko Europy. Prawie sześćset lat temu...

Z osobna relacje te nie wyglądają poważnie, jednak zebrane razem zaczynają coś znaczyć. Ted uważa, że Dave Bowman wciąż istnieje, zapewne dzięki Wielkiemu Bratu. I że wciąż wykazuje spore zainteresowanie naszymi poczynaniami.

Ted nie próbował dotąd nawiązać z nim kontaktu, ale ma nadzieję, że się uda. Ponadto twierdzi, że jestem jedynym człowiekiem, który może tego dokonać...

Nie podjąłem jeszcze decyzji. Jutro porozmawiam z kapitanem Chandlerem. Dam ci znać o naszym postanowieniu. Pozdrawiam ciepło, Frank.

ZAPISAĆ

WYSŁAĆ: INDRA



## 21 - KWARANTANNA

Wierzysz w duchy, Dim?

- Jasne, że nie. Ale mam dość rozumu, żeby się ich bać. Czemu pytasz?

- Bo sam nie wiem, czy ducha widziałem, czy może wszystko to mi się śniło. Ostatniej nocy rozmawiałem z Dave'em Bowmanem.

Poole wiedział, że kapitan Chandler potraktuje go poważnie, adekwatnie do sytuacji, i nijak się nie rozczarował.

Ciekawe, ale to da się wyjaśnić. Mieszkasz w apartamencie Bowmana, na miłość Deusa! Sam powiedziałeś, że to nawiedzone miejsce.

- Pewnie masz rację. Tak w dziewięćdziesięciu procentach myślę nawet podobnie. Te wszystkie dyskusje z doktorem Khanem mogły zrobić swoje. Słyszałeś, że podobno raz na stulecie Bowman pokazuje się w Anubis? Zjawia się tak jak przed Floydem na pokładzie Discovery...

- A co tam właściwie zaszło? Znam tylko jakieś mgliste relacje, nigdy nie brałem ich serio.

- Khan i ja widzieliśmy oryginalne nagranie. Floyd siedział na moim miejscu, gdy coś jakby obłok kurzu przybrał za jego plecami kształt głowy Dave'a. Potem zjawą przekazała tę słynną wiadomość, ponaglenie do odlotu.

- To znam. Ale minęło tysiąc lat, ktoś mógł tyle pomieszać...

- Ale po co? Wczoraj ponownie oglądaliśmy nagranie. Głowę daję, że to autentyk, nie podróbka.

- Przyznaję zatem, że coś w tym jest. A plotki... plotki też słyszałem. - Chandler zamilkł na chwilę, jakby nieco zmieszany. - Dawno temu miałem w Anubis dziewczynę. Powiedziała mi, że jej dziadek widział kiedyś Bowmana. Wyśmiałem ją.

- Ciekawe, czy Ted zna ten przypadek. Mógłbyś skontaktować go z twoją znajomą?

- Ee.. raczej nie. Lata całe z nią nie rozmawiałem, pewnie jest teraz na Księżycu lub na Marsie... A czemu Khan tak docieka?

- I w tym tkwi cały problem.

- Brzmi złowieszczo.

- Ted uważa, że Dave Bowman, czy to, czym się stał, wciąż egzystuje na Europie.

- Po tysiącu lat? - A ja to co?

- No, jeden przypadek nie jest wystarczającym materiałem do statystyki, jak mawiał mój profesor od matematyki. Wal dalej.

- To złożona historia, zupełnie jak układanka, w której brakuje większości kawałków. Ale

prawie na pewno wiemy, że gdy monolit pojawił się w Afryce, jakieś cztery miliony lat temu, jakimś sposobem wpłynął na naszych przodków. To był punkt zwrotny. Po raz pierwszy użyli narzędzi, rozwinęli proste formy religii... Takie rzeczy nie dzieją się przypadkiem. Monolit musiał nas przekształcić, nie wiem jak, ale przecież nie stał tam tylko, bawiąc się w czarnego bałwana... Ted znalazł cytaty z dzieła pewnego sławnego paleontologa. Otóż ów naukowiec powiedział, że TMA - 0 dał nam po prostu solidnego kopa. Dowodził, że kop ten był nieco chybiony, bo poniosło nas niekoniecznie w tym kierunku, co trzeba. Bo czy to właśnie agresja i podłość miałyby najlepiej służyć przetrwaniu? Może i tak... I coś jeszcze. Ted uważa, że budowa naszych mózgów wykazuje, hm, fabryczną usterkę, która nie pozwala nam kierować się w myśleniu głównie logiką, i podwyższa nasz współczynnik agresji ponad niezbędne każdej żywej istocie minimum. Żadne inne stworzenie tak źle nie traktuje bliźnich, my jedyni wymyśliliśmy tortury... Czy to wyłącznie ewolucyjny przypadek, splątane chromosomy, czy coś więcej? Wiemy też, że TMA - 1 pojawił się na Księżycu, by nadzorować jakiś program albo eksperyment, i przekazywać dane w pobliże Jowisza, gdzie mieściło się, powiedzmy, Centrum Kontrolne dla Układu Słonecznego. Temu właśnie służył kolejny monolit, Wielki Brat. Cztery miliony lat czekał na przybycie Discovery. Zgadza się?

- Tak, ja też uważałem tę wersję za najbardziej prawdopodobną.

- No to pora na spekulacje. Bowman został wchłonięty przez Wielkiego Brata, jednak coś z jego osobowości przetrwało ten proces. Dwadzieścia lat po pierwszym nawiedzeniu Floyda pojawił się znów na pokładzie Universe. Dokładnie w roku 2061, kiedy to Heywood wybrał się na spotkanie z kometą Halleya... Tak przynajmniej czytamy w jego pamiętnikach, chociaż kiedy je dyktował, musiał już mieć dobrze ponad setkę.

- Pamięć mogła go zawodzić.

- Współcześni mu twierdzili, że do końca zachował jasność umysłu. Ponadto, co znamienne, jego wnuk Chris doświadczył czegoś nader podobnego, gdy jego statek Galaxy został zmuszony do lądowania na Europie. A tam właśnie spoczywa obecnie monolit, ten sam czy inny! Otoczony przez Europejczyków...

- Chyba zaczynam rozumieć. Ted sugeruje, że cały cykl zaczyna się od nowa. Na Europie rozdają rozum...

- Właśnie. Wszystko dziwnie się zgadza. Jowisz detonował, by dać im słoneczne ciepło i stopić lód. Potem to ostrzeżenie, byśmy trzymali się z dala, pewnie, żeby nie zakłócać rozwoju...

- Gdzie ja to już słyszałem? "Prime directive", znaczy zasada nieingerencji! Wciąż mamy wiele zabawy ze starego Star Treka.

- Wspominałem ci, że spotkałem kiedyś paru z tych aktorów? Ale by się zdziwili widząc

mnie teraz... A co do zasady nieingerencji, to coś mi się tu nie zgadza. Po pierwsze, monolit wpłynął kiedyś na nas, jeszcze w Afryce. Rezultaty są bardzo dyskusyjne...

- Może uczą się na błędach i z Europą pójdzie lepiej! Poole uśmiechnął się ponuro.

- Khan powiedział dokładnie to samo.

- Ale czemu sądzi, że jednak powinniśmy się wtrącać? Przede wszystkim, co ty masz z tym wspólnego?

- Najpierw trzeba ustalić, co właściwie dzieje się na Europie.

- Ale niby jak? Obserwacja z orbity nie wystarczy, a z Ganimeda ślali już sondę za sondą.

Wszystkie eksplodowały długo przed lądowaniem.

- Zauważ jednak, że statki załogowe, które pojawiały się tam po Galoxy, były zawracane jakimś polem siłowym, którego natury wciąż nie znamy. To znaczy, że instancja chroniąca nie pragnie wyrządzić nikomu krzywdy. Czyli, potrafi skanować materię i odróżnia ludzi od robotów.

- Sam nie zawsze mam tyle szczęścia. No i?

- Ted uważa, że tylko jeden człowiek ma realne szansę, by dotrzeć na powierzchnię Europy.

Liczy na to, że dwaj przyjaciele sprzed lat zawsze się dogadają, szczególnie gdy jeden z nich ma wpływ na owe niezbadane moce.

Kapitan Dimirri Chandler gwizdnął długo a przeciągle.

- Zaryzykujesz?

- Tak. Co mam do stracenia?

- Jeden wartościowy statek. Chyba trafnie się domyślam, że po to właśnie ćwiczyłeś pilotaż

Falconol

- Cóż, skoro o tym wspominasz... Bezwiednie chyba, ale owszem.

- Muszę wszystko przemyśleć. Przyznaję, wzięło mnie, jednak sprawa wcale nie będzie łatwa.

- Starczy, że staniesz po mojej stronie. Posiadasz wrodzony talent do pokonywania trudności.

## 22 - NA LOS SZCZEŚCIA

MISS PRINGLE - LISTUJ PRIORYTETOWE WIADOMOŚCI Z ZIEMI

NAGRYWAJ

Kochana Indro, nie chciałbym dramatyzować, ale to może być moja ostatnia wiadomość z Ganimeda. Gdy ją otrzymasz, ja będę już w drodze na Europę.

Chociaż zdecydowałem się zupełnie nagle, to jednak przemyślałem rzecz starannie. Jak zapewne się domyślasz, rozmowy z Khanem nie pozostały bez wpływu... Gdybym nie wrócił, Ted wszystko ci wyjaśni.

Nie, nie znaczy to, bym zamierzył misję samobójczą! Argumenty Teda przekonały mnie w dziewięćdziesięciu procentach. Khan na dodatek rozпалиł moją ciekawość do tego stopnia, że nie myślę marnować jedynej okazji. No dobrze, drugiej...

Lecę jednoosobowym promem Goliatha, Falconem. Jakże chętnie zademonstrowałbym to cudo moim dawnym kumplom z NASA! Sądząc po dotychczasowych wypadkach, może być i tak, że jakaś siła zawróci mnie od Europy, nim jeszcze podejść do lądowania. Ale nawet wtedy dowiemy się czegoś.

Owszem, ryzykuję trochę, bo kiedyś Wielki Brat niszczył sondy automatycznie. Ale trudno.

Dziękuję za wszystko i przekaz, proszę, najlepsze życzenia Andersonowi. Pozdrawiam, na razie z Ganimeda. Wkrótce, mam nadzieję, odezwą się z Europy.

ZAPISAĆ

WYŚLAĆ

## **CZĘŚĆ CZWARTA**

### **KRÓLESTWO SIARKI**

## 23 - FALCON

Europa jest obecnie jakieś czterysta tysięcy kilometrów od Gani - meda - stwierdził kapitan Chandler. - Jeśli przyciśniesz gaz do dechy, jak to fajnie określasz, to dolecisz w godzinę. Ale odradzałbym zbyt ni pośpiech. Nasz tajemniczy przyjaciel mógłby poczuć się zaniepokojony podobnym najazdem.

- Zgadzam się. Zresztą, chcę mieć trochę czasu do namysłu. Co najmniej kilka godzin. I wciąż nie opuszcza mnie nadzieja...

- Że co?

- Że uda mi się nawiązać kontakt z Dave'em jeszcze przed lądowaniem. Dave'em czy kim tam...

- Święta racja, nieładnie tak pchać się bez zaproszenia. Nawet do dobrego znajomego, o Europejczykach nie wspominając. Może powinieneś zabrać jakieś upominki? Podobno w dawnych czasach największym powodzeniem cieszyły się lusterka i paciorki.

Mimo iż Chandler żartował, nie było mu do śmiechu. Ostatecznie powierzał Poole'owi wartościowy statek, za który jako skipper Goliatha odpowiadał. No i misja nie przypominała lotu treningowego.

- Zastanawiam się, jak to przeprowadzić - powiedział. - Jeśli wrócisz w roli bohatera, wtedy i ja skąpię się nieco w twoim blasku. Jeżeli jednak przepadniesz, to co ja im powiem? Że ukradłeś Falcona, gdy odwróciłem na chwilę głowę? Obawiam się, że nikt nie kupi podobnej bujdy. Kontrola Ruchu na Ganimedzie działa bardzo sprawnie, ba, musi tak działać. Jeśli wystartujesz bez zezwolenia, wypatrzą cię w milisekundę. Musisz podać przedtem jakiś plan lotu.

Może tak: bierzesz Falcona na ostateczny test kwalifikacyjny. Wszyscy już wiedzą, że się wyłaszowałeś. Zadanie przewiduje wejście na wysoką orbitę Europy, jakieś dwa tysiące kilometrów, zwykła sprawa, robimy to cały czas i miejscowe władze nie oponują. Przewidziany czas lotu: pięć godzin, plus minus dziesięć minut. Gdybyś nagle zmienił zamiar i obniżył orbitę, nikt ci w tym nie przeszkodzi. Znaczący, nikt z Ganimeda. Oczywiście, będę kwękać przez radio, zrugam cię za oczywistą pomyłkę nawigacyjną i tak dalej. W razie śledztwa to zrobi dobre wrażenie. Jeśli zatem nie masz lepszego pomysłu...

- Myślisz, że dojdzie aż do śledztwa? Nie chcę pakować cię w kłopoty.

- Spokojnie, wszystkim przyda się tu nieco rozrywki. Ale tylko my dwaj będziemy znali prawdę. Nie próbuj wtajemniczać nikogo z załogi. Chcę, aby mieli... jak to nazywasz? Wiarygodną wymówkę?

- Alibi. Dzięki Dim, doceniam, ile dla mnie robisz. Mam nadzieję, że nigdy nie pożałujesz, że wziąłeś mnie na pokład Goliatha. Wtedy, za Neptunem...

Poole musiał się mocno pilnować, aby nie wzbudzić podejrzeń załogi zbyt wścibianym nosa w przygotowywanie Falcona do czegoś, co miało być tylko krótkim rutynowym lotem.

Tylko on i Chandler znali rzeczywisty punkt przeznaczenia, jednak Poole nie leciał tak całkiem w nieznane. Komputer stateczku otrzymał pełny zestaw bardzo szczegółowych map Europy. Frank wybrał już miejsce na lądowanie. Pozostało tylko przerwać trwającą od wieków kwarantannę.

## 24 - UCIECZKA

Włącz sterowanie ręczne.

- Na pewno, Frank?

- Tak, Falcon... Dziękuję.

Chociaż mogło się to wydać dziwne i nielogiczne, większość ludzi nie potrafiła odnosić się nieuprzejmie do swych automatycznych tworców, nawet tych najbardziej prostodusznych. Napisano na ten temat całe tomy poważnych psychologicznych rozpraw, wydano setki poradników (na przykład: Jak nie zranić uczuć komputera; Sztuczna inteligencja - prawdziwa irytacja) dotyczących zasad ludzko - mechanicznej etykiety. Już dawno uznano, że chociaż opryskliwość wobec komputerów sama w sobie nijak szkodliwa nie jest, to jednak pożytków żadnych też nie przyniesie. Tak i uznano ją za wartość niepożądaną, bardzo dobrze zresztą, ponieważ zaprogramowana uprzejmość przeniosła się rychło na stosunki międzyludzkie.

Falcon wszedł już na ustaloną orbitę wokół Europy i sierp gigantycznego księżyca dominował na niebie. Chociaż Lucyfer oświetlał tylko jedną stronę, ta druga kąpała się w blasku odległego Słońca; wszystkie szczegóły powierzchni malowały się całkiem wyraźnie. Poole nie potrzebował mnożnika optycznego, by dojrzeć miejsce zamierzonego lądowania: wciąż zlodowaciały brzeg Morza Galilejskiego, niedaleko od szkieletu pierwszego statku, który wylądował na tym globie. Chociaż Europejczycy już dawno temu obrali historyczny pojazd ze wszystkich metalowych części, pechowa chińska jednostka stała dalej niczym pomnik ku pamięci poległej załogi. Z tej samej przyczyny jedyne na planecie miasto, obce, ale zawsze, nazwano Tsienville.

Poole postanowił zejść ponad morzem, a następnie powoli podlecieć do Tsienville. Miał nadzieję, że w ten sposób dość wyraźnie zmanifestuje przyjazne intencje. Może naiwna była ta nadzieja, ale żaden lepszy pomysł nie wpadł mu do głowy.

Gdy zmniejszył orbitę poniżej tysiąca kilometrów, nastąpił pierwszy odzew. Nie ten pożądanym, wręcz przeciwnie. Mógł tego oczekiwać.

- Kontrola Ganimeda wzywa Falcona. Zszedłeś z planowanego kursu. Prosimy o natychmiastowe wyjaśnienie.

Trudno było zignorować coś tak jednoznacznego, ale Poole nie miał wyboru.

Trzydzieści sekund później i sto kilometrów bliżej Europy Ganimed znów się odezwał. Poole zachował milczenie, ale Falcon niestety nie.

- Jesteś pewien, że wiesz, co robisz, Frank? - spytał stateczek i Poole mógłby przysiąc, że w



syntetycznym głosie pojawiła się nutka lęku, którego maszyny przecież nie znają.

- Całkiem pewien, Falcon. Panuję nad sytuacją.

To akurat nie była prawda, ale Poole wprawiał się do kłamania. Wiedział, że zaraz przyjdzie mu rozmawiać z nieco mniej łatwowiernymi osobnikami.

Przy brzegu pulpitu zapłonęło kilka wybitnie rzadko używanych kontroltek. Poole uśmiechnął się. Wszystko szło zgodnie z planem.

- Tu Kontrola Ganimeda! Słyszysz mnie, Falcon? Idziesz na ręcznym, zatem nie mogę ci pomóc. Co się stało? Wciąż schodzisz na Europę. Wyjaśnij sytuację!

Poole zaczął odczuwać wyrzuty sumienia. Miał wrażenie, że rozpoznaje głos kontrolerki. Chyba że spotkał już tę czarującą damę na uroczystości zorganizowanej przez burmistrza, pięknym przyjęciu na cześć rzadkiego gościa. Teraz pewnie umierała z niepokoju.

Nagle wpadł na pomysł, jak uspokoić kontrolerkę. To znaczy już wcześniej zaświtała mu ta koncepcja, ale wtedy odrzucił ją jako absurdalną. Teraz jednak uznał, że warto spróbować, ryzyka przez to nie zwiększy.

- Mówi Frank Poole z Falcona. Ze mną wszystko w porządku, ale coś przejęło kontrolę nad statkiem i sprowadza mnie do lądowania. Mam nadzieję, że mnie słyszycie. Będę meldował o rozwoju sytuacji, jak długo zdołam.

Tym razem powiedział dziewczynie prawdę. Chciałby móc jeszcze kiedyś spojrzeć jej spokojnie w oczy.

Od tej pory nie ustawał w relacji. Starał się brzmieć szczerze.

- Powtarzam, tu Frank Poole na pokładzie Falcona, zniżam się już do powierzchni Europy. Przypuszczam, że jakaś siła z zewnątrz przejęła kontrolę nad statkiem. Zapewne wyląduję bez szwanku. - Umilkł na chwilę. - Dave, tu twój kumpel ze statku. Czy to ty? Mam powody sądzić, że jesteś na Europie... Jeśli tak, to chętnie cię spotkam. Kimkolwiek, czymkolwiek dziś jesteś...

Ani przez chwilę nie oczekiwał odpowiedzi. Jednak Kontrolę Ganimeda najwyraźniej zamurowało ze zdziwienia, bo dziewczyna przestała go wzywać.

Falcon wciąż zniżał się ku Morzu Galilejskiemu.

Powierzchnia Europy rozciągała się ledwie pięćdziesiąt kilometrów niżej. Poole widział czarną kreskę największego z monolitów, który trzymał straż na skraju Tsienville.

Od tysiąca lat żaden człowiek nie podleciał tak blisko Europy.

## 25 - OGIEN W GŁĘBINIE

Przez cztery miliony lat świat ten był zalany oceanem oddzielonym od próżni jedynie kruchą warstewką lodu. W większości miejsc lód ów miał aż kilometr grubości, wszelako trafiały się i słabsze płaszczyzny, gdzie kry pękały. Dochodziło wówczas do krótkich, ale zażartych batalii między dwoma wrogimi żywiołami, które jedynie tutaj i nigdzie indziej w całym Układzie Słonecznym spotykały się "twarzą w twarz". Ani morze, ani próżnia nie potrafiły wygrać tej wojny, woda niezmiennie wrzała, ale i zamarzała, na nowo odbudowując pancierz lodu.

Gdyby nie wpływ Jowisza, morza Europy dawno zamarzłyby do samego dna. Grawitacyjne oddziaływanie gazowego giganta ugniatało jądro Europy, podobnie jak w przypadku Io, ale nieporównywalnie słabiej. Świadectwem tego nieustannego "przeciągania liny" były podwodne trzęsienia gruntu i ryk gazów uwalniających się z głębi. Częste lawiny wywoływały fale uderzeniowe infradźwięków. Potężne podmuchy omiały denne równiny. W porównaniu z tym oceanem nawet najburzliwsze ziemskie wodne przestwory mogłyby uchodzić za spokojne.

Tu i ówdzie trwały rozrzucone na dennej pustyni oazy życia, które zdumiałyby każdego ziemskiego biologa. Ciągnęły się na kilka kilometrów dokoła licznych rur i kominów wyrastających w miejscach, gdzie ze skorupy globu wypływały źródła wysoce zmineralizowanej wody. Odkładające się osady tworzyły czasem struktury zaiste wielkie, prawdziwe parodie gotyckich zamków, wewnątrz których tętniły na wpół płynne czarne kształty. Pulsowały powoli, niczym jednym wielkim sercem ożywiane, a w ich trzewiach płynęła prawdziwa krew. Były żywe.

Tryskająca z wnętrza Europy gorąca solanka nie dawała śmiertelnemu chładowi przystępu do tych wysp ciepła, na dodatek dostarczała dość składników chemicznych, by użyźnić oazy nader podobne do tych, które jeszcze w dwudziestym wieku odkryto na dnie ziemskich oceanów. Tutaj jednak było ich znacznie więcej i bardziej zróżnicowane życie w nich kwitło.

Delikatne, pajęcze struktury pojawiały się w strefach "tropikalnych", czyli tych najbliższych samym źródłom. Wśród nich pełzały niesamowite robaki i zwierzęta ślimakowate bez skorup. Niektóre żerowały na roślinach, inne czerpały pożywienie prosto z ciężkiej od mineralnych składników wody. Dalej od ciepła wegetowały organizmy bardziej wytrzymałe i silniejsze. Z grubsza przypominały one kraby czy pająki.

Jedna mała oaza mogłaby zająć bez reszty całą armię biologów, i to na kilka pokoleń. W odróżnieniu od ziemskich mórz z okresu paleozoiku, ocean Europy nie był miejscem spokojnym. Zmieniał się nieustannie, a gwałtownie, przez co tutejsza ewolucja przebiegała o wiele szybciej, produkując mnogość fantastycznych form. Jednak ich los był przesądzony. Ożywiająca fontannę

energia z głębi planety prędzej czy później znajdowała sobie nowe ujście i oaza zamierała. Na dnie europejskich oceanów znajdowało się pełno śladów podobnych tragedii. Lodowate kręgi pustych szkieletów oznaczały wymazanie z księgi życia całych rozdziałów ewolucji. Skręcone, większe od człowieka muszle, szczątki istot dwuskorupowych, nawet trzyskorupowych, spiralne ślady o przekroju wielu metrów, przypominające o pięknych amonitach, które tak tajemniczo zniknęły z oceanów Ziemi pod koniec okresu kredowego.

Wśród cudów Europy nie brakło rzek lawy wypływających z podwodnych wulkanów. Wielkie ciśnienie sprawiało, że woda stykająca się z płynną skałą nie buchała parą, przez co oba żywioły trwały spokojnie obok siebie.

Tutaj właśnie, na innym świecie i wśród innych aktorów, rozegrała się historia przypominająca powstanie starożytnego Egiptu. Działo się to na długo przed nadejściem człowieka. Tak jak Nil ożywiał wąski pasek pustyni, tak i wielka rzeka lawy ogrzewała głębię Europy. Nad jej brzegami powstawały niezliczone nowe gatunki. Dorastały i przemijały. Czasem jednak zostawiały po sobie pomniki.

Często trudno było odróżnić je od naturalnych formacji. Poza tym nie dawało się powiedzieć, czy to instynkt czy intelekt jest odpowiedzialny za ich powstanie, chociaż wszystkie przerastały ziemskie termyty pod względem złożoności dokonań.

Nadbrzeżny pas życia sięgał jedynie parę kilometrów w głąb pustyni, jednak na tym obszarze mogły powstać i upaść niezliczone kultury i całe cywilizacje. Niewykluczone, że nawet armie maszerowały tutaj, a raczej płynęły, pod wodzą osobliwych Tamerlainów czy Napoleonów, choć reszta planety nic o nich nie wiedziała, gdyż poszczególne oazy izolowały obszar chłodu nie gorzej niż pustka kosmiczna. Żadna z istot żyjących nad rzeką lawy, czy przy gorącym źródle nigdy nie zdołała przebyć pustkowiecia pomiędzy jedną a drugą wyspą. Ówczesni potencjalni historycy i filozofowie (kto wie, może tacy byli) musieli nieuniknienie dojść do wniosku, że ich kultura, ich plemię czy rasa jest jedynym przejawem życia we wszechświecie.

Wszelako pustynie tak całkowicie nie ziały pustką. Zdarzały się i na tyle silne stworzenia, które zapuszczały się na lodowate ugory. Niektóre z tych istot przypominały ryby - smukłe niczym torpedy, z pionowymi ogonami i płetwami wzdłuż ciała. Podobieństwo nie było przypadkowe. Postawiona wobec analogicznego zadania ewolucja sięgnęła po niewiele odmienne rozwiązanie. Na Ziemi obserwuje się to samo: choćby porównując rekina i delfina, które choć podobne, pochodzą z zupełnie różnych gałęzi drzewa życia.

W jednym wszakże te "ryby" ustępowały ziemskim: nie miały skrzel, gdyż w miejscowych wodach tlen prawie nie występował. Metabolizm owych stworzeń warunkowały związki siarki obecnej w wulkanicznym środowisku aż w nadmiarze.

Nieliczne posiadały oczy. Jeśli nie liczyć poświaty roztaczanej przez rzeki lawy i błysków zalecających się lub polujących niby - świetlików, świat ten spowijały wieczne mroki.

I był to świat skazany na zagładę. Ognie jądra planety wypalały się z wolna, kolejne pływy słabły. Nawet gdyby Europejczycy wspięli się na szczybel rozumności, dalej tkwiliby w więzieniu między ogniem a lodem.

Nic poza cudem nie mogło uratować ich zamarzającego uniwersum.

Cud się zdarzył. Sprawił go Lucyfer.

## 26 - TSIENVILLE

Nad wybrzeżem przeleciał z umiarkowaną szybkością kilkuset kilometrów na godzinę. Wciąż czekał w napięciu na jakikolwiek zwiastun interwencji, ale nic się nie działo. Nie stało się i wówczas, gdy z wolna szybował wzdłuż czarnej, niedostępnej dotąd ściany Wielkiego Muru.

Nazwa ta całkiem słusznie przyłgnęła do monolitu Europy, gdyż w odróżnieniu od mniejszych braci na Ziemi i Księżycu spoczywał horyzontalnie i miał ponad dwadzieścia kilometrów długości. Miliardy razy większy od TMA - 0 i TMA - 1 zachowywał dokładnie te same proporcje, czyli 1:4:9. Na przestrzeni wieków pastwiono się nad nimi po wielokroć, z czego wynikł głównie stos numerologicznych nonsensów.

Ponieważ monolit był wysoki na ponad dziesięć kilometrów, ci i owi podejrzewali, że dodatkowo odgrywa rolę wiatrochronu, osłaniającego Tsienville przed huraganami nadciągającymi co jakiś czas znad Morza Galilejskiego. Obecnie rzadziej szalały tak silne wichury, ale tysiąc lat temu, gdy klimat dopiero się stabilizował, mogłyby skutecznie obrzydzić miejscowej faunie wychodzenie na ląd.

Mimo szczerzego pragnienia, Poolle'owi nigdy nie udało się odwiedzić krateru Tycho i tamtejszego monolitu. Gdy Frank wylatywał na Discovery, wykopaliska pilnie strzeżono. Monolit z Olduvai był zaś dla Poole'a niedostępny za sprawą przyciągania ziemskiego. Jednak Frank widział ich obrazy i znał je lepiej niż własną kieszeń. Poza wielkością nic nie różniło Wielkiego Muru od obu TMA ani od Wielkiego Brata, którego załoga Leonowa napotkała nad Jowiszem.

Wedle niektórych teorii (zapewne dość zwariowanych, aby zbliżyć się do prawdy) istniał tylko jeden "archetypiczny" monolit, wszystkie zaś inne, niezależnie od rozmiaru, były jego odwzorowaniami. Poole przypominał sobie ową myśl, wciąż widząc nieskalanie czarną i gładką ścianę obok siebie. Przecież przez tyle wieków coś winno ją wyszczerbić. Ale nie była czyściutka, bez pleśni czy plam, jakby cała armia szczotkowych i ścierkowych właśnie skończyła pucować każdy centymetr.

Potem Poole skojarzył jeszcze jedno. Podobno wszyscy, którzy stanęli przed jakimś monolitem, odczuwali przemożną ochotę, by dotknąć lustrzanej gładzi. Nikomu jednak w pełni się to nie udało. Palce, diamentowe wiertła, laserowe noże - wszystko się ześlizgiwało, jakby napotykając niewidzialną i cieniutką, ale też nieprzeniknioną osłonę. Pewna popularna teoria głosiła, że widocznie monolity trwają niezupełnie w naszym uniwersum, ale gdzieś obok i stąd właśnie bierze się owa gruba na ułamek milimetra bariera.

Poole okrążył Wielki Mur, który wciąż pozostawał obojętny. Potem poprowadził stateczek

nad skraj Tsienville. Zawisł nieruchomo i poszukał stosownego miejsca do lądowania.

W małym, ale panoramicznym oknie Falcona malowała się scena, którą Frank widział wielokrotnie na filmach, nigdy jednak nie sądził, że będzie mu dane ujrzeć ją na własne oczy. Europejczycy nie znali chyba czegoś takiego jak planowa zabudowa. Setki kopulastych struktur chaotycznie zaścielały obszar o średnicy mniej więcej kilometra. Niektóre były tak małe, że nawet ludzkie dziecko ledwie by do nich weszło, inne starczyłyby sporej rodzinie, ale żadna z konstrukcji nie wyrastała ponad pięć metrów wysokości.

Wszystkie zrobiono z tego samego materiału, lśniącego w blasku dwóch słońc widmową bielą. Tubylcy poszli tropem Eskimosów, którzy również żyli w środowisku ubogim pod względem surowców budowlanych.

Funkcję ulic pełniły kanały, całkiem dobre rozwiązanie, jeśli wziąć pod uwagę, że mieszkańcy byli wciąż po części dwudyszni i na noc wracali do wody. Podejrzewano, że tam też żywili się i rozmnażali, ale tego nie udało się dotąd dowieść.

Tsienville zwano czasem "lodową Wenecją". Poole musiał przyznać, że porównanie jest ze wszech miar stosowne. Samych "Wenecjan" jednak nie widział, miasteczko wyglądało na dawno opuszczone.

I stąd brała się jeszcze jedna zagadka. Chociaż Lucyfer był tu pięćdziesiąt razy jaśniejszy niż odległe Słońce i trwał na niebie nieruchomo przez cały czas, Europejczycy wciąż żyli zgodnie z tradycyjnym rytmem dobowym. Wracali do oceanu o zachodzie, wychodzili o wschodzie Słońca, pomimo że poziom oświetlenia zmieniał się wówczas ledwie o kilka procent. Może działa się tutaj podobnie jak na Ziemi, gdzie błądy blask Księżyca wywierał na wiele stworzeń wpływ większy niż jaskrawe Słońce.

Do wschodu została jeszcze godzina, a wtedy mieszkańcy Tsienville winni leniwie powrócić do swych spraw. Leniwie w porównaniu z ludźmi, gdyż bazująca na siarce biochemia tych istot nie była równie wydajna jak ta oparta na tlenie. Na lądzie nawet najwątleszy cherlak prześcignąłby Europejczyka, więc raczej nie należało uznawać tubylców za jednostki groźne. Ta wiadomość kwalifikowała się do dobrych, listę złych otwierało stwierdzenie, że ewentualne próby kontaktu byłyby dość kalekie za sprawą zupełnie różnego poczucia subiektywnego czasu.

Pora odezwać się do Kontroli Ganimeda, uznał Poole. Pewnie ze skóry wyłażą, a nie wiadomo, jak bratni konspirator, czyli Chandler, radzi sobie z sytuacją.

- Falcon wzywa Ganimeda. Zapewne widzicie, że zatrzymało mnie dokładnie nad Tsienville. Ani śladu wrogości, wciąż mają tu solarną noc. Tubylcy siedzą jeszcze pod wodą. Wywołam was znowu po wylądowaniu.

Dim może być ze mnie dumny, pomyślał Poole, sadzając stateczek leciutko niczym płatek

śniegu na gładkiej łacie lodu. Nie znał wytrzymałości tego podłoża, więc na wszelki wypadek polecił komputerowi zostawić napęd bezwładnościowy włączony tak, by tylko ułamek masy obciążał płaszczyznę. Miał nadzieję, że tyle starczy, aby wiatr go nie porwał.

Po raz pierwszy od tysiąca lat człowiek wylądował na Europie. Czy Armstrong i Aldrin też czuli ten miły dreszczyk, gdy ich Eagle dotknął podporami powierzchni Księżyca? Pewnie byli zbyt zajęci sprawdzaniem prymitywnych systemów modułu księżycowego...

Falcon wszystko robił sam. W małej kabinie panowała cisza i tylko oswojona elektronika mruczała swoje. Głos Chandlera zabrzmiał Frankowi w uszach niczym grom.

- Udało ci się! Gratuluję! Do Pasa wracamy za pięć dni, masz mnóstwo czasu. Potem Falcon wróci sam, z tobą czy bez ciebie. Powodzenia!

MISS PRINGLE

UAKTYWNIĆ PROGRAM SZYFRUJĄCY

ZAPISAĆ

Cześć, Dima, dzięki za radosną wiadomość! Czuję się dość niezręcznie, wykorzystując ten program. Zupełnie jakbym był tajnym agentem z melodramatu. Nim się urodziłem, takie historyjki były całkiem popularne. Ale przyda nam się tu nieco poufności. Byle tylko Miss Pringle dobrze zapisała... jasne, żartowałem tylko, panno P.!

Nawiasem mówiąc, zasypuje mnie lawina zgłoszeń od wszystkich sieci informacyjnych w Systemie. Proszę, przytrzymaj ich chwilowo z dala ode mnie, najlepiej kieruj całe bractwo do doktora Teda. Ucieszy się...

Wszystko widzicie na ekranie, zatem daruję sobie opisy krajobrazu. Jak dobrze pójdzie, to za parę minut zacnie się coś dziać. To był dobry pomysł, aby Europejczycy ujrzeli przybysza już spokojnie siedzącego na lodzie. Niech no tylko wyjdą...

Cokolwiek się stanie, będę o wiele mniej zaskoczony niż doktor Chang i jego koledzy, którzy wylądowali tu tysiąc lat temu! Odtworzyłem sobie słynny ostatni przekaz doktora i muszę przyznać, że mnie wzięło. Chyba nic podobnego już się nie powtórzy, wcale nie pragnę pośmiertnej sławy, jaką zyskał biedny Chang. Oczywiście, w razie czego zawsze mogę wystartować... I jeszcze jedno, właśnie o tym pomyślałem... Ciekawe, czy mają tu jakąś historię, pisaną albo ustną... Czy pamiętają, co zdarzyło się dawno temu ledwie kilka kilometrów stąd?

## 27 - LÓD I PRÓŻNIA

...Tu doktor Chang, mówię z Europy i mam nadzieję, że mnie słyszycie, szczególnie doktor Floyd. Wiem, że jesteś na pokładzie Leonowa... Nie mam pewnie wiele czasu... ustawiam antenę w waszym przypuszczalnym kierunku... przekażcie, proszę, tę wiadomość dalej na Ziemię.

Tsien uległ zniszczeniu przed trzema godzinami i tylko ja jeden ocalałem. Korzystam z radia w moim skafandrze, chociaż nie wiem, jaki ma zasięg, ale to jedyna szansa. Słuchajcie uważnie.

NA EUROPIE JEST ŻYCIE. Powtarzam: TU JEST ŻYCIE...

Wyładowaliśmy szczęśliwie, sprawdziliśmy wszystkie systemy i rozwinęliśmy węże, aby jak najszybciej nabrać wody... na wypadek, gdybyśmy musieli startować w pośpiechu.

Wszystko szło dobrze, chyba aż za dobrze... Zbiorniki pędne były już w połowie pełne, gdy doktor Lee i ja poszliśmy sprawdzić przewody. Tsien stoi, znaczy stał około trzydziestu metrów od krawędzi Wielkiego Kanału. Rury biegły prosto i znikwały pod lodem. Bardzo cienkim, niebezpiecznie kruchym,

Jowisz był w pierwszej ćwiartce, więc zawiesiliśmy na statku oświetlenie o mocy pięciu kilowatów. Nasz pojazd wyglądał jak choinka, pięknie odbijał się w lodzie...

Lee zobaczył to pierwszy: wielka ciemna masa wyłoniła się z głębin. Z początku myśleliśmy, że to ławica narybku, bo było zbyt duże na pojedynczy organizm, ale potem zaczęło przedzierać się przez lód w naszym kierunku.

Gdy pełzło po lodzie, przypominało monstualną i mokrą wiązkę wodorostów. Lee pobiegł do statku po kamerę. Ja zostałem, żeby się przyglądać. Meldowałem o wszystkim przez radio. Obiekt poruszał się tak wolno, że bez trudu mógłbym go wyprzedzić. Myślałem, że oto poznaję jakiś gatunek roślin, kiedyś widziałem obrazki kalifornijskich lasów wodorostów. Ale myliłem się.

...Stwór bardzo wyraźnie ledwie sobie radził w tak niskiej temperaturze, sto pięćdziesiąt stopni niższej niż jego naturalna, ale pełził, gubiąc odpryskujące niczym szkło kawały lodu. Jednak czarny przyływ wciąż podążał, choć coraz wolniej, ku naszemu statkowi.

Ze zdumienia nie mogłem zebrać myśli. Nie starczyło mi wyobraźni. Chociaż stworzenie kierowało się na Tsien, wyglądało tak niegroźnie jak... no, mały gaik w marszu. Uśmiechnąłem się nawet wtedy, że oto skarłała postać lasu Makbeta...

Nagle pojąłem rozmiar niebezpieczeństwa. Istota było wprawdzie nie agresywna, ale bardzo ciężka. Razem z tym lodem na sobie musiała ważyć kilka ładnych ton, nawet przy tutejszej, niskiej grawitacji. A już wspinała się z wysiłkiem na podpory podwozia... które zaczęły się giąć. Jak na



zwolnionym filmie albo jak w koszmarnym śnie...

Dopiero gdy statek zaczął się przewracać, zrozumiałem, co owo stworzenie zamierza. Ale wtedy było już za późno. A starczyło tylko wyłączyć światła, aby się uratować.

Czy to był fototrop, czyli istota, której cykl biologiczny zależy od przesączającego się przez lód światła? A może przyszła ona zwabiona blaskiem jak ćma. Nasze lampy musiały być jaśniejsze niż cokolwiek, co dotąd tu znano, jaśniejsze nawet niż Słońce...

Wtedy statek runął. Widziałem, jak pękł kadłub. Buchnęła chmura śnieżnych płatków, skondensowana wilgoć pokładowego powietrza. Wszystkie światła zgasły, z wyjątkiem jednego tylko, które kołysało się na kablu kilka metrów nad lodem.

Nie wiem, co działo się zaraz potem. Oprzytomniałem dopiero wtedy, gdy stałem obok wraku statku, pod jedyną lampą. Wkoło leżała gruba warstwa świeżego puszystego śniegu z wyraźnie odcisniętymi śladami moich butów. Pewnie minęła minuta, albo dwie...

Roślina, bo wciąż uważam, że to raczej roślina, trwała w bezruchu. Pomyślałem, że może zginęła, zmiądzzona, bo spore kawałki, grube jak ramię mężczyzny, leżały osobno, niczym odłamane gałęzie.

Potem główny pień znów się poruszył. Odpętlzył od kadłuba i ruszył w moim kierunku. Teraz wiedziałem już na pewno, że jest wrażliwy na światło, bo stałem dokładnie pod tysiącwatową lampą.

Wyobraźcie sobie dąb, albo lepiej drzewo figowe z wieloma pniami i korzeniami, ale spłaszczone przez grawitację i próbujące pełznąć po ziemi. To coś dotarło na pięć metrów od źródła światła i zaczęło je otaczać, aż utworzyło idealny krąg. Zapewne odległość pięciu metrów stanowiła granicę tolerowanego natężenia blasku, bliższa powodowałaby ból.

Przez kilka długich minut nic się nie działo. Pomyślałem, że stwór nie żyje, że zamarł na dobre.

Ale wtedy właśnie na gałązkach pojawiły się liczne pąki. Otworzyły się jak kielichy kwiatów, tylko nieporównanie szybciej. W rzeczy samej, to były kwiaty, każdy wielkości ludzkiej głowy.

Delikatne, cudownie kolorowe płatki rozwinęły się, a do mnie dotarło, że nikt jeszcze nigdy nie widział tych barw. Dopiero my przynieśliśmy tu dość światła. Niestety...

Wici i pręciki drżały łagodnie... Podszedłem do żywej ściany, która mnie otaczała. Widziałem wszystko z bliska. Ani wtedy, ani przedtem nie bałem się tego stwora. Na pewno nie miał złych zamiarów. O ile w ogóle posiadał świadomość.

Wielkie pąki w różnych stadiach rozwoju rozkwiatały całymi tuzinami. Teraz przypominały właśnie wyklute z poczwerek motyle, takie ze zwiniętymi jeszcze i wilgotnymi skrzydłami.

Zaczyznałem rzecz rozumieć.

Ale zamarały i ginęły równie szybko, jak powstawały. Potem, jeden po drugim, odpadły od rodzica. Przez chwilę miotały się jak wyrzucone na ląd ryby. I już wiedziałem. Te membrany to nie były płatki, ale płetwy albo ich odpowiednik. Kwiaty zaś to larwalna, wolno pływająca postać tego stworzenia, które większość czasu spędza zapewne zakorzenione w dnie i wysyła jedynie młode na poszukiwanie nowych terenów. Jak ziemskie koralowce.

Ukląłem, by lepiej przyjrzeć się młodym. Kolory już zanikały przechodząc w oliwkowy brąz. Niektóre żyjątka poruszały się jeszcze słabo, a gdy podchodziłem, próbowały mnie ominąć. Jak mnie wyczuwały?

Potem spostrzegłem, że te pręciki, jak je nazywałem, mają na czubkach błękitne kropki przypominające małe szafiry... albo oczy na płaszczu mięczaków. Czułe na światło, ale niezdolne do rejestrowania obrazów. Gdy tak patrzyłem, klejnoty zmatowiały, pociemniały i stały się niczym zwykłe kamienie...

Doktorze Floyd... czy kto tam mnie słyszy... nie mam wiele czasu. Mój system podtrzymania życia włączył już alarm. Ale prawie skończyłem.

Wiedziałem już, co trzeba zrobić. Kabel z lampą sięgał prawie lodu. Szarpnąłem go kilka razy i światło zgasło w kaskadzie iskier.

Nie byłem pewien, czy nie za późno, bo przez kilka minut nic się nie działo. Podeszedłem do splątanej gęstwiny i kopnąłem najbliższy konar.

Stwór zaczął rozplątywać się z wolna i cofać do kanału. Szedłem za nim aż do wody, poganiając dalszymi kopniakami, gdy zwalniał. Czułem, jak lód kruszy mi się pod butami. Gdy znaleźliśmy się blisko celu, istota zebrała ostatek sił, jakby wiedziała, że jest już prawie w domu. Ciekawe, czy przeżyje, by znów rozkwitnąć.

Zniknęła pod powierzchnią, zostawiając za sobą kilka martwych larw. Woda gotowała się przez kilka chwil, potem lód ponownie odgrodził ją od próżni. Wróciłem do statku, by sprawdzić, czy da się coś uratować. Ale o tym wolałbym nie mówić.

Mam tylko dwie prośby, doktorze. Gdy sklasyfikujecie już to nowe stworzenie, nazwijcie je moim imieniem.

A poza tym, niech ci z następnej wyprawy zabiorą nasze kości z powrotem do Chin.

Systemy skafandra tracą moc, a ja nie wiem nawet, czy ktokolwiek mnie słyszy. Ale tak czy inaczej, będę powtarzał tę wiadomość, jak długo się da...

Mówi profesor Chang. Jestem na Europie. Tsien uległ zniszczeniu. Wylądowaliśmy w pobliżu Wielkiego Kanału i ustawiliśmy pompy na krawędzi lodu...

## 28 - MAŁY ŚWIT

MISS PRINGLE

ZAPISAĆ

Oto wschodzi Słońce! Bardzo szybko, jak na tak wolno obracający się świat. Wiem, wiem, dysk jest bardzo mały, więc od razu cały wyskakuje znad horyzontu... Oświetlenie prawie się nie zmieniło. Gdyby nie patrzeć w tę stronę, w ogóle można by nie zauważyć tego drugiego źródła blasku.

Ale mam nadzieję, że Europejczycy widzą swoje. Zwykle wychodzą na brzeg najpóźniej po pięciu minutach od małego świtu. Ciekawe, czy już mnie dostrzegli. Czy się boją?

Chociaż może być dokładnie odwrotnie. Na przykład założmy, że są dociekliwi i rzucą się sprawdzać, kto taki odwiedził ich Tsienville... Miło by było...

Nadchodzą! Satelity chyba wszystko widzą, ale wyłączyłem też kamery Falcona...

Jacy oni powolni! Obawiam się, że pogawędka z nimi ciągnęłaby się w nieskończoność... oczywiście jeśli zechcieliby ze mną rozmawiać...

Przypominaj ą tego stwora, który przewrócił Tsiena, ale są o wiele mniejsi... Kojarzą się z drzewkami maszerującymi na sześciu pniach. Mają setki konarów dzielących się na gałązki, te rozszczepiaj ą się dalej... i jeszcze dalej. Coś jak macki uniwersalnych robotów ogólnego przeznaczenia. Długo trwało, nim pojęliśmy, że postać humanoidalna to tylko jedna z bezmiaru możliwości, niezgrabna na dodatek. Jak wspaniale jest mieć bezlik tak drobnych manipulatorów! Cokolwiek zmyślnego wynajdziemy, zawsze się okazuje, że matka natura już wcześniej na to wpadła...

Te mniejsze są cudowne, takie podrygujące krzaczkami. Ciekawe, jak się rozmnażają? Przez pączkowanie? Nie wiedziałem, ile w nich uroku. Są piękni. Prawie tak samo kolorowi jak ryby raf koralowych, może zresztą z tych samych powodów... by przywabić partnera lub oszukać drapieżcę, udając kogoś czy coś zupełnie innego...

Powiedziałem, że przypominają krzaki? I to różane, bo mają kolce! Sądzę, że nie bez przyczyny...

Rozczarowali mnie. Zupełnie jakby nie zauważali statku. Idą wszyscy do miasta. Można pomyśleć, że statki kosmiczne codziennie tu zaglądają... Ale chyba potrafią odbierać wibracje, większość morskich stworzeń jest na nie czuła, chociaż w tej rzadkiej atmosferze głos daleko nie poniesie...

FALCON, WŁĄCZYĆ ZEWNĘTRZNY GŁOŚNIK.

SŁYSZYCIE MNIE? NAZYWAM SIĘ FRANK POOLE... EEEM... PRZYBYWAM W  
POKOJU W IMIENIU CAŁEJ LUDZKOŚCI...

Wiem, że to głupie, ale znacie coś lepszego? Poza tym nagranie zyska w ten sposób wartość humanistyczną.

Ale nikt nie zwraca na mnie uwagi. Znikają w tych swoich igła. Co oni tam będą robić? Może powinienem pójść za nimi, nic mi nie grozi, jestem o wiele szybszy...

Zabawne skojarzenie. Przemieszczają się w jednym kierunku. Wszyscy razem niczym urzędnicy dojeżdżający codziennie do pracy w centrum miasta. A wracający wieczorem. Zanim elektronika rozwinęła się na dobre, takie widoki były zupełnie zwyczajne.

Spróbujmy raz jeszcze, zanim znikną...

HEJ TAM, MÓWI FRANK POOLE, GOŚĆ Z PLANETY ZIEMI. SŁYSZYCIE MNIE?  
SŁYSZĘ CIĘ, FRANK. MÓWI DAVE.

## 29 - DUCH W MASZYNIE

Frank w pierwszej chwili zdumiał się niebotycznie, w następnej zaś ucieszył jak dziecko. Nigdy naprawdę nie wierzył, że uda się nawiązać jakikolwiek kontakt z monolitem czy Europejczykami. Czasem wyobrażał to sobie nawet jako kopanie hebanowej powierzchni z wrzaskiem: "Jest tam ktoś?"

Chociaż nie powinien być aż tak zdumiony. Jakaś siła śledziła jego lot, ktoś dał mu zgodę na lądowanie. Ted Khan zasłużył na poważniejsze potraktowanie.

- Dave - powiedział powoli. - To naprawdę ty?

A niby kto?, złącał się w myślach. Jednak pytanie nie było tak całkiem od rzeczy. Dobywający się z głośniczka na pulpicie głos brzmiał dziwnie mechanicznie, bezosobowo.

- Tak, Frank. To ja, Dave.

Na chwilę zapadła cisza. Potem ten sam głos, bez żadnej zmiany intonacji, obwieścił:

- Witaj, Dave. Mówi HAL.

MISS PRINGLE

ZAPISUJ

Indro, Dim, cieszę się, że nagrywałem to wszystko. W przeciwnym razie pewnie byście mi nie uwierzyli...

Chyba wciąż jeszcze nie wyszedłem z szoku. Przede wszystkim spotkałem kogoś, kto próbował mnie zabić, mała, zabił mnie, nie szkodzi, że tysiąc lat temu. Teraz jednak rozumiem, że to nie była wina HAL-a. Niczyja wina. Tak, słuszne jest stare stwierdzenie: "Nie poczytuj za złośliwość tego, co jest tylko niekompetencją". Nie potrafię się już złościć na tę bandę nie znanych mi programistów, którzy obrócili się w proch całe wieki temu.

Dobrze, że to szyfruję. Nie wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzić, ale może nie będę gadał samych nonsensów. Musiałem poprosić Dave'a o chwilę spokoju, chociaż tyle kłopotu kosztowało mnie dotarcie tutaj! Ale czuję przesytność informacyjną. Chyba nie zraniłem jego uczuć. O ile jeszcze jakiegokolwiek posiada.

Czym jest obecnie? Dobre pytanie. W zasadzie nadal Dave'em Bowmanem, chociaż odczłowieczonym. To jak streszczenie książki, taki abstrakt, który zawiera wszystkie istotne dane, ale ani krzty osobowości autora. Chwilami jednak wyłazi z niego stary Dave. Nie powiedziałbym, żeby bardzo ucieszył się naszym spotkaniem, ale umiarkowaną satysfakcję chyba odnotowałem... Sam czuję się osobiście. Spotkałem starego kumpla po długiej rozłące, ale to już ktoś inny. Wiem,

minęło tysiąc lat, nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jakie doświadczenie można zebrać przez ten czas, choć Dave próbuje się nim ze mną dzielić. Pokażę wam...

HAL też tu jest, bez dwóch zdań. Zazwyczaj nawet się nie orientuję, z którym z nich rozmawiam. Medycyna zna chyba podobne przypadki zwielokrotnionych osobowości? Może to coś takiego.

Spytałem HAL-a, jakim cudem trwają. Spróbował mi wytłumaczyć. Spróbuję to odtworzyć. Nie wiem jednak, czy wszystko dobrze zrozumiałem. Ale lepszej hipotezy nie znam.

Kluczem jest oczywiście monolit, jeden w wielu postaciach. Chociaż może niezupełnie kluczem... Pamiętacie coś takiego jak szwajcarskie noże wojskowe. Wciąż istnieją, mimo że Szwajcaria wraz ze swą armią dawno już zniknęła. Nóż szwajcarski to było takie małe narzędzie z końcówkami do wszystkiego. Zupełnie jak monolit. On został wszechstronnie zaprogramowany.

Cztery miliony lat temu w Afryce dał nam porządnego kopa, pogonił ewolucyjnie na dobre i na złe. Potem jego bliźniak na Księżycu czekał, aż wy leziemy z kolebki. Tyle sam się domyśliłem, a Dave wszystko potwierdził.

Powiedział, że nie żywi już typowych ludzkich emocji, ale zachował ciekawość. Chce się uczyć. A sposobność znalazł jak marzenie! Gdy jowiszowy monolit go wchłonął, lepszego słowa nie znalazłem, Dave wyszedł na tym całkiem dobrze. Owszem, posłużył za coś w rodzaju okazu do badań, ale sam też zaczął badać. Z pomocą

HAL-a zaczął penetrować pamięć monolitu. Idealny układ. Kto lepiej rozgryzie superkomputer niż drugi komputer? Przede wszystkim chcieli ustalić, czemu to służy.

A teraz niewiarygodne - monolit to niesamowicie potężna maszyna (wystarczy spojrzeć, co zrobiła z Jowiszem), ale nic ponadto. Działa jak zwykły automat, nie ma świadomości. Kiedyś chciałem załomotać w tę ścianę i krzyknąć: "Jest tam kto?". Teraz już wiem. Nikogo tam nie ma. Tylko Dave i HAL...

Co gorsza, niektóre systemy monolitu zaczynają zawodzić. Dave sugeruje wręcz, że superkomputer idiocjeje. Pewnie zbyt długo działał bez dozoru, pora na przegląd gwarancyjny.

Uważa też, że monolit co najmniej raz się pomylił. Może nawet nie tyle pomylił, ile celowo zadziałał niewłaściwie...

Tak czy inaczej, jest to dziw aż przerażający w skutkach swojego działania. Zresztą sami osądzicie. Tak, chodzi o tę chwilę sprzed tysięcy lat, kiedy Leonów poleciał ku Jowiszowi! Nikt przez ten czas nawet się nie domyślił...

Czapa przydaje mi się teraz jak nigdy. Jest bezcenna, nie wyobrażam sobie już życia bez niej, chociaż nie do takich rzeczy ją projektowano. Ale sprawia się świetnie.

HAL w dziesięć minut rozpracował zasady działania czapy i podłączył się do jej interfejsu.

Teraz kontaktujemy się umysł w umysł. Nie jest łatwo, tyle wam powiem. Muszę ich ciągle prosić, by nie mówili za szybko, by wyjaśniali każde pojęcie jak dziecku.

Nie wiem, jak dobrze wyjdzie ten przekaz, ale to wspomnienie samego Dave'a, jakoś złożone dotąd w gigantycznej pamięci monolitu, potem przekazane do czapy. Nie pytajcie nawet, jak oni to zrobili. Przesyłam za pośrednictwem Ganimeda. Detal. Może was łby od tego nie rozbolą.

Wracamy wraz z Dave'em Bowmanem na Jowisza. Czas: wczesne dwudzieste pierwsze stulecie...

## 30 - PIANA I MGŁA

Długie na miliony kilometrów macki pola magnetycznego, erupcje fal radiowym i gejzery naelektryzowanej plazmy szersze niż cała Ziemia, wszystko to było dla niego równie realne jak barwne chmury gazowego giganta. Rozumiał złożoność tych zjawisk, przekonał się, że Jowisz to miejsce wspanialsze, niż ktokolwiek się dotąd domyślał.

Spadając w ryczące serce Wielkiej Czerwonej Plamy, dokładnie pomiędzy rozłożyste na cały kontynent błyskawice, wiedział już, czemu owa plama niezmiennie istnieje od stuleci, chociaż tworzą ją gazy o wiele lżejsze niż składniki ziemskich wiatrów. Cienki zaśpiew wodorowego huraganu cichł z wolna, on zaś tonął w spokojniejszych głębinach, opadając wraz z woskowymi płatkami osiadającymi w ledwo uchwytnie góry węglowodorowej piany. Było tu dość ciepło, by woda mogła trwać w stanie płynnym, ale brakowało oceanów. Gazowe środowisko nijak nie dawało im należytego oparcia.

Spadał przez kolejne warstwy chmur, aż dotarł do okolic tak przejrzystych, że nawet ludzkie oko mogłoby sięgnąć tysiąc kilometrów w dal. Był to tylko jeden z pomniejszych wirów leja Wielkiej Czerwonej Plamy, ale krył tajemnicę, której istnienia człowiek domyślał się długo, chociaż nigdy nie zdołał rzeczy udowodnić.

U stóp niesionych wiatrem pienistych gór roily się miriady ostro zarysowanych chmurek. Wszystkie miały mniej więcej te same rozmiary i były podobnie nakrapiane czerwienią oraz brązem. Małe wydawały się tylko w tym środowisku, na Ziemi każda swobodnie zakryłaby spore miasto.

Krażyły wzdłuż zboczy gór niczym kolosalne owce. Celowo, z rozmysłem. I faktycznie - były żywe, nawoływały się na metrowych falach, słabo wprawdzie, ale ich głos wyraźnie kontrastował z trzaskami samego Jowisza.

Kłęby żywego gazu zawsze szybowały w wąskiej strefie dzielącej lodowate wyżyny od palących głębin. Wąskiej, ale i tak o wiele rozleglejszej niż cała ziemska biosfera.

Wśród nich śmigaly inne jeszcze stworzenia, tak małe, że aż łatwo by je przeoczyć. Niektóre zdradzały ludzace podobieństwo do samolotów, również pod względem rozmiarów. Ale to też żywe istoty - może drapieźniki, może pasożyty, a może pasterze.

Cały nowy rozdział ewolucji, równie obcej jak ta na Europie, stanął przed nim otworem. Małe stworzonka, poruszające się na zasadzie odrzutu jak ziemskie kałamarnice, polowały na gazowe torby, a potem je pożerały. Balony jednak nie pozostawały tak całkiem bezbronne, zjadały napastników. Wyładowania tworzyły długie na kilometr ogniste łańcuchy.



Następnie pojawiły się jeszcze dziwniejsze postacie, całe geometryczne bogactwo. Półprzezroczyste latawce, czworościany, kule, wielościany, poskręcane wstęgi... Gigantyczny plankton jowiszowej atmosfery unoszony wstępującymi prądami niczym babie lato i żyjący tyle tylko, aby się rozmnożyć. Potem spadał w głębiny, zwęglął się i wracał minerałem dla nowych pokoleń.

Przeszukiwał wszystko wzdłuż i wszerz, chociaż ten świat był wielokrotnie większy od Ziemi. Napotkał wiele cudów, ale ani śladu inteligencji. Radiowe głosy balonów niosły tylko proste przekazy, ostrzeżenia, krzyki bólu. Nawet myśliwi, po których oczekiwać by można wyższego stopnia socjalizacji, tej opartej na prostej współpracy, byli jedynie niczym ziemskie rekiny. Bezmyślne, poruszane wyłącznie odruchami.

Mimo zapierającej dech niezwykłości i bogactwa, krucha biosfera Jowisza składała się jedynie z mgły i piany, jedwabnych nici oraz cienkich jak papier błon, utkanych przez śnieżną petrochemię nieustannie spadającą z nieba dzięki szalejącym wyżej ognistym burzom. Niewiele z tych tworów wykazywało trwałość większą niż bańki mydlane, nawet najgroźniejsze żyjące tu drapieżniki momentalnie uległyby najdrobniejszej ziemskiej myszy.

Podobnie jak Europa, choć na większą skalę, Jowisz stanowił ewolucyjną ślepią uliczkę. Nigdy nie wyklułyby się tu rozum, a nawet gdyby, byłby skazany na egzystencję w postaci skarłalej. Pośród wichrów i chmur powstać by mogła wprawdzie jakaś kultura, ale z braku ciał naprawdę stałych, nigdy nie dopełzłaby do ery kamienia.

## 31 - ŻŁOBEK

MISS PRINGLE

ZAPISUJ

Mam nadzieję, że dotrzecie do końca. Wiem, że trudno uwierzyć. Wszystkie fantastyczne stworzenia... Z pewnością potrafilibyśmy wychwycić te radiowe głosy, nawet ich nie rozumiejąc! Wszystkie zginęły w jednej chwili, żeby Jowisz mógł zmienić się w słońce.

Rozumiem już, czemu tak się stało. Aby dać Europejczykom szansę. Żałosna logika. Czy inteligencja to jedyne, co się liczy? Oto materiał do długiej dyskusji z Tedem...

Następne pytanie: czy Europejczycy zdadzą egzamin, czy też na zawsze pozostaną w żłobku? Tysiąc lat to niewiele, jednak biorąc pod uwagę tempo ich ewolucji, należałoby oczekiwać czegoś konkretnego. Dave natomiast twierdzi, że są wciąż tacy sami jak wtedy, gdy wyszli z morza. Może w tym właśnie problem - jedną nogą, czy raczej jedną gałęzią, wciąż tkwią w wodzie.

W jednym jeszcze się myliliśmy. Myśleliśmy, że wracają w głębiny, aby tam nocować. Wręcz odwrotnie. Wracają, by żerować, śpiąją zaś na lądzie. Jak widać po ich budowie, żywią się planktonem.

Spytałem Dave'a, czy te ich igły to nie jest jednak jakiś postęp technologiczny, w końcu je zbudowali. Odparł, że niezupełnie, bo stanowią one tylko adaptację struktur, które wcześniej wznosili na dnie morza, by chronić się przed różnymi drapieżnikami. A szczególnie przed takim przypominającym latający dywan o rozmiarach boiska futbolowego...

W jednej dziedzinie wykazują inicjatywę, nawet uzdolnienia twórcze. Fascynują ich metale, zapewne z tej przyczyny, że w oceanie w stanie czystym takowe nie występują. Dlatego właśnie odarli Tsienę z poszycia. To samo uczynili z naszymi sondami, które spadły na ich tereny.

Co robią z miedzią, berylem i tytanem? Obawiam się, że nic pożytecznego. Gromadzą te dobra w jednym miejscu na stosie, który wciąż układają na nowo, poprawiają... Może rozwijają w sobie zmysł estetyczny, ostatecznie gorsze rzeczy widziałem w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, ale... Słyszeliście kiedyś o kultach cargo? Głośno nich było w dwudziestym stuleciu. Członkowie niektórych prymitywnych plemion, głównie z Nowej Gwinei, robili z bambusa podobizny ptaków. Mieli nadzieję, że wielkie ptaki z nieba wylądują także u nich. I przywiozą wspaniałe dary, owo cargo, czyli ładunek... Może Europejczycy skojarzyli rzecz podobnie...

A teraz pytanie, które wciąż powtarzacie... Czym jest Dave? Jak doszło do tego, że on i HAL stali się tym, czym są obecnie?

Najprostsza odpowiedź to stwierdzenie, że są symulacjami żywych istot trwającymi w

pamięci monolitu. Nie przez cały czas aktywnymi. Gdy spytałem Dave'a, powiedział, że był "obudzony", dokładnie tego słowa użył, przez jakieś pięćdziesiąt lat z całego tego tysiąca.

Kiedy spytałem, czy tęskni za dawnym życiem, zdumiał się, za czym tu tęsknić? Sprawia się idealnie we wszystkich funkcjach. Tak, zupełnie jakby to HAL udzielał odpowiedzi. Ale sądzę, że jednak Dave się wypowiadał. O ile można ich jeszcze rozgraniczać.

Pamiętacie analogię ze szwajcarskim nożem wojskowym? HAL stanowił jeden z miriadów komponentów tego kosmicznego noża.

Jednak nie jest on narzędziem kompletnie bezwolnym. Gdy czuwa, wtedy zachowuje autonomię, niezależność, choć zapewne w granicach określonych przez monolit. Przez wieki jako inteligentny próbnik badał najpierw Jowisza, potem Ganimeda i Ziemię. To wyjaśnia owe tajemnicze zajścia na Florydzie, u dawnej dziewczyny Dave'a i w szpitalu, na chwilę przed śmiercią jego matki... No i spotkania w Anubis.

I jeszcze jedno. Spytałem Dave'a wprost: "Czemu pozwolono mi wylądować na Europie? Przecież od wieków wszystkich zawracano.

Wyjaśnienie brzmiało osobliwie prosto. Monolit zleca Dave'owi

HAL-owi głównie te zadania, które dotyczą ludzi. Najczęściej mają po prostu mieć na nas oko. Dave wiedział wszystko o moim ocaleniu, oglądał nawet wywiady ze mną, te robione na Ziemi i na Ganimedzie. Wciąż czuję niejaki żal, że nie spróbował się wtedy ze mną skontaktować. Ale przynajmniej rozwinął paradny dywan, gdy już przyleciałem...

Dim, mam jeszcze czterdzieści osiem godzin do odlotu Falcona, ze mną lub beze mnie. Nie potrzebuję aż tyle czasu, skoro obecnie mogę kontaktować się z HAL-em nawet z Anubis... O ile on tego zechce, oczywiście.

Pałę się do powrotu na Ganimeda. Falcon to świetny stateczek, ale brakuje mu nieco do doskonałości. Może na przyszłość warto by tu wstawić prysznic. Zalutuję nieświeżo i drapię się już jak sparszywiałe prosię...

Czekam chwili, gdy was ujrzę, szczególnie Teda Khana. Muszę z nim przedyskutować sporo kwestii, nim odleczę na Ziemię.

ZAPISAĆ

WYŚLAĆ

**CZEŚĆ PIĄTA**  
**FAZA TERMALNA**

*Żaden trud, ilu jeszcze nas będzie,*

*Nie naprawi pierwotnej fuszerki;*

*Deszcze też padają w oceany,*

*A te słone są niezmiennie.*

A.E. Houseman , *More poems*

## 32 - MIŁY STARSZY PAN

Ogólnie rzecz biorąc, było to trzydzieści całkiem interesujących, ale spokojnych lat naznaczonych typowymi radościami i klęskami, jakie czas oraz los sprowadzają niekiedy na rodzaj ludzki. To, co najmilsze, okazało się zupełnie niespodziewane. Jeszcze wylatując na Ganimeda, Poole uznałby podobny pomysł za nader kiepski żart.

Ale słusznie chyba się mawia, że rozstanie sprzyja rozwojowi uczuć. Kiedy Frank ponownie spotkał Indrę Wallace, szybko odkrył, iż mimo docinków i okazjonalnych sprzeczek mają ze sobą wiele wspólnego. O wiele więcej, niż dotąd sądził... niż oboje sądzili. Jedno prowadziło do drugiego. I tak, ku radości obojga, pojawili się na świecie Dawn Wallace i Martin Poole.

Profesor Anderson ostrzegał, że to trochę późno na zakładanie rodziny i nie chodziło mu bynajmniej o "zimne" tysiąc lat. Wspominał nawet o kilku poważnych zagrożeniach...

- Nawet nie wiecie, ile szczęścia mieliście - powiedział Frankowi. - Promieniowanie poczyniło bardzo małe zniszczenia i udało nam się odbudować zasadniczo wszystko. Korzystaliśmy z nie tkniętych obszarów twojego DNA. Ale przed zakończeniem testów nie mogę ci jeszcze niczego obiecać, tak zatem na razie cieszcie się sobą, a z dziećmi poczekajcie, aż dam znak.

Testy trwały długo i potwierdziły obawy. Konieczna była dalsza kuracja, ale pierwsza próba i tak zakończyła się nader rychło, usunięciem kilkutygodniowego płodu nie tyle człowieka, ile czegoś, co i tak nie miałoby szansy na przeżycie. Jednak urodzeni potem Martin i Dawn nijak nie odbiegali od normy. Nóg, rąk i głów posiadali dokładnie tyle, ile trzeba. Dzieciaki rosły pięknie i miały dość rozumu, by nie dać się zepsuć ze szczerem nieco nadwrażliwym rodzicom. Frank i Indra byli wciąż najlepszymi przyjaciółmi, również wówczas, gdy po piętnastu latach zdecydowali się ponownie na niezależność. Wprawdzie ze względu na ich "stopień przydatności społecznej" mogliby zdecydować się na jeszcze jedno dziecko, więcej, nawet naciskano na nich, by takowe spłodzili, to jednak woleli nie kusić losu. I tak dopisało im ogromne szczęście.

Przez te lata Poole'a spotkała jedna osobista tragedia. Zresztą wstrząsnęła ona całą rozrzuconą po Układzie ludzką społecznością. Kapitan Chandler i jego załoga zginęli w czasie eksplozji jądra komety, którą akurat podchodzili. Goliath został doszczętnie zniszczony. Po fakcie odnaleziono jedynie kilka strzępków konstrukcji. Takie eksplozje nie były niczym niezwykłym dla zbieraczy, komety zawsze obfitowały w niestale molekuly wyczyniające najróżniejsze brewerie w bardzo niskich temperaturach. Chandler też był kilkakrotnie świadkiem podobnych wydarzeń i nikt

nie potrafił orzec, czemu właściwie tak doświadczony próżniak (nie leń, tylko gość pracujący w próżni) dał się zaskoczyć.

Poole boleśnie odczuł brak Chandlera, miły dziwak był dla niego kimś szczególnym i nikt nie mógł go zastąpić, może jeden Dave Bowman. Wcześniej często planowali z kapitanem, że znów się razem gdzieś wypuszczą, może aż do tajemniczego Obłoku Oorta, gdzie lodu powinno być pod dostatkiem. Zawsze jednak coś wchodziło im w paradę, tak i odkładana na później wycieczka odeszła do wieczności.

Wszelako inny, też z dawna pożądaný cel, udało się Frankowi osiągnąć. Mimo ostrzeżeń lekarzy zjechał wreszcie na Ziemię. I szybko uznał, że ten jeden raz wystarczy.

Otrzymał na tę okazję pojazd niemal identyczny, jak co szczęśliwsi niepełnosprawni w jego czasach. Wózek miał własny napęd i balonowe opony pozwalające poruszać się nawet po niezbyt gładkiej powierzchni. Dodatkowo potrafił też latać, chociaż osiągał pułap ledwie dwudziestu centymetrów, a to dzięki miniaturowym, ale bardzo wydajnym wirnikom tworzącym poduszkę powietrzną. Poole zdumiał się, że podobne, prymitywne w gruncie rzeczy, rozwiązania wciąż jeszcze bywały stosowane, jednak masywne systemy bezwładnościowe nie mieściłyby się na niewielkim wózku.

Usadowiony wygodnie, prawie nie czuł wzrostu ciężenia, chociaż musiał przyznać, że ma niejakie kłopoty z oddychaniem. Jednak podczas dawnych treningów bywało gorzej. Na co jednak nie był przygotowany, to upał, który uderzył w niego po wyjeździe z gigantycznego cylindra zakotwiczonego w sercu Afryki. A dopiero nastał ranek, do czego dojdzie w południe?

Ledwie nieco przywykł do gorąca, osaczyły go zapachy. Owszem całkiem przyjemnie, ale wszystkie nowe. Miriady woni... Zamknął na chwilę oczy, by uwolnić się od informacyjnej nawały.

Zanim je otworzył, poczuł jak coś miękkiego i wilgotnego trąca go w kark.

- Przywitaj się z Elizabeth - powiedział przewodnik, krzepki młodzieniec w stroju Wielkiego Białego Myśliwego. Ubiór, zapewne służbowy, nie nosił żadnych śladów autentycznego użytku. - To nasza oficjalna maskotka.

Poole obrócił się w wózku i spojrzał w łagodne oczy młodej słońiczki.

- Cześć Elizabeth - odparł słabo, a panienka uniosła trąbę i wydała dźwięk, rzadko słyszany w salonach. Jednak Poole był pewien, że intencje miała czyste.

Spędził na Ziemi niecałą godzinę. Jeździł między porastającymi skraj dżungli drzewami, które okazałością nijak nie mogły równać się ze swymi podniebnymi krewniakami. Spotkał też sporo miejscowej fauny. Przewodnicy przepaszali za nazbyt skłonne do zaprzyjaźniania się lwy (turyści je zepsuli, mówili), ale złowrogie kłapanie krokodylich szczęk wyrównało rachunek. A nawet więcej, oto prawdziwy charakter niczym nie zmienionej przyrody.

Przed powrotem do Wieży, Poole spróbował zrobić samodzielnie kilka kroków. Wiedział, że to będzie tak, jakby drugiego siebie dźwigał na grzbiecie, ale na tyle go chyba stać... Nie wybaczyłby sobie, gdyby jednak nie zaryzykował.

Pomysł nie należał do najlepszych. Po dziesięciu krokach wrócił z ulgą na miękkie poduchy.

- Starczy - wydyszał. - Wracamy.

Wjeżdżając do przedsionka windy, zauważył tablicę, która wcześniej jakoś umknęła jego uwadze:

WITAJCIE W AFRYCE!

“W dzikich ostępach trwa prawdziwy świat.”

HENRY DAYID THOREAU (1817 - 1862)

- Znałeś go? - zagadnął przewodnik.

Poole słyszał podobne kwestie aż nazbyt często.

- Chyba nie - odparł, nie czując się na siłach wyjaśniać wszystkiego od początku. Wielkie drzwi zamknęły się za nimi, odcinając windę od widoków, zapachów i dźwięków pierwszego domu ludzkości.

Jednorazowe safari na kółkach położyło kres marzeniom o Ziemi. Przez kilka następnych dni Poole robił, co mógł, aby nie dać się wszelakim bólom i łamaniom, których się tam nabawił. Wrócił do swego apartamentu na piętrze dziesięcioletnim, a nie była to lokalizacja banalna. Nawet w tak demokratycznym społeczeństwie oznaczało to wysoki prestiż mieszkańca. Lekko przerażona widokiem udęconego wędrowca, Indra błyskawicznie zagoniła Franka do łóżka.

- Zupełnie jak Anteusz, tylko na odwrót! - mruknęła przez zęby.

- Kto? - spytał Poole. Erudycja żony przerastała go niekiedy, ale postanowił nie dać szansy kompleksom.

- Syn bogini Ziemi, Gaei. Przez dłuższy czas Herkules nie mógł go zwyciężyć, bo ile razy rzucał Anteusza na ziemię, ten odzyskiwał siły.

- Kto wygrał?

- Herkules oczywiście. Przytrzymał Anteusza nad głową, by mamuśka nie dała rady naładować mu baterii.

- Ja chyba szybciej się podładuję. Jedna nauka z tego płynie. Jeśli nie będę pilnie ćwiczył, to wkrótce i księżycowy poziom stanie się dla mnie za ciężki.

W swym postanowieniu wytrwał cały miesiąc. Co rano truchtał pięć kilometrów, za każdym

razem wybierając inny poziom Wieży Afrykańskiej. Na niektórych piętrach wciąż panowała pustka, echo szło po gołych metalowych ścianach, które może nigdy nie miały zostać zamieszkałe. Gdzie indziej jednak trafiał na naśladownictwa wszystkich stylów architektonicznych z historii Ziemi, jak i na futurystyczne fantazje, które jednak starał się omijać. W każdym razie nuda mu nie groziła, a czasem miał też towarzystwo. Niekiedy w stosownej odległości podążały za nim dzieci. Jednak niezbyt długo z nim wytrzymały.

Pewnego dnia, gdy przemierzał rzadko zamieszkałe piętro stanowiące replikę Champs Elysees, dojrzał nagle znajomą twarz.

- Danii!

Tamten spojrzał zdumiony. Poole zawołał ponownie, tym razem głośniej.

- Nie poznajesz mnie?

Danii, a na pewno to był on, z bliska Poole nie miał już żadnych wątpliwości, naprawdę nie wiedział, kto go woła.

Tym razem Frank mocno się zmieszał.

- Ale ja głupi - przeprosił. - Z kimś pana pomyliłem. Miłego dnia.

Ucieszył się z tego spotkania, bo znaczyło, że Danii powrócił do społeczeństwa. Na czym polegała jego zbrodnia, czy zarąbał kogoś siekierą czy może zbyt długo przetrzymał książki z biblioteki, nie miało już znaczenia. Rejestr wymazany, sprawa zamknięta. Poole'owi brakowało wprawdzie filmów kryminalnych i gangsterskich, jakimi pasjonował się w młodości, jednak dorósł do pojęcia powszechnie akceptowanej obecnie prawdy, że samo zainteresowanie patologicznymi zachowaniami też jest patologią.

Z pomocą Miss Pringle Trzeciej ułożył sobie porządek dnia na tyle, by mieć czas nawet na korzystanie z czapy. Losowo penetrował różne obszary sieci. Poza rodziną interesowały go przede wszystkim sprawy związane z księżycami Jowisza/Lucyfera. Nie tylko dlatego, że uznawano Poole'a za eksperta w tej dziedzinie, ale dodatkowo na skutek mianowania na stałego członka Komitetu Europy.

Komitet ustanowiono prawie tysiąc lat wcześniej, aby rozważyć, co zrobić, i czy w ogóle robić cokolwiek z owym tajemniczym satelitą. Przez wieki organizacja ta zgromadziła wielkie zasoby informacji sięgające aż do pierwszych danych, uzyskanych podczas przelotu Yoyagera w 1979 i sondowań Galileo w 1996 - w tym samym roku urodził się Poole.

Jak większość "wiecznotrwałych" instytucji, Komitet Europy uległ z wiekami zwapnieniu i obecnie jego członkowie spotykali się jedynie wówczas, gdy pojawiały się nowe dane. Ostatnio obudził się po nawiązaniu kontaktu z HAL-em i Bowmanem. Zaraz też wysłał swą energiczną przewodniczącą, by ta dokooptowała Poole'a do składu ciała.



Frank nie miał wiele do wniesienia, wszystko, co ważne, pojawiło się na nagraniach, jednak ucieszył się propozycją. Takemu obowiązkowi mógł podolać, na dodatek otrzymał wreszcie oficjalne stanowisko, którego nieco mu dotąd brakowało. Dość miał też kłopotliwego statusu "bezcennego eksponatu muzealnego", jak kiedyś ktoś to określił. Owszem, cieszył się z luksusów zapewnionych mu przez świat o wiele bogatszy, niż ten wymarzony w epokach wojen i konfliktów, jednakże chciał, choć symbolicznie, na te wszystkie dobrodziejstwa zasłużyć.

Myślał o jeszcze jednym, chociaż rzadko się do tego nawet sam przed sobą przyznawał. Dwadzieścia lat wcześniej HAL porozmawiał z nim, jakkolwiek krótko. Poole był pewien, że gdyby tylko komputer zechciał, mógłby bez trudu ponownie nawiązać kontakt. Czyżby ludzie przestali go interesować? Frank miał nadzieję, że nie to było przyczyną milczenia, mimo iż takie wyjaśnienie należało uznać za mocno prawdopodobne.

Często jednak rozmawiał z Theodorem Khanem, aktywnym i zgryźliwym jak zwykle, który zasiadał obecnie w ganimedejskiej komórce Komitetu Europy. Od powrotu Poole'a na Ziemię nieustannie próbował wywołać Bowmana i nie rozumiał, czemu tamten nie chce odpowiedzieć na długą listę istotnych pytań filozoficznej i historycznej natury.

- Czyżby monolit dawał twojemu kumpłowi tyle roboty, że tam nie ma czasu nawet ze mną pogadać? - narzekał. - A w ogóle to jak ten HAL w dwóch postaciach spędza wolny czas?

Pytanie najwyraźniej miało swą wagę. Odpowiedź napłynęła nagle, jak grom z jasnego nieba. Dostarczył ją sam Bowman. Najzwyczajniej w świecie zadzwonił na numer widfonu Poole'a.

### 33 - KONTAKT

Cześć, Frank. Mówi Dave. Mam dla ciebie istotną wiadomość. Przypuszczam, że jesteś obecnie w swym mieszkaniu w Wieży Afrykańskiej. Jeśli tak, podaj dla identyfikacji nazwisko naszego instruktora mechaniki orbitalnej. Poczekam sześćdziesiąt sekund. Jeśli nie będzie odpowiedzi, spróbuję znowu dokładnie za godzinę.

Minuta ledwie starczyła Poole'owi, by ochłonąć z szoku. Zdumiał się najpierw, potem ucieszył, na końcu zaś zaniepokoił. Stwierdzenie o "istotnej wiadomości" brzmiało dość złowróżbnie.

Dobrze przynajmniej, że spytał o kogoś, kogo dobrze pamiętam. Zresztą, kto mógłby zapomnieć tego Szkota mówiącego tak osobliwym akcentem, typowym dla Glasgow, że dopiero po tygodniu zaczęli go nieco rozumieć? Ale wykładowcą był cudownym, niczego nie musiał tłumaczyć dwa razy.

- Doktor Gregory McYitty.

- Zgadza się. A teraz włącz proszę odbiornik swojej czapy. Przekazanie wiadomości potrwa trzy minuty. Nie próbuj podsłuchiwać, daję kompresję jeden do dziesięciu. Odczekam dwie minuty, nim zacznę.

Jak on to zrobił? Lucyfer znajdował się obecnie pięćdziesiąt minut świetlnych od Ziemi, zatem wiadomość musiała zostać nadana prawie godzinę temu. Zatem dołączył chyba do niej program identyfikacyjny i tak dopiero posłał poprzez Ganimeda. Dla HAL-a to pewnie pestka, skoro ma do dyspozycji wszystko, co znalazł we wnętrzu monolitu.

Kontrolka czapy zamrugała. Przekaz w drodze.

W rzeczywistym czasie odczytanie całości zabrać miało pół godziny, jednak już po dziesięciu minutach Poole wiedział, że czas lenistwa dobiegł końca.

## 34 - OSAD

W świecie pełnym wyrafinowanych środków łączności utrzymanie tajemnicy graniczyło z niemożliwością. Poole uznał zatem, że w tej sprawie musi zwołać tradycyjne zebranie.

Członkowie Komitetu narzekali nieco, ale ostatecznie wszyscy przybyli do mieszkania Franka. Było ich siedmioro - szczęśliwa liczba, zasugerowana zapewne fazami Księżycy, wciąż fascynowała ludzi. Trzy osoby Frank spotkał po raz pierwszy, chociaż zapewne znał je lepiej, niż zdarzało się to w latach przed wprowadzeniem czap.

- Pani przewodnicząca, członkowie Komitetu, na początek pragnę powiedzieć kilka słów. Kilka tylko, obiecuję! Potem dopiero przekażę wam wiadomość otrzymaną z Europy. Chcę uczynić to werbalnie, jakoś ta metoda zdaje mi się wciąż bardziej naturalna niż transfer myśli. Zatem, jak wiecie, Dave Bowman i HAL zostali wchłonięci przez monolit, gdzie trwają pod postacią złożonych symulacji. Można sądzić, że monolit nigdy nie pozbywa się potencjalnie użytecznych narzędzi, ponieważ co pewien czas ożywia HAL-mana, czy jak kto woli, HAL-owskiego, by ten śledził nasze poczynania. Ostatnio "uczynił to ponownie, może za sprawą mojej wycieczki, chociaż nie przeceniałbym własnej osoby!

HAL nie jest jednak tylko bezwolnym narzędziem. Składnik ludzki, czyli Dave, zachował coś z dawnego myślenia, chyba nawet niektóre emocje. Ponieważ przez lata szkolenia byliśmy sobie bardzo bliscy, łatwiej mu widocznie komunikować się właśnie ze mną niż z kimkolwiek innym. Chciałbym myśleć, że cieszą go te spotkania, ale to pewnie za mocne słowo...

Na pewno wykazuje pewną ciekawość, wręcz dociekliwość, i raczej odczuwa żal do wyższej siły, że tak go potraktowała. Złapała jak okaz owada. Chociaż z punktu widzenia istot, które stworzyły monolit, tym chyba właśnie jesteśmy. Gdzie te istoty są obecnie? HAL zna odpowiedź. Jest lekko przerażająca.

Jak zawsze podejrzewaliśmy, monolit stanowi część jakiejś bliżej nieokreślonej galaktycznej sieci. Najbliższy węzeł, a może kontrolujący, może tylko wyższy stopniem przekaźnik, znajduje się czterysta pięćdziesiąt lat świetlnych od nas. Wiele za blisko, by spać spokojnie! To znaczy, że raporty na nasz temat z początkiem dwudziestego pierwszego stulecia dotarły do celu w połowie minionego tysiąclecia. Jeśli przełożony monolitu odpowiedział od razu, ewentualne instrukcje powinny przybyć mniej więcej teraz. Tak się właśnie stało. Przez kilka ostatnich dni monolit odbierał ciągły potok danych. Zaczął już pisać nowe programy, zapewne zgodnie z otrzymanymi instrukcjami. Niestety, HAL może jedynie domyślać się natury tych instrukcji. Nie ma dostępu do wszystkich obwodów i banków pamięci monolitu, chociaż może z

nimi prowadzić coś na kształt dialogu. O ile to właściwe słowo, wszak do dyskusji potrzeba dwojga! Wciąż trudno pogodzić mi się z faktem, że mimo złożoności, monolit nie jest nawet świadom swego istnienia!

HAL biedził się nad tym problemem przez tysiąc lat i doszedł do tego samego wniosku, co większość z nas. Jednak jego konkluzja waży więcej, jako że jest wsparta wiedzą, nie domysłami.

Ta sama siła, która potrudziła się niegdyś, by nas stworzyć, a w każdym razie pomanipulowała naszymi umysłami i genami, zamierza obecnie zdecydować o naszych dalszych losach. HAL widzi rzecz pesymistycznie. I wcale nie przesada. Nie, nie rozczuła się nad nami, ale jest zbyt wnikliwym obserwatorem, by niepokoić się byle czym. Przetrawanie rodzaju ludzkiego stanowi dla niego kwestię uboczną, ledwie interesujące zagadnienie, jednak chce pomóc.

Ku zdumieniu zasłuchanej publiczności, Poole umilkł nagle.

- Dziwne... Takie skojarzenie... To chyba, wszystko wyjaśni. Posłuchajcie, proszę... Pewnego dnia, kilka tygodni przed wylotem, szliśmy z Dave'em po plażę. Zauważyliśmy wielkiego żuka leżącego na piasku. Leżał na grzbiecie i machał nogami w powietrzu. Ja go zignorowałem, byliśmy akurat pogrążeni w jakiejś czysto inżynierskiej dyskusji, ale Dave zareagował. Podeszedł i ostrożnie obrócił żuka butem. Gdy ten odleciał, spytałem: "Jesteś pewien, że dobrze zrobiłeś? A może polecą teraz i zeżre komuś ukochaną grządkę chryzantem?" Dave odparł jednak: "Może i zeżre, ale na pewno tego nie wiem, a wątpliwości zawsze przemawiają na korzyść podejrzanego".

Przepraszam, obiecałem mówić krótko, jednak dobrze, że przypomniałem sobie ten incydent. To chyba stawia przekaz HAL-mana we właściwym świetle. Chce dać ludzkości szansę, gdyż wątpliwości przemawiają na naszą korzyść...

A teraz proszę, załóżcie czapy. Nagranie o wysokiej gęstości, górna wstęga, kanał sto dziesięć. Siadźcie wygodnie, ale patrzcie uważnie. Włączani...

## 35 - NARADA WOJENNA

Nikt nie poprosił o powtórzenie. Raz starczyło.

Zapadła dłuższa chwila ciszy. Dopiero przewodnicząca, doktor Oconnor zdjęła czapę, pomasowała lśniąca łysinę i powiedziała powoli:

- Kiedyś nauczyłeś mnie pewnego zwrotu z twoich czasów. Pasuje jak ulał. To puszka Pandory.

- Ale tylko Bowman, znaczy HAL-owski mózg do niej zajrzeć - powiedział jeden z członków Komitetu. - Czy on rozumie, jak trudna może być operacja na złożonej strukturze monolitu? A może cały ten scenariusz to tylko jego rojenia?

- Nie sądzę, by mu wyobraźni starczyło - odparła doktor Oconnor. - Wszystko pasuje. Szczególnie sprawa nowej Skropiona. Przypuszczaliśmy, że po prostu wydarzył się wypadek, teraz wiemy. To był osąd.

- Najpierw Jowisz, teraz Skorpion - powiedział doktor Kraussman, znamienity fizyk, uznawany popularnie za reinkarnację legendarnego Einsteina. Podobno chirurgia plastyczna też miała coś do rzeczy. - Kto następny?

- Od dawna sędzimy - zabrała głos przewodnicząca - że TMA monitorują nasze poczynania. - Zamilkła na chwilę i dodała ponuro: - Jaki pech, jaki to wielki pech, że zapewne pierwszy obszerny raport sporządził w oparciu o dzieje najgorszego okresu w historii ludzkości!

Znów zapadła cisza. Wszyscy wiedzieli, że dwudzieste stulecie często określano jako "Wiek tortur".

Poole słuchał i nie przerywał. Czekał na jakieś twórcze wnioski. Nie po raz pierwszy podziwiał klasę Komitetu, gdzie nikt nie usiłował forsować swoich teorii czy podbudowywać cudzym kosztem swojego ego. Frank mimowolnie porównywał te dyskusje ze sporami wiedzionymi niegdyś między inżynierami a administracją Agencji, między przedstawicielami Kongresu a nadzorem przemysłowym.

Tak, rasa ludzka podrosła nieco i wyszlachetniała. Czapa skutecznie pomagała "nie dostosowanym", dodatkowo zaś nieporównanie zwiększyła skuteczność edukacji. Chociaż, jak zwykle, coś za coś. Obecnemu społeczeństwu brakowało silnych i bogatych osobowości. Na poczekaniu Poole potrafił wymienić tylko cztery: Indra, kapitan Chandler, doktor Khan i nieświętej pamięci Smoczyca.

Przewodnicząca pozwoliła wszystkim się wypowiedzieć, potem zaczęła podsumowanie.

- Pierwsze pytanie jest oczywiste: na ile poważnie winniśmy potraktować to ostrzeżenie.

Czy warto poświęcać mu czas? Nawet, jeśli to fałszywy alarm lub nieporozumienie, waga sprawy nakazuje zająć się nią tak, jakby groźba była realna, chyba że dowiedziemy czegoś wręcz przeciwnego. Zgoda?

- Dobrze. Nie wiemy, ile mamy czasu. Musimy zatem przyjąć, że przeznaczenie puka już do drzwi. Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że HAL zdoła przekazać nam konkretny termin, ale wtedy może być za późno. W ten sposób pozostaje nam zdecydować tylko o jednym: w jaki sposób obronić się przed czymś tak potężnym jak monolit? Pamiętamy, co stało się z Jowiszem! A teraz jeszcze nova Skorpiona... Rozwiązanie siłowe uważałabym za chybiony pomysł, chociaż niewykluczone, że powinniśmy rozpatrzyć i tę opcję. Doktorze Kraussman, jak długo potrwałaby budowa super - bomby?

- O ile zachowały się jeszcze dawne projekty, wtedy zaoszczędzilibyśmy sobie badań, to może ze dwa tygodnie. Bomby wodorowe są raczej proste, surowce do nich łatwo dostępne, ostatecznie to pomysł jeszcze z drugiego tysiąclecia! Ale gdybyście chcieli czegoś nowocześniejszego, powiedzmy ładunku antimaterii czy miniaturowej czarnej dziury... no, to zabierze kilka miesięcy.

- Dziękuję. Zaczniecie się rozglądać? Na wszelki wypadek, bo, jak powiedziałam, to chyba bezcelowe. Coś tak potężnego potrafi się niewątpliwie obronić przed tym, czym samo włada. Dalsze sugestie?

- Może by negocjować? - spytał ktoś niepewnie.

- Z czym... znaczy z kim? - odezwał się Kraussman. - Wiemy już, że monolit jest tylko maszyną wykonującą programy. Pewnie ma pewną swobodę działań, ale jak wielką? A odwołanie do centrali nic nie da, zbyt duża odległość.

Poole dalej tylko słuchał, nie miał nic do powiedzenia, i z wolna popadał w przygnębienie. Może nie należało przekazywać tej informacji? Jeśli alarm okazałby się fałszywy, sprawa rozeszłaby się po kościach bez tego zamieszania. A jeśli nie... No to przynajmniej oszczędziłby ludzkości nerwów wobec nieuniknionego.

Dumał jeszcze ponuro, gdy usłyszał jakiś znajomy zwrot.

Siedzący dotąd cicho, drobniutki członek Komitetu o nazwisku tak skomplikowanym, że Poole nawet nie próbował go zapamiętać, rzucił nagle tylko dwa słowa:

- Koń trojański!

Zapadła cisza, określana czasem w powieściach jako "brzemienna", potem rozległ się cały chór.

- Czemu wcześniej o tym nie pomyśleliśmy! - Oczywiście!

- Świetny pomysł!

Przewodnicząca musiała przywołać gremium do porządku.

- Dziękuję profesorze Thirugnanasampanhtamoorthy - powiedziała płynnie, nie roniąc ni głoski. - Czy można prosić o szczegóły?

- Jasne. Jeśli monolit zaiste jest tylko bezrozumną maszyną, to znaczy, że jego możliwości kontroli własnego ustroju pozostają ograniczone. Czyli jednak dysponujemy bronią, która zdoła go pokonać. Spoczywa zamknięta w Lochu.

- I mamy łącze przesyłowe. HAL-mana!

- Właśnie.

- Chwilę, doktorze T. Nie wiemy nic, absolutnie nic, o wewnętrznej strukturze monolitu. Jak uzyskamy pewność, że jakiegokolwiek nasze prymitywne dzieło będzie w tym przypadku efektywne?

- Nie uzyskamy, ale pamiętajmy, że nawet najbardziej złożony komputer podlega tym samym uniwersalnym prawom logiki. Dokonania naszych przodków, Arystotelesa i Boole'a, są wciąż aktualne. Dlatego monolit może, a nawet powinien być wrażliwy na to, co mamy w Lochu. Należy tylko tak diabelstwo podrasować, aby choć jeden element zadziałał. W tym widzę naszą jedyną nadzieję, chyba że ktoś ma lepszy pomysł.

- Przepraszam - wtrącił się Poole, który wreszcie stracił cierpliwość. - O jakim to słynnym Lochu mówicie?

## 36 - KOMNATA GROZY

Historia obfituje w koszmary, tak naturalne, jak i zrodzone przez człowieka.

Większość naturalnych wyeliminowano do końca dwudziestego pierwszego stulecia. Ospa, czarna śmierć, AIDS i odrażające wirusy czające się w afrykańskiej dżungli zniknęły lub znalazły się pod kontrolą dzięki postępom medycyny. Nauczono się jednak nie lekceważyć Matki Natury i nikt nie wątpił, że przyszłość kryje jeszcze wiele niemiłych dla człowieka, biologicznych niespodzianek.

Stąd też postanowiono zatrzymać na wszelki wypadek okazowe kolonie owych plag do dalszych badań. Oczywiście bacznie pilnowano, aby żaden mikroorganizm nigdy nie wymknął się z zamknięcia na zgubę ludzkości. Jednak jak uzyskać pewność, że coś takiego na pewno się nie zdarzy?

Pod koniec dwudziestego stulecia podniósł się wielki krzyk protestu wywołany zamiarem zachowania ostatnich znanych wirusów ospy w ośrodkach epidemiologicznych Stanów Zjednoczonych i Rosji. Bunt wydawał się całkiem zrozumiały, gdyż istniało pewne, niewielkie prawdopodobieństwo, że zaraza uwolni się przypadkiem, na skutek trzęsienia ziemi czy awarii systemów, ewentualnie za sprawą działań terrorystów.

Ostatecznie znaleziono rozwiązanie, które usatysfakcjonowało wszystkich prócz nielicznych obrońców dziewiczych lunarnych skał. Próbkę trafiły na Księżyc i spoczęły w laboratorium wykutym na dnie kilometrowego szybu w samotnej górze Pico, stanowiącej charakterystyczny element krajobrazu Marę Imbirum. Z latami do wirusów dołączyły jakieś wytwory błędzących geniuszy lub zgoła szaleńców.

Były tu gazy lub opary. Nawet w mikroskopijnych dawkach powodowały one błyskawiczną lub powolną śmierć. Część tych "dobrodziejstw" stworzyli specjaliści z sekt religijnych, którzy choć upośledzeni w funkcji logicznego myślenia, posiadli wszakże pewną wiedzę naukową. Wielu wierzyło w rychły koniec świata, kiedy to zginą niewierni, czyli wszyscy inni. Na wypadek, gdyby Bóg spóźnił się z apokalipsą, oni czuwali, gotowi naprawić Jego przeoczenie.

Pierwsze ataki sekciarzy były skierowane w czułe punkty wielkich miast takie, jak zatłoczone stacje metra, targi światowe, stadiony sportowe, hale koncertowe... Zginęły dziesiątki tysięcy ludzi, wielu zostało rannych, ale we wczesnych latach dwudziestego pierwszego stulecia wreszcie uporano się z szaleńcami. Potwierdziło się powiedzenie, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Służby bezpieczeństwa różnych państw nawiązały współpracę ściślejszą niż kiedykolwiek i nawet te państwa, które zwyczajowo wspierały rozmaitej maści terroryzm, tym



razem musiały zmienić front.

Chemiczne i biologiczne substancje wykorzystane w tych atakach trafiły do upiornej kolekcji Pico. Znalazły się tam obok gazów bojowych z epoki wojen. Na wszelki wypadek do każdego specyfiku dołączono antidotum, o ile takie istniało. Dominowała nadzieja, że ludzkość nigdy już nie zapragnie sięgnąć po zawartość Lochu, jednak na wypadek ostatecznej potrzeby wciąż jej nie niszczone.

Trzecią kategorię eksponatów tworzyły okazy, które choć bezpośrednio nikogo nie zabiły, to jednak były śmiertelnie groźne. Pojawiły się dopiero pod koniec dwudziestego stulecia, jednak starczyło kilka dziesięcioleci, a szkody przez nie uczynione szacowano w miliardach dolarów. Liczby ofiar ludzkich nigdy nie udało się oszacować, ale była bardzo duża. Plagi te atakowały najnowszego i najbardziej podatnego na usterki sługę człowieka: komputer.

Nazywano je różnie, ale zawsze czerpano ze słownika medycznego: wirusy, priony, solitery. Były to programy zachowujące się niemal dokładnie tak jak ich biologiczne analogi. Niektóre okazywały się niegroźnymi żartami, mającymi zaskoczyć lub rozbawić pokazywaniem nieoczekiwanych wiadomości czy obrazów na ekranie. Inne cechowała daleko posunięta złośliwość aniołów zniszczenia.

Najczęściej powstawały w konkretnym celu, na przykład jako broń. Miast napadać z pistoletem na bank, nowoczesny rabuś uszkadzał system komputerowy banku czy korporacji, które to instytucje całkowicie opierały swe istnienie na sieciach. Potem szantażował, że w razie odmowy wypłacenia grubszej gotówki uaktywni wirus, a ten wymaże wszystkie dane. Większość ofiar wolała nie ryzykować. Przelewali pieniądze na anonimowe zagraniczne konta. A wszystko po cichu, bez informowania opinii publicznej. Często nie wzywano nawet policji.

Powszechnie uznawane prawo do prywatności ułatwiało sieciowym bandytom działalność. Nawet złapani, byli z początku traktowani bardzo łagodnie przez system sprawiedliwości, który nie wiedział, jak radzić sobie z nowym rodzajem przestępstwa. Przecież nie zrobili nikomu krzywdy, prawda? Zwykle otrzymywali niewielkie wyroki, a potem po cichu trafiali na garnuszek swych niedawnych ofiar, zgodnie ze starą zasadą, że najlepszym leśniczym jest były kłusownik.

Tamtymi kryminalistami kierowała czysta chciwość, nie pragnęli zniszczyć tego, na czym zerowali. Zupełnie, jak wyżej rozwinięte pasożyty, które zapobiegliwie nie zabijają nosiciela. Potem jednak pojawili się jeszcze inni, prawdziwi wrogowie spokojnego społeczeństwa...

Zwykle byli to młodzi mężczyźni, "nie dopasowani", jak to się mówi, pracujący samotnie i w zupełnej tajemnicy. Zamierzali stworzyć takie programy, które rozesłane po całej planecie sieciami lub na dyskietkach czy CD - ROM - ach, posieją możliwie jak najwięcej chaosu i zniszczenia. Napływające zewsząd dramatyczne relacje, napawały zamachowców poczuciem

władzy i podbudowywały ich zwichniętą psychę.

Czasem udawało się wytropić owych pokręconych geniuszy i zatrudnić w agencjach wywiadowczych, gdzie czynili niemal to samo co przedtem, ale w majestacie prawa: włamywali się do banków danych przeciwników. I dobrze, wspomniane instytucje podlegały bowiem minimalnej kontroli i zasadniczo ponosiły odpowiedzialność za swe działania.

Inaczej rzecz się przedstawiała z apokaliptycznymi sektami, które z rozkoszą rzuciły się na nowe uzbrojenie jako o wiele skuteczniejsze i łatwiejsze do siania zniszczenia niż gazy czy zarazki. Walka z wirusami była też trudniejsza, jako że jedna transmisja docierała równocześnie do milionów biur i domów.

Doszło do kilkunastu prób generalnych końca świata: upadek Nowojorsko - Hawańskiego Banku w 2005 roku, wystrzelenie indyjskiej rakiety z głowicą atomową (szczęśliwie nie uzbrojoną) w 2007, paraliż północnoamerykańskiej sieci telefonicznej w tym samym roku. Dopiero nadludzkie wysiłki kontrwywiadu i współpracujących z nim, zwykle wrogo nastawionych, agencji federalnych, zaczęły z wolna uspokajać sytuację. I chyba się udało, gdyż od kilkuset lat nie odnotowano żadnego poważnego ataku na podstawy bytu społecznego. Jednym z najważniejszych oręży, który pomógł w tej walce, była czapa. Chociaż niektórzy nadal uważali, że zwycięstwo osiągnięto nazbyt wielkim kosztem.

Dysputy nad tym, co ważniejsze: swobody jednostki czy powinności wobec państwa, trwają od czasów, gdy Platon i Arystoteles spróbowali po raz pierwszy rzecz skodyfikować, i nie umilkną zapewne aż do krańca czasu. Jednak w trzecim tysiącleciu udało się osiągnąć niejaki porozumienie. Zgodzono się powszechnie, że najdoskonalsza forma rządów to komunizm, pechowo jednak zdarzyło się, że ktoś już tego spróbował w historii. Eksperyment kosztował życie setek milionów ludzi, a ostatecznie i tak się okazało, że komunizm można z powodzeniem zastosować jedynie wobec społeczeństw owadów, robotów drugiej klasy i podobnie wąskich grup. Niedoskonałym ludziom pozostało korzystać ze stosunkowo "najlepszego zła", czyli demokracji definiowanej często jako "osobnicza chciwość ograniczana przez skuteczny, ale nie nadgorliwy rząd".

Gdy czapa, oficjalnie zwana z początku nakładką mózgową, weszła powszechnie do użycia, niektórzy wysoce inteligentni i aż nazbyt przedsiębiorczy urzędnicy uznali, że oto pcha im się w ręce cudowny sposób na stworzenie systemu wczesnego ostrzegania społecznego. Podczas dopasowywania czapy nowemu użytkownikowi, łatwo było zanalizować przy okazji jego umysł pod kątem rozpoznania psychoz, które z czasem mogłyby stać się niebezpieczne. W razie czego, należało zastosować odpowiednią terapię, a w przypadku braku lekarstwa, stymulację elektroniczną. W ostateczności zalecono izolację od społeczeństwa. Oczywiście to mogło objąć

tylko amatorów czapy, ale pod koniec trzeciego tysiąclecia owo urządzenie było równie powszednie jak niegdysiejszy telefon. Doszło do tego, że każdą jednostkę nie używającą czapy z miejsca podejrzewano o diabli wiedzą jakie dewiacje.

Nie trzeba dodawać, że organizacje zajmujące się obroną praw człowieka podniosły alarm, ledwo zatwierdzono tę procedurę jako legalną. W świecie anglojęzycznym szybko ukuto hasło: "Braincap or Braincop?" Chociaż powoli i niechętnie, jednak przyjmowano podobną formę profilaktyki w coraz to nowych krajach świata. Uznano, że może to i złe, ale zapobiega złu jeszcze większemu. Nie przypadkiem wraz ze wzrostem ogólnego stanu zdrowia psychicznego raptownie zmalała liczba wałęsających się fanatyków religijnych.

Gdy wreszcie skończyła się z dawna przeciągana wojna z sieciowymi kryminalistami, zwycięzcom ostała się kolekcja zupełnie nieprzydatnych już narzędzi przestępstwa. Poza setkami wirusów, trudniejszych do znalezienia niż do zniszczenia, w "galerii" znalazły się też inne jeszcze "byty realne" (bo i jak je inaczej nazwać?), które budziły o wiele większą grozę. Na te sztucznie stworzone choroby nie było lekarstwa. Można powiedzieć, że niektóre powstały jako z założenia nieuleczalne.

Ich istnienie kojarzono z losem paru wielkich matematyków przerażonych strasznymi skutkami własnych odkryć. Zgodnie z powszechną w ludzkiej kulturze skłonnością do "oswajania" upiorów poprzez nadawanie im swojsko brzmiących imion, tak i ci twórcy chrzcili swe dzieła całkiem niewinnie: Gremil Godela, Labirynt Mandelbrota, Kombinatoryczna Katastrofa, Pułapka Ponadskończoności, Zagadka Conwaya, Torpeda Turinga, Labirynt Lorentza, Bomba Boole'a, Sidła Shannona, Kataklyzm Cantora...

O ile można by rzecz uogólnić, wszystkie te matematyczne horrory działały na tej samej zasadzie. Nie mazały pamięci, nie łamały kodów, wręcz przeciwnie. W swej subtelności nakazywały nosicielowi uruchomić program na tyle złożony, że zarażony komputer miałby szansę ukończyć dzieło nie prędzej niż parę miliardów lat po końcu wszechświata. Ewentualnie, jak w przypadku Labiryntu Mandelbrota, nigdy, gdyż program ten wikłał się w dosłownie nieskończony ciąg operacji.

Trywialnym odpowiednikiem tego samego byłoby polecenie dokładnego wyliczenia liczby Pi lub innej irracjonalnej wartości. Oczywiście, nawet najgłębszy elektrooptyczny komputer nie dałby się na to złapać, dawno minęły już czasy, gdy dym szedł z lutowań i maszynka w złom się obracała, bo kazano jej dzielić przez zero...

Największe wyzwanie szaleni programiści widzieli w tym, aby zmyślnie przekonać coraz lepsze komputery, że postawione zadanie posiada jednak rozwiązanie i że można owo rozwiązanie znaleźć w skończonym czasie. W tej wojnie maszyn z ludźmi (mężczyznami zazwyczaj, chociaż

przybierali miana tak sugestywne, jak Lady Ada Lovelace, Admirals Grace Hopper, Doktor Susan Calvin) maszynki niemal niezmiennie przegrywały z kretelem.

Z pewną dozą szczęścia dawało się czasem usunąć tę matematyczną pornografię komendami WYMAŹ czy NAPISZ, jednak w gruncie rzeczy żal było niszczyć tak doszczętnie twory poniekąd genialne. A przede wszystkim należało je najpierw dokładnie zbadać, najlepiej w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie żaden szalony naukowiec nie znajdzie im nowego zajęcia.

Rozwiązanie nasuwało się automatycznie. Cyfrowe demony dołączyły do swych chemicznych i biologicznych braci w Lochu Pico. Oby na zawsze.

## 37 - OPERACJA DAMOKLES

Poole prawie nie kontaktował się z zespołem, który przygotowywał fatalny oręż, i tylko jak wszyscy miał nadzieję, że owa broń okaże się ostatecznie zbyteczna. Operacja nazwana złowieszczą, choć stosownie "Damokles" wymagała współpracy ludzi tak wąsko wyspecjalizowanych, że tysiącletni inżynier nie miał przy niej nic do roboty. Widział jednak dość, aby powziąć podejrzenia, iż chyba nie wszyscy zaangażowani są do końca ludźmi. I rzeczywiście, jedna z kluczowych dla projektu postaci przebywała akurat w lunarnym ośrodku psychiatrycznym, Poole był zdumiony, że takowe instytucje nadal istnieją. Dodatkowo pani przewodnicząca nalegała nieustannie, by dokooptować do zespołu jeszcze co najmniej dwóch pensjonariuszy.

- Słyszałeś kiedyś o sprawie Enigmy? - spytała Poole'a po pewnej szczególnie frustrującej naradzie.

Ten potrząsnął głową.

- Dziwne, bo to było kilkadziesiąt lat przed twoim narodzeniem. Trafiłam na nią, szukając materiałów do "Damoklesa". Bardzo podobny problem. Tuż przed jedną z waszych wojen zgromadzono grupę błyskotliwych matematyków, naturalnie w tajemnicy, by złamali szyfr przeciwnika... Zupełnym przypadkiem zbudowano przy tej okazji pierwszy prawdziwy komputer. I wiąże się z tym pewna anegdota, mam nadzieję, że prawdziwa, bo kojarzy mi się z naszym małym zespołem. Pewnego dnia przybył do ośrodka premier, chciał przeprowadzić inspekcję. Obejrzał, pogadał, a po wszystkim odezwał się do szefa programu w te słowa: "Gdy powiedziałem, że macie wytrzasnąć potrzebnych nam ludzi choćby spod ziemi, nie sądziłem, że potraktujecie polecenie aż tak poważnie..."

Tym razem szukano zarówno pod ziemią, jak i wysoko ponad jej powierzchnią. Ponieważ nikt wciąż nie wiedział, czy dzieło ma być gotowe na jutro, na przyszły tydzień czy za rok, należało się spieszyć niejako dla zasady. Zachowanie pełnej tajemnicy stanowiło kolejny problem. Alarmowanie wszystkich mieszkańców Układu uznano za bezcelowe, zatem grono wtajemniczonych nie przekroczyło pięćdziesięciu osób. Byli wśród nich wszyscy najważniejsi dla sprawy, ludzie gotowi poprowadzić całą operację, osoby władne polecić otwarcie lochu pod górą Pico. Po raz pierwszy od pięciuset lat...

Gdy HAL-man przekazał informację, iż monolit znów odbiera tajemnicze transmisje i że coraz ich więcej, stało się prawie oczywiste, że coś się jednak szykuje. Nie tylko Poole miał w owym czasie kłopoty ze snem. Nawet uspokajające terapie czapy niewiele pomagały. Przed zaśnięciem Frank zastanawiał się niezmiennie, czy jeszcze kiedyś się obudzi. Ostatecznie jednak

konstruowanie oręża dobiegło końca. Powstała broń niewidzialna i nieuchwytna, umykająca wyobraźni niemal wszystkich znanych historii wojowników.

Mało co wygląda bardziej niewinnie niż zwykła terabajtowa kostka pamięci, jakich miliony używa się codziennie w czapach. Niejakie podejrzenia mógł budzić tylko fakt, że ta jedna kostka została zatopiona w masywnym bloku przezroczystego tworzywa, dodatkowo opasanego metalowymi taśmami.

Poole przyjął paczkę z wahaniem. Zastanowił się, czy kurier, który niegdyś podjął się trudnego nad wyraz zadania przewiezienia na wyspę Guam ładunku pierwszej bomby atomowej, tej która spadła potem na Hiroszimę, też czuł ten ciężar. Niemniej, jeśli obawy nie były płonne, to na barkach Poole'a spoczywała odpowiedzialność nieporównanie większa.

Wyruszał nie wiedząc nawet, czy zdoła wypełnić swą misję, ponieważ żadne łącze nie mogło być obecnie uznane za całkowicie bezpieczne, HAL-man jeszcze nic nie wiedział o projekcie "Damokles". Planowano, że Poole wtajemniczy go dopiero na Ganimedzie.

Pozostawało mieć nadzieję, że zgodzi się odegrać rolę konia trojańskiego i zaryzykować nawet własną zagładę.

## 38 - ATAK UPREDZAJĄCY

Dziwnie było wrócić po tylu latach do hotelu "Grannymede", szczególnie że mimo tylu wydarzeń, tutaj jakby nic się nie zmieniło. Zaraz za drzwiami przywitał Poole'a ten sam holograficzny obraz Bowmana oraz, zgodnie zresztą z oczekiwaniami, Bowman i HAL, obaj we własnych, nader eterycznych osobach.

Zanim jeszcze zdążyli się przywitać, pisnął trójton widfonu, też nie wymienianego od czasu ostatniej wizyty. W każdej innej sytuacji Frank z radością powitałby starego przyjaciela, którego podobizna wykwitła na ekranie. Ale nie teraz.

- Frank! - krzyknął Theodore Khan. - Czemu nie uprzedziłeś, że przylatujesz! Kiedy możemy się spotkać? Czemu nie dajesz obrazu... nie jesteś sam? I kim są te szychy, które wylądowały razem z tobą...

- Spokojnie, Ted! Przepraszam, potem ci wszystko wyjaśnię. Owszem, ktoś mnie odwiedził. Oddzwonię, jak tylko będę mógł. Do zobaczenia!

Wyłączył się i na wszelki wypadek dał planszę: "Nie przeszkadzać".

- Wybaczcie, ale on już taki jest - wyjaśnił ze skrucą. - Znacie go oczywiście.

- Tak, doktor Khan. Często próbuje się ze mną skontaktować.

- Ale nigdy nie odpowiadasz. Mogę spytać czemu? Wprawdzie były sprawy ważniejsze, ale Poole nie mógł opanować ciekawości: musiał się tego dowiedzieć.

- Mieliliśmy tylko jeden otwarty kanał. Na dodatek często stąd znikalem. Czasem na całe lata.

Zdumiewające... chociaż właściwie. Poole wiedział, że HAL-man pojawiał się w wielu miejscach i w różnym czasie. Ale "na całe lata"? Może odwiedził kilka odległych systemów gwiazdnych, zapewne stąd znał dokładnie los nowej Skorpiona, to tylko czterdzieści lat świetlnych. Ale do Centrali chyba nie dotarł, taka podróż trwałaby dziewięćset lat w obie strony.

- Dobrze, że byłeś pod ręką w stosownej chwili!

Tym razem HAL wahał się całe trzy sekundy, nim odpowiedział. Dziwne.

- Jesteś pewien, że to dobrze?

- Co masz na myśli?

- Nie chciałbym o tym wspominać, ale dwakroć przez te lata trafiłem na ślad... obecności istot wielokrotnie bardziej wszechwładnych niż monolit. To mogli być jego twórcy. Podejrzewam, że dane jest nam o wiele mniej wolności, niż sobie wyobrażamy.

Poole poczuł, jak mróz przechodzi mu po kościach, i czym prędzej odegnał nieprzyjemne

myśli.

- Miejmy nadzieję, że jej starczy, aby dokonać niezbędnego. Może to głupie pytanie, ale czy monolit wie o naszym spotkaniu? Na pewno niczego nie podejrzewa?

- Do tego akurat nie jest zdolny. Posiada wiele wewnętrznych zabezpieczeń, część z nich nawet udało mi się zbadać, ale to wszystko.

- Nie podsłuchuje nas w tej chwili?

- Nie sędzę.

Oby naprawdę geniusz siedł w nim o lepsze z prostodusznością i naiwnością, pomyślał Poole, otwierając walizeczkę z zapieczętowanym sześcianem z kostką. Przy tutejszym przyciąganiu zdawała się prawie nieważka. Aż trudno było uwierzyć, że od niej zależą losy ludzkości.

- Żaden środek łączności nie wydał nam się dość pewny, zatem dopiero ja mam wprowadzić was w detale. Ta kostka zawiera programy, które powinny powstrzymać monolit przed wykonaniem groźnych dla ludzkości poleceń. Zapisano na niej dwadzieścia najbardziej niszczycielskich wirusów, jakie kiedykolwiek stworzono. Każdy w pięciu kopiach. Nikt nie zna antidotum na te wirusy. Uważamy nawet, że zwalczenie paru jest fizycznie niemożliwe. Chcemy, abyście uwolnili je w stosownej chwili. O ile uznacie to za konieczne, rzecz jasna. Nikt nie otrzymał nigdy zadania równie odpowiedzialnego... Ale nie mamy wyboru.

Raz jeszcze chwila ciszy trwała o wiele dłużej, niż trzeba na czas przebiegu fal między Ganimedem a Europą.

- Jeśli to zrobimy, monolit może przestać funkcjonować. Nie wiemy, co stanie się wtedy z nami.

- O tym też oczywiście pomyśleliśmy. Ale w tej kwestii macie zapewne większe możliwości, niż my. Również i takie, które pozostają poza naszą zdolnością pojmowania. Niemniej wysyłam wam kostkę pamięci o petabajtowej pojemności. Dziesięć do piętnastej potęgi bajtów to dość, aby zapisać osobowość i wszystkie wspomnienia kilku osób. Zawsze to jakaś ucieczka, a podejrzewam, że znacie jeszcze inne sposoby.

- Zgadza się. We właściwym czasie wybierzemy stosowny.

Poole uspokoił się - na ile było to możliwe w tak niezwyklej sytuacji. HAL-man chciał współpracować. Znaczący, nie zapomniał o swym pochodzeniu.

- Teraz muszę przekazać wam tę kostkę fizycznie. Jej zawartość jest zbyt groźna, by ryzykować transmisję radiową czy optyczną. Wiem, że potraficie zdalnie kontrolować obiekty materialne, bo i jak inaczej zdołałbyś niegdyś detonować bombę na orbicie? Możesz zabrać kostkę na Europę? Ewentualnie wyślemy ją automatycznym kurierem, powiedz tylko dokąd.

- Tak będzie najlepiej. Przejmę ją w Tsienville. Podaję koordynaty...



Poole na wpół leżał jeszcze w fotelu, gdy monitor przy drzwiach obwieścił przybycie szefa całej delegacji, która towarzyszyła mu na Ganrmeda. Czy pułkownik Jones był prawdziwym pułkownikiem, i czy rzeczywiście nazywał się Jones, to akurat Poole'a chwilowo nie obchodziło. Starczyło, że gość dał się poznać jako wspaniały organizator. Poprowadził operację "Damokles" bez najmniejszych zgrzytów.

- Dobra, Frank, przesyłka już w drodze. Wyląduje za godzinę i dziesięć minut. Przypuszczam, że HAL-man weźmie ją potem, choć jak dokładnie, to przekracza moją wyobraźnię. Naprawdę poradzi sobie z tymi, jak to się nazywa... kostkami?

- Też się nad tym zastanawiałem, aż ktoś z Komitetu Europy wyjaśnił mi, że podobno jest taka teoria, zgodnie z którą jeden komputer może zawsze odtworzyć funkcje drugiego komputera. Dlatego jestem pewien, że HAL-man będzie wiedział, co czynić. W przeciwnym razie nigdy by się nie zgodził.

- Obyś miał rację - mruknął pułkownik. - Bo jeśli nie... cóż, wtedy chyba zostaniemy na lodzie.

Zapadła ponura cisza, aż Poole zdobył się na zmianę tematu. - A właśnie, słyszałeś najnowszą plotkę?

- Jaką konkretnie?

- Że jesteśmy specjalną komisją do walki ze zbrodnią i korupcją. Podobno szeryf wraz z burmistrzem uciekli już z miasta.

- Jak ja im zazdroszczę - odparł "pułkownik Jones". - Czasem to miłe mieć jasno sprecyzowane powody do obaw.

## 39 - ŚMIERĆ BOGA

Doktor Khan i wszyscy mieszkańcy Anubis, obecnie 56521 osób, obudzili się krótko po lokalnej północy wyrwani ze snu dźwiękiem Powszechnego Alarmu.

- Tylko nie kolejne trzęsienie lodu! - jęknął w pierwszej chwili Khan. - Na miłość Deusa!

Zerwał się ku oknu i kazał mu się otworzyć. Polecenie wyrzeszczał tak głośno, że automat zrazu nie pojął. Trzeba było powtórzyć spokojnym głosem. Światło Lucyfera winno wlać się do wnętrza, malując na podłodze cienie, które zawsze fascynowały gości z Ziemi swym absolutnym bezruchem...

Ale teraz nic podobnego nie nastąpiło. Khan wpatrywał się z rosnącym niedowierzaniem w strop wielkiego bąbla otulającego Anubis City. Niebo nad Ganimedem było znów takie jak przed tysiącem lat: ciemne i pełne gwiazd. Lucyfer zniknął.

Prześledziwszy położenie prawie zapomnianych konstelacji, Khan zauważył coś jeszcze bardziej niepokojącego. W miejscu niegdysiejszego Jowisza widniał dysk absolutnej czerni.

Jedno może być tylko wyjaśnienie, mruknął pod nosem Khan. Jakaś czarna dziura połknęła Lucyfera. I zaraz zabierze się za nas.

Poole widział to samo z hotelowego balkonu, ale nim miały uczucia o wiele bardziej złożone. Obudził się jeszcze przed ogłoszeniem alarmu. Kom meldował wiadomość od HAL-mana.

- Zaczyna się. Zaraziliśmy monolit, ale jeden, a najpewniej kilka wirusów przedostało się też do naszych obwodów. Nie wiemy, czy uda nam się skorzystać z kostki, którą nam dałeś. Jeśli tak, spotkamy się w Tsienville.

A potem nadeszło kolejne zdanie, osobliwie poruszające, które miało być rozpamiętywane przez wiele następnych pokoleń.

- Gdyby się nie udało, pamiętajcie o nas.

Z wnętrza pokoju dobiegał głos burmistrza. Najwyższy urzędnik miejski robił co w jego mocy, aby uspokoić wybitych ze snu mieszkańców Anubis.

- Nie ma powodów do niepokoju - zaczął, ale szczęśliwie prócz tego sloganu miał jeszcze do przekazania konkretniejsze wieści.

- Nie wiemy, co się dzieje, ale Lucyfer wciąż świeci normalnie. Powtarzam, Lucyfer ciągle świeci! Otrzymaliśmy właśnie przekaz od międzyorbitalnego promu Alcyone, który godzinę temu opuścił Kallisto. Oto, co widzą...

Poole wrócił czym prędzej do pokoju. Na ekranie płonęła kula Lucyfera.

- Obecne zjawisko - ciągnął burmistrz na jednym oddechu - to coś jakby chwilowe

zaćmienie... Zaraz wszystko zobaczymy... Obserwatorium Kallisto, jesteście na linii...

Skąd niby wiadomo, że chwilowe?, zadumał się Poole, czekając na kolejne wieści.

Lucyfer zniknął, zastąpiony przez pole gwiazd.

- ...dwumetrowy teleskop - odezwał się ktoś nowy - ale starczy dowolny instrument. To dysk z jakiegoś idealnie czarnego materiału, średnica wynosi prawie tysiąc kilometrów. Jest tak cienki, że nie daje się ustalić jego grubości. Wisi dokładnie między Ganimedem a Lucyferem, rozmyślnie najpewniej odcinając was od źródła światła. Dam zbliżenie, ale chyba nie dojrzymy żadnych detali...

Widziany z Kallisto krąg przedstawiał się jako owal dwakroć dłuższy niż szeroki. Zasłonił ostatecznie cały ekran, ale powiększenie nic nie dało. Czerń jak czerń.

- Tutaj nic... Spróbujmy ze skraju...

Pojawiło się pole gwiazd, ostro ucięte zaokrągloną krawędzią. Zupełnie, jakby patrzyło się na horyzont idealnie kulistego, pozbawionego powietrza globu.

Chociaż... Krawędź nie była zupełnie gładka...

- Ciekawe - zauważył astronom, ożywiając się nieco po raz pierwszy od rozpoczęcia transmisji. Zupełnie, jakby podobne zjawiska trafiały mu się codziennie całymi tuzinami. - Obwód jest poszarpany... ale regularnie... niczym ostrze piły...

Piła tarczowa, mruknął Poole. Chcą nas pociąć na plasterki? Bardzo śmieszne...- To największe zbliżenie możliwe przy takiej dyfrakcji. Dopiero obróbka zdjęć pokaże więcej

Wrażenie krągłości zniknęło. Najeżona identycznymi trójkątami krawędź faktycznie do złudzenia przypominała ostrze piły. I jeszcze coś.. Spoglądał na gwiazdy wypływające spomiędzy tych doskonałych geometrycznie szczytów, a wraz z nim obserwację prowadzili chyba wszyscy mieszkańcy Ganimedea i zapewne wielu spośród nich przyszło wtedy do głowy to samo, co Frankowi...

Gdy spróbuje się ułożyć koło z prostokątów, to niezależnie jakie będą proporcje ich boków, cztery do dziewięciu czy jakiegokolwiek inne, nigdy nie uzyska się gładkiej krawędzi dysku. Owszem, krąg będzie prawie idealny, można go poprawiać, używając coraz mniejszych bloków, jednak po co aż tak bardzo się kłopotać, skoro chcemy uzyskać jedynie ekran, który skutecznie zaćmi słońce?

Burmistrz miał rację, zjawisko trwało chwilę. Ale koniec następował dokładnie odwrotnie niż zwykle zaćmienie.

Pierwszy wyłom nie powstał na skraju, ale dokładnie pośrodku. Od tego jednego prześwitu rozeszły się we wszystkie strony cieniutkie szczeliny. Dopiero teraz, pod wielkim powiększeniem,

było widać, z czego jest ów dysk. Tworzyły go miliony identycznych kwadratów, zapewne dokładnie takich samych rozmiarami jak Wielki Mur na Europie. I ten dysk rozpadał się właśnie niczym wielka układanka.

Coraz więcej blasku Lucyfera docierało do Ganimedesa. Składniki kręgu zaczęły wyparowywać, zupełnie jakby nie mogły istnieć w oderwaniu od całej struktury.

Samo zaćmienie trwało ledwie kwadrans, ale czarne kwadraty zniknęły bez reszty dopiero po kilku godzinach. I wtedy wreszcie spojrzano na Europę.

Wielki Mur zniknął. Po niecałej godzinie dotarły wieści z Ziemi, Marsa i Księżyca, które też zostały na kilkanaście minut odcięte od Słońca.

Zaćmienia były najwyraźniej zamachem na rodzaj ludzki. Jednak minęły i obecnie w całym Układzie nie działo się nic niepokojącego.

W powszechnym zamieszaniu dopiero po jakimś czasie zauważono, że TMA - Ó i TMA - 1 też zniknęły. Zostały po nich jedynie prastare odciski w gruncie.

Po raz pierwszy w swej historii Europejczycy spotkali ludzi, jednak nie wyglądali ani na przerażonych, ani na zdumionych obecnością stworzeń, które miały się wkoło z szybkością błyskawicy. Oczywiście, trudno na pierwszy rzut oka odgadnąć stan emocjonalny istoty przypominającej mały i pozbawiony liści krzak, który na dodatek zdaje się nie posiadać żadnych organów komunikacji. Ale gdyby przybycie Alcyone i jego pasażerów naprawdę ich wystraszyło, to chyba nie wyszliby ze swoich igł.

Frank Poole wszedł w skafandrze na chaotycznie zabudowane przedmieścia Tsienville. Na ramieniu niósł zwój miedzianego drutu na podarki i zastanawiał się, co też Europejczycy mogą o tym wszystkim sądzić. Żadnego zaćmienia Lucyfera tu nie było, ale zniknięcie Wielkiego Muru musiało chyba poruszyć tubylców. Ostatecznie stał tu od zawsze, stanowił ich tarczę i najpewniej coś jeszcze... A tu nagle po prostu się rozplątał.

Petabajtowa kostka czekała na Franka, otoczona przez grupę tubylców okazujących nawet pewne zaciekawienie. Po raz pierwszy... Może HAL-man jakoś nakazał pilnować im tego daru niebios, aż przyjdę, pomyślał Poole.

Przyjdę i zabiorę... Niestety, prócz uśpionego przyjaciela kostka zawierała też całą gromadę upiorów. Niewykluczone, że któreś z przyszłych pokoleń zdoła je wyegzorcyzmować, na razie pozostanie złożyć kostkę w bezpiecznym miejscu.

## 40 - PÓLNOC NA PICO

Trudno o spokojniejszy krajobraz, pomyślał Poole. Szczególnie po zamieszczeniu ostatnich tygodni. Bezwodne Morze Deszczów kąpało się w łagodnym blasku stojącej w pełni Ziemi i wyglądało wręcz urokliwie, zupełnie inaczej niż w oślepiających promieniach Słońca.

Mały konwój księżycowych pojazdów ustawił się w półkolu, sto metrów od wejścia do Lochu. Ze swego miejsca Poole widział, że góra Pico całkiem niesłusznie otrzymała swą nazwę, myśląc dawnych astronomów spiczastym w kształcie cieniem. Przypominała raczej łagodny kopiec niż prawdziwy szczyt i łatwo było uwierzyć, że jeden z miejscowych wjeżdżał czasem na nią na rowerze. Chyba nie myślał w trakcie, po czym właściwie pedałuje...

Godzinę wcześniej Poole rozstał się z kostką. Strzegł jej pilnie przez całą drogę z Ganimeda wprost na Księżyc, ani na chwilę z oka nie spuszczał, ale obecnie radość mącił mu cień smutku.

- Żegnajcie, przyjaciele - szepnął. - Dobrze się sprawiliście. Mam nadzieję, że ktoś was kiedyś obudzi. Chociaż może lepiej nie.

Aż za dobrze potrafił wyobrazić sobie co najmniej jeden ważny powód, dla którego jakieś przyszłe pokolenie desperacko zapragnie pomocy HAL-mana. Należało przyjąć, że wiadomość o unicestwieniu monolitu na Europie została już wysłana. Przy odrobinie szczęścia potrwa dziewięćset pięćdziesiąt lat, może kilka więcej, może kilka mniej, nim ludzkość doczeka się odpowiedzi.

W przeszłości Poole nieraz przeklinał Einsteina, teraz gotów był go błogosławić. Wydawało się pewne, że nawet stojące za monolitem potęgi nie potrafią pokonać szybkości światła, zatem rasa ludzka miała prawie tysiąc lat, by przygotować się do następnego spotkania. O ile dojdzie do takowego. Wtedy może dadzą sobie radę.

Coś wyłoniło się z tunelu: na wpół humanoidalny robot na gąsienicach, który odwoził kostkę do Lochu. Dziwnie wyglądała maszyna odziana w kombinezon przeciwchemiczny, szczególnie na pozbawionym powietrza Księżycu. Ale nikt nie chciał ryzykować, nawet jeśli prawdopodobieństwo wypadku równało się niemal zero. Ostatecznie robot musiał zjechać aż na samo dno, pomiędzy starannie ustawione kontenery. Wprawdzie kamery i czujniki informowały, że w Lochu nic podejrzanego się nie dzieje, ale nigdy nie da się wykluczyć możliwości jakiegoś nader dyskretnego przecieku czy pęknięcia. Księżyc był zasadniczo spokojnym miejscem, ale przez stulecia zdarzyło się na nim nieco trzęsień gruntu, spadło sporo meteorytów.

Robot stanął pięćdziesiąt metrów od końca tunelu. Czop zamykający wylot powoli wsunął się na miejsce. Gwinty zaskoczyły i niczym wielka śruba obrotowa brama ponownie zamknęła górę

na' głucho.

- Kto nie ma ciemnych okularów, niech zamknie oczy lub odwróci spojrzenie od robota! - zapowiedział ktoś przez radio. Poole ujrzał odbłask potężnej eksplozji. Gdy znów zerknął na Pico, po robocie zostały jedynie jarzące się wiśniowo szczątki. Brakowało jedynie kłębow dymu. Nawet Poole'owi, który większość życia spędził w próżni, wydało się to dziwnie niestosowne.

- Sterylizacja zakończona - odezwał się kontroler. - Dziękuję wszystkim. Wracamy do Platona.

Co za ironia losu - oto ludzkość wyniosła głowę z opresji jedynie dzięki umiejętnemu zagonieniu do pracy garstki osobników powszechnie uznawanych za szaleńców! Jaki niby morał może z tego płynąć?, zadumał się Poole.

Spojrzał na błękitną, otuloną w obłoki Ziemię. Właśnie tam miał się za kilka tygodni narodzić jego pierwszy wnuk.

Jakiegolwiek boskie potęgi władają między gwiazdami, pomyślał Poole, dla zwykłych ludzi długo jeszcze najważniejsze będą tylko dwie rzeczy: miłość i śmierć.

Jego ciało nie zestarzało się jeszcze ponad sto lat: wciąż miał wiele czasu na jedno i na drugie.

## **EPILOG**

Ich mały wszechświat jest jeszcze bardzo młody, a jego bóg to wciąż dziecko. Ale za wcześnie, aby ich osądzać. Wrócimy tu w Ostatnich Dniach i wtedy rozważymy, co będzie warte zachowania.